



ERICH MARIA REMARQUE

NA ZACHODZIE
BEZ ZMIAN



ERICH MARIA REMARQUE

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

Przełożył
Ryszard Wojnakowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Książka ta nie pragnie być oskarżeniem ani wyznaniem.
Stanowi tylko próbę opowiedzenia o pokoleniu, które zniszczyła wojna –
nawet jeśli nie dosięgły go jej granaty.

I

Stoimy dziewięć kilometrów za linią frontu. Wczoraj nas zluzowano; teraz mamy żołądki pełne białej fasoli z wołowiną, jesteśmy syci i zadowoleni. Dodatkowo każdy z nas zafasował pełną menażkę na kolację; oprócz tego są podwójne porcje kiełbasy i chleba – ledwo możemy się ruszać. Coś takiego nie zdarzyło się już od dawna: nasz kucharz, który ma głowę czerwoną jak pomidor, osobiście nakłada jedzenie; kiwa chochlą na każdego, kto przechodzi w pobliżu, i energicznym ruchem napełnia menażkę. Jest załamany, bo nie wie, jak opróżnić swoją kuchnię polową. Tjaden i Müller wytrzasnęli skądś parę miednic i kazali sobie nałożyć równo z brzegiem, na zapas. Tjaden zrobił to, bo jest żarłokiem, Müller – bo jest przezorny. Gdzie Tjaden to mieści, to zagadka dla wszystkich, bo jest i zawsze będzie chudzielcem.

Najważniejsze, że była też podwójna porcja czegoś do palenia. Dla każdego dziesięć cygar, dwadzieścia papierosów i dwie prymki tytoniu do żucia, potraktowano nas bardzo porządnie. Ja wymieniłem się z Katczinskim: tytoń do żucia za papierosy, dzięki czemu mam teraz czterdzieści papierosów. To już wystarczy na dzień.

Wszystkie te prezenty właściwie nam nie przysługują. Aż tacy szczodrzy Prusacy nie są. Zawdzięczamy ten przydział pomyłce.

Dwa tygodnie temu musieliśmy wyruszyć na front, żeby złuzować innych. Na naszym odcinku było dosyć spokojnie, dlatego podoficer prowiantowy dostał na dzień naszego powrotu normalną ilość jedzenia, która powinna wystarczyć dla stu pięćdziesięcioosobowej kompanii. Ale akurat w ostatni dzień dały nam się zaskakująco we znaki armaty dalekonośne i ciężkie granaty, to angielska artyleria, która przez długi czas tak waliła w nasze pozycje, że ponieśliśmy wielkie straty i wróciło nas tylko osiemdziesięciu.

Wróciliśmy w nocy i od razu rzuciliśmy się na wyra, żeby najpierw porządnie się wyspać; Katczinsky ma bowiem rację: wojna nie byłaby taka zła, gdyby człowiek miał więcej snu. W pierwszej linii nigdy nie można na to liczyć, a dwa tygodnie zawsze ciągną się bardzo długo.

Było już południe, gdy pierwsi z nas wyleźli z baraków. Pół godziny później każdy wziął w łapę swoją menażkę i zebraliśmy się przed kuchnią polową, od której czuć było zapach tłuszczu i żywności. Na czele naturalnie największe głodomory: mały Albert Kropp, ten z nas, który potrafi najtrzeźwiej myśleć i dlatego jest dopiero gefrajtem; Müller V, który taszczy z sobą podręczniki szkolne i marzy mu się jeszcze zdanie skróconej matury – pod artyleryjskim ostrzałem zakuwa twierdzenia fizyczne; Leer, który ma na twarzy pełny zarost i bardzo lubi panienki z oficerskiego burdelu – przysięga, że na mocy rozkazu dowództwa armii mają obowiązek nosić jedwabne koszule i brać kąpiel przed każdym gościem od kapitana w górę; jako czwarty ja,

Paul Bäumer. Wszyscy czterej mamy po dziewiętnaście lat, wszyscy czterej z tej samej klasy poszliśmy na wojnę.

Tuż za nami nasi przyjaciele. Tjaden, chudy ślusarz, też nasz rówieśnik, największy żarłok w kompanii. Siada do jedzenia szczupły, a wstaje gruby jak ciężarna pluskwa; Haie Westhus, w tym samym wieku co my, kopacz torfu, potrafiący bez trudu zamknąć w dłoni bochenek komiśniaka i zapytać: „Zgadnijcie, co trzymam w ręku?”; Detering, rolnik, który myśli tylko o swojej zagrodzie i żonie; i wreszcie Stanislaus Katczinsky, przywódca naszej grupy, twardy, sprytny, cwany, czterdzieści lat, o ziemistej twarzy i niebieskich oczach, opadających barkach i cudownym węchu: zawsze wie, gdzie czai się niebezpieczeństwo, gdzie jest dobre jedzenie i można się zadekować.

Nasza grupa tworzyła czoło kolejki przed kuchnią polową. Zaczęliśmy się niecierpliwić, bo niedomyślający się niczego kucharz w dalszym ciągu stał i czekał.

W końcu Katczinsky zawołał do niego:

– Otwierajże swoją zupodajnię, Heinrichu! Przecież widać, że fasola już się ugotowała.

Tamten jednak sennie pokręcił głową.

– Najpierw musicie zebrać się wszyscy.

Tjaden wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zebraliśmy się wszyscy.

Podoficer niczego jeszcze nie zauważył.

– Pasowałoby wam tak! A gdzie inni?

– Oni dzisiaj u ciebie się nie stołują! Lazaret albo masowa mogiła.

Kucharza niemal z nóg zważyło, kiedy poznał fakty. Aż się zachwiał.

– A ja ugotowałem dla stu pięćdziesięciu ludzi.

Kropp trącił go łokciem między żebra.

– No to się w końcu nasycimy. Jazda, zaczynaj wydawać!

Nagle coś jakby olśniło Tjadena. Jego spiczasta mysia twarz zaczęła niemal błyszczeć, chytre oczka zwęziły się w szparki, policzki zadygotały; podszedł bliżej.

– Człowieku, w takim razie pobrałeś też chleb dla stu pięćdziesięciu ludzi, prawda?

Zbaraniały, wciąż jeszcze nieobecny duchem podoficer skinął głową.

Tjaden chwycił go za mundur na piersi.

– I kiełbasę też?

Pomidorowa Głowa znowu przytaknęła.

Żuchwy Tjadena zadrgały.

– Tytoń też?

– Tak, wszystko.

Tjaden rozejrzał się dokoła rozpromienionym wzrokiem.

– Do kroćset, to się nazywa mieć szczęście! W takim razie to wszystko jest dla nas! I każdy z nas dostanie – czekajcie – tak jest: dokładnie podwójną porcję!

W tym momencie Pomidor obudził się ponownie do życia i oświadczył:

– To niemożliwe.

Teraz jednak i myśmy się ożywili i zaczęliśmy na niego nacierać.

– A niby dlaczego to niemożliwe, Marchewo? – spytał Katczinsky.

– Co jest dla stu pięćdziesięciu ludzi, nie może być przecież dla osiemdziesięciu.

– My pokażemy ci, że może – warknął Müller.

– Obiad niech będzie, ale porcje mogą wydać tylko dla osiemdziesięciu – upierał się Pomidor.

Katczinsky zezłościł się nie na żarty.

– Ciebie też trzeba by chyba zluzować, co? Pobrałeś prowiant nie dla osiemdziesięciu ludzi, tylko dla drugiej kompanii i kropka. I teraz go wydasz! Druga kompania to my.

Naparliśmy na kucharza. Nikt za nim nie przepadał, parę razy z jego winy dostaliśmy jedzenie w okopach za późno i zimne, bo pod lekkim ostrzałem granatami bał się zbliżyć wystarczająco ze swoim kotłem i nasi roznosiciele jedzenia musieli odbywać o wiele dłuższą drogę niż ich koledzy z innych kompanii. Bulcke z pierwszej sprawował się o klasę lepiej. Wyglądał co prawda jak chomik zimą, ale gdy było trzeba, taszczył garnki osobiście nawet na pierwszą linię.

Byliśmy akurat we właściwym nastroju i na pewno nie obyłoby się bez bicia, gdyby nie pojawił się nasz dowódca kompanii. Zapytał, o co ta kłótnia, i na razie powiedział tylko:

– Tak, ponieśliśmy wczoraj duże straty.

Następnie zajrzał do kotła.

– Wygląda na to, że fasola jest dobra.

Pomidor skinął głową.

– Z tłuszczem i z mięsem.

Porucznik popatrzył na nas. Wiedział, co myślimy. Poza tym wiedział to i owo, bo dorastał pośród nas, a przyszedł do kompanii jako podoficer. Jeszcze raz uniósł pokrywę kotła i powąchał. Odchodząc, powiedział:

– Mnie też przynieście pełny talerz. A porcje mają być wydane wszystkie. Mogą się nam przydać.

Pomidor zrobił głupią minę.

Tjaden okrążył go tanecznym krokiem.

– Nic ci to nie zaszkodzi! Jakby do niego tylko należało wydawanie prowiantu, tak się zachowuje. A teraz, stary tłusćiochu, zaczynaj, tylko nie pomył się w liczeniu.

– A ty się powieś! – prychnął Pomidor.

Wybuchnął, bo w jego wyobrażeniu coś takiego sprzeciwiało się logice, przestał rozumieć świat. I jakby chcąc pokazać, że jest mu już wszystko jedno, przydzielił dodatkowo po pół funta sztucznego miodu na głowę.

Dzisiejszy dzień naprawdę jest dobry. Przyszła nawet poczta, prawie każdy dostał parę listów i gazet. Teraz wylegamy na łąkę za barakami. Kropp trzyma pod pachą okrągłe wieko beczułki po margarynie.

Po prawej stronie na skraju łąki zbudowano dużą masową latrynę, zadaszony, stabilny budynek. Ale to coś dla rekrutów, którzy nie nauczyli się jeszcze wykorzystywać każdej okazji. My szukamy czegoś lepszego. Oprócz latryny stoją bowiem wszędzie małe pojedyncze skrzynki przeznaczone do tego samego celu. Są czworokątne, czyste, cała stolarka z drewna; zamknięte ze wszystkich stron, ze znakomicie wyprofilowanym, wygodnym

siedzeniem. Na bocznych ścianach znajdują się uchwyty, dzięki czemu można je transportować.

Zsuwamy blisko siebie trzy i rozsiadamy się wygodnie. Nie wstaniemy stąd przed upływem dwóch godzin.

Pamiętam, jak wstydziliśmy się z początku w koszarach, gdy jako rekruci musieliśmy korzystać ze zbiorowej latryny. Drzwi w niej nie ma, dwudziestu ludzi siedzi koło siebie jak w pociągu. Można ich ogarnąć jednym spojrzeniem – po prostu żołnierz powinien być zawsze pod nadzorem.

Od tamtej pory sporośmy się nauczyli – nie tylko przewycięzać tę odrobinę wstydu. Z czasem nawykliśmy też do zupełnie innych rzeczy.

Ale tu, na zewnątrz, to po prostu przyjemność. Już nie pamiętam, dlaczego dawniej przechodziliśmy zawsze nieśmiało obok takich spraw, są one przecież równie naturalne jak jedzenie i picie. I nie trzeba by specjalnie mówić o nich, gdyby nie odgrywały w naszym życiu tak istotnej roli i akurat dla nas nie były takie nowe – dla innych bowiem od dawna były czymś oczywistym.

Dla żołnierza żołądek i trawienie to terytorium znane lepiej niż u wszystkich innych ludzi. Pochodzi z niego trzy czwarte jego słownictwa, tutaj znajduje jędrny podkład zarówno wyraz najwyższej radości, jak i najgłębszego oburzenia. W inny sposób nie można wyrażać się tak zwięźle i klarownie. Nasze rodziny i nauczyciele naprawdę się zdziwią, kiedy przyjedziemy do domu, ale tutaj jest to po prostu język uniwersalny.

Dla nas wszystkie te czynności zachowały niewinność przez swoje nieuchronne upublicznienie. Co więcej: są one dla nas tak

oczywiste, że ich spokojne załatwienie ceni się tak samo jak przykładowo pięknie rozegrany, niewyjęty grand bez czterech. Nie przypadkiem dla określenia wszelkiego rodzaju paplaniny powstało wyrażenie „pogawędka w latrynie”; takie miejsce to wojskowy kącik plotek i namiastka knajpianego stolika, przy którym spotyka się to samo towarzystwo.

W tej chwili jest nam lepiej niż w wyłożonej bielutkimi kafelkami luksusowej ubikacji. Tam może być tylko bardziej higienicznie, tutaj natomiast jest przyjemniej.

Te cudowne godziny bezmyślności. Nad nami wznosi się błękitne niebo. Na horyzoncie wiszą w jasnych promieniach słońca żółte balony na uwięzi i wykwitają białe obłoczki pocisków obrony przeciwlotniczej. Czasem, kiedy ścigają samolot, sypią się w górę seriami.

Stłumione pomruki frontu docierają do nas niczym bardzo odległa burza. Nawet przelatujące bąki zagłuszają buczeniem te odgłosy.

A dookoła nas rozciąga się kwitnąca łąka. Kołyszą się delikatne wiechy traw, podfruwają bielinki kapustniki, unoszą się na miękkim, ciepłym wietrze późnego lata, czytamy listy i gazety i palimy, zdejmujemy czapki i kładziemy je obok siebie, wiatr rozwiewa nam włosy, bawi się nimi, bawi się naszymi słowami i myślami.

Trzy skrzynki stoją wśród błyszczących czerwieni maków.

Kładziemy na kolanach wieko beczułki po margarynie, które stanowi świetną podkładkę przy grze w skata. Kropp wziął z sobą karty. Po każdym null overze rozgrywa się partię ramsza suwanego. Można by tak siedzieć bez końca.

Od strony baraków dobiegają dźwięki harmonii. Czasem odkładamy karty i patrzymy na siebie. Któryś mówi: „Ludzie, ludzie” albo: „Mogło się źle skończyć” i na chwilę zapada milczenie. Wypełnia nas silne, tłumione uczucie, każdy zdaje sobie z niego sprawę, nie trzeba wielu słów. Mało brakowało, byśmy nie siedzieli dziś na tych swoich skrzynkach, cholernie mało brakowało. I dlatego wszystko jest nowe i silne – czerwone maki i dobre jedzenie, papierosy i letni wietrzyk.

– Czy któryś z was widział Kemmericha? – pyta Kropp.

– Leży u świętego Józefa – odpowiadam.

Zdaniem Müllera ma przestrzelone na wylot udo, a to oznacza pewny bilet do domu.

Postanawiamy odwiedzić go po południu.

Kropp wyciąga jakiś list.

– Mam was pozdrowić od Kantorka.

Śmiejemy się. Müller rzuca na ziemię niedopałek i mówi:

– Chciałbym, żeby był tutaj.

Kantorek był wychowawcą naszej klasy, drobnym mężczyzną w szarym surducie, o surowej spiczastej mysiej twarzy. Był mniej więcej takiej samej postury jak podoficer Himmelstoss, „postrach Klosterbergu”. To zresztą śmieszne, że źródłem nieszczęść świata tak często bywają ludzie niskiego wzrostu, o wiele energiczniejsi i bardziej kłótlivi niż wysocy. Zawsze się pilnowałem, żeby nie trafić do kompanii z niskim dowódcą; tacy przeważnie cholernie znęcają się nad żołnierzami.

Na lekcjach gimnastyki Kantorek tak długo wygłaszał nam płomienne mowy, aż nasza klasa pod jego dowództwem

przemaszerowała w zwartym szyku przez miasto do wojskowej komendy uzupełnień i zgłosiła się na ochotnika. Mam go jeszcze przed oczami, jak patrzy na nas, błyskając szklami okularów, i wzruszonym głosem pyta: „Was też wśród nich nie zabraknie, prawda, koledzy?”

Ci wychowawcy tak często mają uczucia patriotyczne pod ręką, dosłownie w kieszeni kamizelki; wydają je przecież co godzinę. Ale wtedy jeszcze nie zastanawialiśmy się nad tym.

Jeden z nas jednak się wahał i nie bardzo chciał się zaciągnąć. Był to Josef Behm, sympatyczny grubas. W końcu dał się przekonać, w przeciwnym razie nie mógłby się pokazać na oczy. Może więcej kolegów myślało jak on, lecz nikt tak naprawdę nie potrafił się wykluczyć, w tym okresie nawet rodzice prędko sięgali po słowo „tchórz”. Ludzie zwyczajnie nie mieli pojęcia o tym, co nadchodziło. Najrozsądniej zachowywali się ci biedni i prości: od razu uznali wojnę za nieszczęście, podczas gdy lepiej sytuowani nie posiadali się z radości, choć właśnie oni powinni znacznie wcześniej uświadomić sobie, co to w konsekwencji oznacza.

Katczinsky twierdzi, że to kwestia wykształcenia, to ono ogłupia. A Kat mówi tylko to, co wcześniej przemyślał.

Co dziwne, Behm był jednym z pierwszych poległych. Podczas ataku dostał postrzał w oczy i zostawiliśmy go, uznając za martwego. Nie mogliśmy go z sobą zabrać, bo trzeba było wycofywać się w pośpiechu. Po południu niespodziewanie usłyszeliśmy, że nas woła, i zobaczyliśmy, że czołga się na przedpolu. Wcześniej był tylko nieprzytomny. Ponieważ nic nie widział i szalał z bólu, nie korzystał z żadnej osłony, toteż tamci

go zastrzelili, zanim ktoś zdążył podejść i odciągnąć go na naszą stronę.

Naturalnie nie można z tym kojarzyć Kantorka – no bo co to byłby za świat, gdyby już coś takiego chciało się nazywać winą. Były przecież tysiące Kantorków, a każdy z nich przekonany, że w wygodny dla siebie sposób robi wszystko, co w jego mocy.

Ale właśnie na tym polega naszym zdaniem ich bankructwo.

Dla nas, osiemnastolatków, powinni być pośrednikami i przewodnikami do świata dorosłych, świata pracy, obowiązku, kultury i postępu, do przyszłości. Czasami kpiliśmy z nich i robiliśmy im psikusy, lecz w zasadzie im wierzyliśmy. Z pojęciem autorytetu, który posiadali, wiązało się w naszym wyobrażeniu większe zrozumienie i lepsza znajomość człowieka. Pierwszy trup, jakiego zobaczyliśmy, zniszczył jednak to przekonanie. Musieliśmy stwierdzić, że nasz wiek jest uczciwszy od ich wieku; przewyższali nas tylko frazesami i sprytem. Pierwszy huraganowy ostrzał dowiódł nam, że się myliliśmy, a pod nim zawalił się światopogląd, który nam wpajali.

Kiedy oni pisali jeszcze i gadali, my widzieliśmy lazarety oraz umierających – kiedy oni przedstawiali służbę ojczyźnie jako najwyższe dobro, my wiedzieliśmy już, że silniejszy jest strach przed śmiercią. Dlatego nie staliśmy się buntownikami, dezenterami, tchórzami – tak szybko sięgali po wszystkie te wyrażenia – kochaliśmy ojczyznę tak samo jak oni i w każdym natarciu szliśmy odważnie do przodu – lecz teraz rozróżnialiśmy, nagle nauczyliśmy się widzieć. I widzieliśmy, że nie pozostało nic z ich świata. Nagle sami – i sami musieliśmy się z tym uporać.

Zanim wyruszyliśmy do Kemmericha, spakowaliśmy jego rzeczy; powinny mu się przydać w podróży.

W lazarecie panuje wielki ruch; jak zawsze pachnie tu karbolem, ropą i potem. Mieszkając w barakach, człowiek jest przyzwyczajony do różnych rzeczy, ale tutaj może mu się zrobić słabo. Wypytyując o drogę, docieramy do sali Kemmericha: ten wita nas słabym uśmiechem zadowolenia i bezradnego zdenerwowania. Kiedy był nieprzytomny, ukradziono mu zegarek.

Müller kręci głową.

– Zawsze ci mówiłem, że nie zabiera się z sobą takiego dobrego zegarka.

Müller jest trochę grubo ciosany i zawsze chce mieć rację. W przeciwnym razie trzymałby głowę na kłódkę, bo każdy widzi, że Kemmerich już z tej sali nie wyjdzie. Jest rzeczą zupełnie obojętną, czy odnajdzie swój zegarek, najwyżej będzie można posłać go do domu jako pamiątkę.

– Jak się masz, Franz? – pyta Kropp.

Kemmerich spuszcza głowę.

– Ujdzie, tylko cholernie boli mnie noga.

Spoglądamy na jego kołdrę. Noga spoczywa w koszyczku z drutu, kołdra uwypukla się mocno w tym miejscu. Kopię Müllera w piszczel, bo gotów byłby jeszcze powtórzyć Kemmerichowi to, co powiedzieli nam sanitariusze przed wejściem: że Kemmerich nie ma już nogi. Została amputowana.

Wygląda okropnie, jest żółty i blady, na twarzy ma już owe obce linie, które tak dobrze znamy, bo widzieliśmy je setki razy. To właściwie nie linie, to raczej znaki. Pod skórą przestało pulsować życie, które zostało wyparte prawie poza ciało, od środka toruje

sobie drogę śmierć, oczy już opanowała. Tam leży nasz kolega Kemmerich, który jeszcze niedawno piekł z nami koninę i siedział w leju po pocisku – to jeszcze on, a zarazem to już nie on, jego obraz stał się rozmyty, nieostry niczym płyta fotograficzna, na której zrobiono dwa zdjęcia. Nawet jego głos brzmi popielato.

Przypomina mi się, jak wtedy odjeżdżaliśmy. Na dworzec odprowadziła go matka, pocziwa, tęga kobieta. Płakała bez przerwy, twarz miała nabrzmiałą i opuchniętą. Kemmerich krępował się z tego powodu, gdyż była najmniej opanowana ze wszystkich matek, formalnie rozpływała się w tłuszczu i łzach. Uwzięła się przy tym na mnie, co rusz chwytła mnie za ramię i błagała, żebym na froncie uważał na Franza. Tyle że on miał również twarz dziecka i tak miękkie kości, że po noszeniu tornistra przez cztery tygodnie nabawił się już platfusa. Ale jak można uważać na kogoś w polu?

– Teraz to pojedziesz do domu – mówi Kropp – a na urlop musiałbyś czekać jeszcze co najmniej trzy, cztery miesiące.

Kemmerich kiwa głową. Niezbyt dokładnie widzę jego dłonie, które wyglądają jak z wosku. Za paznokciami ma ziemię z okopu w kolorze granatowym jak trucizna. Uzmysławiam sobie, że te paznokcie będą nadal rosły, jeszcze długo, niczym jakaś upiorna flora piwniczna, kiedy Kemmerich od dawna nie będzie już oddychał. Mam je przed oczami: skręcają się w korkociągi i rosną, i rosną, a wraz z nimi włosy na rozpadającej się czaszce jak trawa na dobrym gruncie, dokładnie tak samo jak trawa, jak to możliwe...?

Müller pochyla się.

– Przynieśliśmy ci twoje rzeczy, Franz.

Kemmerich pokazuje ręką.

– Połóżcie je pod łóżkiem.

Müller wykonuje polecenie.

Kemmerich zaczyna znowu mówić o zegarku. Jak go uspokoić, a nie wzbudzić przy tym jego podejrzliwości?

Müller wynurza się spod łóżka z parą lotniczych butów w rękę. Eleganckie angielskie trzewiki z miękkiej żółtej skóry, z sięgającą kolana cholewką, sznurowane do samej góry, istny przedmiot pożądania. Müller jest zachwycony ich widokiem, przykłada podeszwy do własnych niezgrabnych buciorów i pyta:

– Franz, zamierzasz zabrać te buty z sobą?

Wszyscy trzej mamy w głowie tę samą myśl: Nawet gdyby był zdrowy, mógł mu się przydać tylko jeden, buty nie miały więc dla niego żadnej wartości. Ale w obecnym stanie rzeczy niestety będą musiały tu zostać – i sanitariusze naturalnie zaraz je capną, gdy tylko umrze.

Müller powtarza swoje pytanie:

– Nie wolałbyś ich tu zostawić?

Kemmerich wzbrania się. To najcenniejsze, co ma.

– Możemy je przecież wymienić – proponuje znowu Müller. – Tu, na froncie, takie coś zawsze się przyda.

Kemmerich jest niewzruszony.

Nadeptuję Müllerowi na nogę; ten z wahaniem odkłada piękne buty pod łóżko.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, w końcu się żegnamy.

– Trzymaj się, Franz.

Obiecuję mu, że jutro zajrzę znowu. Müller też o tym wspomina, ale jemu chodzi o sznurowane buty i dlatego chce być

na posterunku.

Kemmerich pojękuje. Ma gorączkę. Na korytarzu zatrzymujemy jednego z sanitariuszy i staramy się go przekonać, żeby dał Kemmerichowi zastrzyk.

Sanitariusz odmawia.

– Gdybyśmy chcieli dawać morfinę każdemu, musielibyśmy jej mieć całe beczki.

– Pewnie obsługujesz tylko oficerów – zauważa złośliwie Kropp.

Szybko się wtrącam, żeby zażegnać sprzeczkę, i na początek częstuję sanitariusza papierosem. Ten przyjmuje go. Potem pytam:

– A tak w ogóle wolno ci robić zastrzyki?

Jest obrażony.

– Jeśli nie wierzycie, to po co mnie pytacie!

Wciskam mu do ręki jeszcze kilka papierosów.

– Zrób nam tę przysługę.

– No dobrze – odpowiada.

Kropp wchodzi z nim do środka, nie dowierza mu, chce być świadkiem. My czekamy na zewnątrz.

Müller zaczyna znowu o butach.

– Idealnie by na mnie pasowały. W tych kajakach robią mi się tylko odciski. Sądziś, że wytrzyma do jutra, kiedy zajrzemy po służbie? Jeśli zejdzie w nocy, to tyleśmy buty widzieli.

Wraca Albert.

– I jak sądzicie? – pyta.

– Załatwione – odpowiada Müller, zamykając rozmowę.

Idziemy z powrotem do swoich baraków. Myślę o liście, który będę musiał napisać jutro do matki Kemmericha. Przenika mnie

chłód i mam ochotę napić się wódki. Müller zrywa i żuje żdźbła trawy. Nagle mały Kropp ciska papierosa na ziemię, depcze zaciekle niedopałek, rozgląda się dokoła ze wzburzoną, zmieszaną twarzą i jękając się, wyrzuca z siebie:

– Cholera, cholerny świat!

Idziemy dalej, jeszcze długo. Kropp się uspokoił, znamy to, to amok frontowy, każdego kiedyś dopada.

– A właściwie co takiego napisał ci Kantorek? – pyta go Müller. Kropp wybucha śmiechem.

– Że jesteśmy żelazną młodzieżą.

Wszyscy trzech śmiejemy się poirytowani. Kropp zżyma się, ale jest zadowolony, że znowu może mówić.

Tak, oni myślą w ten sposób, tych sto tysięcy Kantorków! Żelazna młodzież. Młodzież! Wszyscy mamy po nie więcej niż dwadzieścia lat. Ale czy jesteśmy młodzi? Czy jesteśmy młodzieżą? Młodość dawno minęła. Jesteśmy starymi ludźmi.

II

Dziwnie się czuję, myśląc o tym, że w domu, w szufladzie biurka, leży napoczęty dramat *Saul* i plik wierszy. Spędziłem nad tymi tekstami niejeden wieczór, prawie wszyscy pisywaliśmy wtedy podobne rzeczy; stało się to jednak dla mnie czymś tak nierzeczywistym, że już nie za bardzo potrafię to sobie wyobrazić.

Odkąd jesteśmy tutaj, zostaliśmy odcięci od swego wcześniejszego życia, choć nie zrobiliśmy niczego w tym kierunku. Czasem próbujemy uzyskać orientację i jakieś wyjaśnienie tego faktu, lecz niespecjalnie nam się to udaje. Wszystko jest bardzo niejasne w szczególności dla nas, dwudziestolatków: dla mnie, Kroppa, Müllera, Leera, dla nas, których Kantorek określił mianem żelaznej młodzieży. Prawie wszyscy starsi ludzie są mocno związani z tym, co było wcześniej, ale mają się na czym oprzeć, mają kobiety, dzieci, zawody i interesy, które są już tak silne, że nie może ich rozerwać nawet wojna. My, dwudziestoletni, mamy natomiast tylko rodziców, a niektórzy mają dziewczyny. To niewiele – bo w naszym wieku wpływy rodziców są najsłabsze, a oddziaływanie dziewcząt nie jest jeszcze tak dominujące. Poza tym w naszym wypadku nie było przecież tak wielu innych rzeczy: trochę marzycielstwa, parę pasji i szkoła; dalej nasze życie jeszcze nie sięgało. I nie zostało z niego nic.

Kantorek powiedziała, że stoimy właśnie na progu egzystencji. I coś w tym rodzaju przeżywamy. Jeszcze nie zapuściliśmy korzeni, a wojna już nas podmyła. Dla innych, starszych, wojna to tylko antrakt, oni potrafią myśleć o tym, co będzie potem. My zaś zostaliśmy przez wojnę porwani i nie wiemy, jak to się skończy. Na razie wiemy tylko tyle, że zdziczyliśmy w szczególny melancholijny sposób, choć nie potrafimy już nawet zbyt często się smucić.

Mimo że Müller chce mieć buty Kemmericha, wcale nie jest z tego powodu mniej współczujący niż ktoś, kto z bólu nie śmiał nawet o tym pomyśleć. On potrafi tylko rozgraniczać. Gdyby buty mogły coś pomóc Kemmerichowi, Müller wolałby chodzić boso po drucie kolczastym, niż zastanawiać się, jak wejść w ich posiadanie. W aktualnej sytuacji te buty są jednak czymś, co nie ma absolutnie nic wspólnego ze stanem Kemmericha, a Müllerowi mogą się przydać. Kemmerich umrze bez względu na to, kto je otrzyma. Dlaczego więc Müller nie miałby się o nie starać, ma do nich przecież większe prawo niż jakiś sanitariusz! A kiedy Kemmerich umrze, będzie na to za późno. Dlatego Müller już teraz chce wszystkiego dopilnować.

Utraciliśmy zmysł rozumienia innych relacji, bo są one sztuczne. Tylko fakty są prawdziwe i ważne dla nas. A dobre buty należą do rzadkości.

Dawniej także to wyglądało inaczej. Kiedy szliśmy do komendy uzupełnień, byliśmy jeszcze klasą składającą się z dwudziestu młodych ludzi, którzy przed wejściem na dziedziniec koszarowy

wśród dowcipnych żarcików poddali się, część z nich po raz pierwszy, wspólnemu goleniu. Nie mieliśmy zdecydowanych planów na przyszłość, bardzo niewielu myślało już o karierze i zawodzie w kategoriach praktycznych i na tyle konkretnie, że mogło to wyznaczyć kierunek ich egzystencji – byliśmy za to pełni niepewnych idei, które w naszych oczach nadawały życiu, ale także wojnie wyidealizowany i niemal romantyczny charakter.

Przez dziesięć tygodni przechodziliśmy szkolenie wojskowe i w tym czasie ukształtowano nas na nowo gruntowniej niż przez dziesięć lat szkoły. Nauczono nas, że wypolerowany guzik jest ważniejszy niż cztery tomy Schopenhauera. Zrazu zdziwieni, potem rozgoryczeni, w końcu zaś zobojętniali, dowiedzieliśmy się, że nie duch wydaje się decydujący, tylko szczotka do butów, nie myśl, tylko system, nie wolność, tylko dryl. Z entuzjazmem i ochoczo zostaliśmy żołnierzami, ale robiono wszystko, żeby wybić nam z głowy ten zapal. Po trzech tygodniach nie było już dla nas niepojęte, że wygalonowany listonosz ma nad nami większą władzę niż dawniej pospołu rodzice, wychowawcy i wszystkie kręgi kulturowe od Platona po Goethego. Młodymi, wrażliwymi oczami obserwowaliśmy, jak wpajane nam przez naszych nauczycieli klasyczne pojęcie ojczyzny przybiera tu na razie kształt wyrzeczenia się osobowości w sposób tak upokarzający, jak nigdy nie można by tego żądać od najniższego rangą sługi. Oddawanie honorów, stanie na baczność, maszerowanie krokiem defiladowym, prezentowanie broni, zwroty w prawo i w lewo, stukanie obcasami, połajanki i tysiące szykan: inaczej wyobrażaliśmy sobie swoje zadanie i uważaliśmy, że jesteśmy przygotowywani do bohaterstwa jak konie cyrkowe. Ale szybko

przyzwyczajaliśmy się do tego. Pojeliśmy nawet, że część tych rzeczy jest konieczna, a inna zbędna. Żołnierz ma nosa do takich spraw.

Po trzech lub czterech rozdzielono naszą klasę do różnych drużyn, razem z fryzyjskimi rybakami, chłopami, robotnikami i rzemieślnikami, z którymi szybkośmy się zaprzyjaźnili. Kropp, Müller, Kemmerich i ja trafiliśmy do dziewiątej drużyny, którą dowodził podoficer Himmelstoss.

Himmelstoss uchodził za największego rakarza na placu koszarowym i był z tego dumny. Niewysoki, przysadzisty facet, który miał za sobą dwanaście lat służby, z lisim, podkreśnionym wąsikiem, w cywilu listonosz. Na Kroppa, Tjadena, Westhusa i mnie szczególnie zagiął parol, bo wyczuwał nasz cichy opór.

Któregoś dnia czternaście razy słałem jego łóżko. Ciągłe miał coś do wytknięcia i zrzucał pościel. Po dwudziestu godzinach pracy – naturalnie z przerwami – natłuściłem parę starych, twardych jak kamień butów, doprowadzając skórę do takiej miękkości, że nawet Himmelstoss nie miał się do czego przyczepić; na jego rozkaz wyszorowałem szczoteczką do zębów izbę naszej drużyny; Kropp i ja, wyposażeni w zmiotkę i szufelkę, zabraliśmy się do zleconego nam odśnieżania podwórza koszarowego i pewnie byśmy w końcu przy tym zamarzli na śmierć, gdyby nie pojawił się przypadkiem jakiś porucznik, który kazał nam się stamtąd wynosić, a Himmelstossa strasznie zbeształ. Skutek był niestety tylko taki, że Himmelstoss tym bardziej się na nas zawziął. Ja przez cztery kolejne tygodnie miałem wartę w każdą niedzielę i przez cały ten okres służbę na kompanii; w pełnym rynsztunku

z karabinem na świeżo zaorany, mokrym polu ćwiczyłem „Padnij”, „Powstań, naprzód marsz”, dopóki nie zamieniłem się w grudę błota i nie mogłem się podnieść z ziemi; cztery godziny później prezentowałem Himmelstossowi swój oczyszczony bez zarzutu rynsztunek, tyle że otartymi do krwi rękoma; razem z Kroppem, Westhusem i Tjadenem ćwiczyłem bez rękawiczek na ostrym mrozie stanie na baczność, z palcami na lufie karabinu, okrążany przez czyhającego na najmniejszy ruch Himmelstossa, który miał ochotę stwierdzić niewykonanie rozkazu; o drugiej w nocy osiem razy zbiegałem w samej koszuli na dziedziniec z najwyższego piętra koszar tylko dlatego, że moje gacie wystawały kilka centymetrów poza krawędź zydlu, na którym każdy musiał układać w kostkę swoje rzeczy. Obok mnie biegł podoficer dyżurny Himmelstoss i deptał mi po palcach nóg; podczas fechtunku na bagnety zawsze musiałem walczyć z Himmelstossem, przy czym ja miałem ciężką żelazną obsadę, a on poręczny drewniany karabin, dzięki czemu mógł wygodnie nabijać mi siniaki na ramionach; jednak pewnego razu podczas tej szermierki tak się wściekłem, że zaatakowałem go na oślep i zadałem mu tak mocny cios w żołądek, że się przewrócił. Kiedy chciał się poskarżyć dowódcy kompanii, ten wyśmiał go i powiedział, żeby się miał na baczności; dobrze znał Himmelstossa i wyglądało na to, że jest zadowolony z jego wpadki. Nauczyłem się świetnie wspinać na szafy, mało kto potrafił mi też z czasem dorównać w przysiadach; drżeliśmy na sam dźwięk jego głosu, ale nie daliśmy się udupić temu zdziziałemu koniowi pocztowemu.

Gdy w niedzielę obaj z Kroppem taszczyliśmy przez podwórze obok baraków wiadra z latryny na drążku i przechodzący akurat w pobliżu Himmelstoss, czyściutki i wymuskany, gotów do wyjścia z obozu, stanął przed nami i zapytał, jak nam się podoba robota, nie bacząc na konsekwencje, zamarkowaliśmy potknięcie i wylaliśmy mu na nogi zawartość jednego z wiader. Miotał się strasznie, ale miarka się przebrała.

– To się skończy dla was twierdzą! – wrzasnął.

Kropp miał dosyć.

– Ale najpierw będzie śledztwo, a wtedy my opowiemy wszystko, jak było – odparł.

– Jak rozmawiacie z podoficerem?! – ryknął Himmelstoss. – Czy rozum wam odebrało? Czekać, aż was zapytają! Co chcecie zrobić?

– Opowiedzieć wszystko o panu podoficerze! – odrzekł Kropp, przykładając palce do szwów.

Wtedy Himmelstoss zdał sobie w końcu sprawę, co się dzieje, i zmył się bez słowa. Zanim zniknął nam z oczu, zaskrzeczał jeszcze:

– Nie puszczę wam tego płazem!

To był jednak koniec jego władzy. Jeszcze raz spróbował nas przeczołgać po zaoranych polach. Wprawdzie wykonywaliśmy każdy rozkaz „Padnij”, „Powstań, naprzód marsz” – bo rozkaz to rozkaz, trzeba go wykonać – ale robiliśmy to tak wolno, że Himmelstossa ogarniała czarna rozpacz. Bez pośpiechu opuszczaliśmy się na kolana, potem podpieraliśmy się łokciami i tak dalej, a on wściekły wykrzykiwał tymczasem następny rozkaz. Zanim myśmy się spocili, on ochrypl.

Potem zostawił nas w spokoju. Wprawdzie nadal nazywał nas łajdusami, ale przebijał w tym słowie szacunek.

Było też wielu porządných kaprali, ludzi całkiem rozsądnych; porządných była nawet większość. Ale każdy chciał przede wszystkim zachować możliwie jak najdłużej dobre stanowisko w ojczyźnie, a to mógł osiągnąć, tylko jeśli ostro traktował rekrutów.

Nie ominęła nas chyba żadna z możliwych szykan znanych na placu koszarowym, nieraz płakaliśmy z wściekłości. Niektórzy z nas rozchorowali się nawet z tego powodu, a Wolf zmarł na zapalenie płuc. Uważalibyśmy się jednak za niepoważnych, gdybyśmy dali za wygraną. Staliśmy się twardzi, nieufni, bezlitośni, mściwi, brutalni – i bardzo dobrze, gdyż brakowało nam właśnie tych cech. Gdyby posłano nas do okopów bez tego przeszkolenia, większość z nas pewnie by zwariowała. A tak byliśmy przygotowani na to, co nas czekało.

Nie rozsypaliśmy się, udało nam się dopasować; pomógł nam młody wiek, dwadzieścia lat, który tak bardzo utrudniał inne sprawy. Najważniejsze jednak było to, że zbudziło się w nas silne, praktyczne poczucie wspólnoty, które potem w polu przybrało najszlachetniejszą formę tego, co przynosiła wojna: koleżeństwa!

Siedzę przy łóżku Kemmericha, który marnieje coraz bardziej. Wokół panuje okropny harmider. Przyjechał pociąg sanitarny i wybierani są ranni nadający się do transportu. Obok łóżka Kemmericha przechodzi lekarz, nawet na niego nie spojrzął.

– Następnym razem, Franz – mówię.

Podnosi się na łokciach spośród poduszek.

– Amputowali mnie.

A więc już wie. Kiwam głową i odpowiadam:

– Ciesz się, że wywinałeś się tanim kosztem.

Milczy.

– Mogły też być obie nogi, Franz – mówię dalej. – Wegeler stracił prawą rękę. To o wiele gorsze. Ty przecież też pojedziesz do domu.

Spogląda na mnie.

– Tak sądzisz?

– Naturalnie.

– Tak sądzisz? – powtarza.

– No pewnie, Franz. Musisz tylko najpierw dojść do siebie po operacji.

Kiwa na mnie, żebym się przysunął. Pochylam się nad nim, a wtedy szepcze:

– Nie wierzę.

– Nie gadaj bzdur, Franz, za parę dni się przekonasz. Amputacja nogi to nic wielkiego, łatają tutaj o wiele poważniejsze rzeczy.

Unosi rękę.

– Popatrz na to, na te palce.

– To od operacji. Podjedz sobie porządnie, to na pewno nadrobisz. Karmią was tu przyzwoicie?

Wskazuje pełną jeszcze do połowy miskę. Wpadam w rozdrażnienie.

– Franz, musisz jeść. Jedzenie to podstawa. To przecież wygląda na całkiem dobre.

Wykonuje odmowny gest, a po chwili mówi powoli:

– Kiedyś chciałem zostać leśniczym.

– Nadal możesz nim zostać – pocieszam go. – Teraz robią wspaniałe protezy, kiedy masz taką, nawet nie zauważasz, że czegoś ci brakuje. Przyłącza się ją do mięśni. Protezy dłoni są już tak wymyślne, że można ruszać palcami i pracować, nawet pisać. A poza tym ciągle pojawiają się nowe wynalazki w tej dziedzinie.

Przez jakiś czas leży cicho. W końcu mówi:

– Możesz wziąć moje sznurowane buty dla Müllera.

Kiwam głową i zastanawiam się, co powiedzieć, żeby podnieść go na duchu. Wargi ma jakby rozmazane, przez co usta wydają się większe, zęby wystają, jakby były z kredy. Ciało się roztopia, czoło wysklepia, kości policzkowe wystają jeszcze mocniej. Wyraźnie zarysowuje się szkielet. Oczy się już zapadają. Za parę godzin będzie po wszystkim.

Nie jego pierwszego oglądam w takim momencie; ale my dorastaliśmy razem, to jednak zawsze coś innego. Odpisywałem od niego zadania. W szkole nosił przeważnie brązowy mundurek z paskiem, wyświechtany na łokciach. To on jako jedyny z nas potrafił wykonać kołowrót olbrzymi na drążku. Kiedy go robił, włosy spływały mu na twarz niczym jedwab. Dlatego Kantorek był z niego dumny. Ale papierosy mu nie służyły. Z racji zupełnie białej skóry miał w sobie coś z dziewczyny.

Spoglądam na swoje buty. Są duże i niezgrabne, nogawki spodni wpuszczone do środka; kiedy człowiek wstaje, wygląda w tych szerokich rurkach na grubego i mocno zbudowanego. Kiedy jednak idziemy się wykąpać i się rozbieramy, nagle znowu mamy szczupłe nogi i szczupłe ramiona. Wtedy nie jesteśmy już żołnierzami, tylko prawie chłopcami, nie uwierzono by też, że

potrafimy taszczyć żołnierskie tornistry. Dziwny to widok, kiedy jesteśmy nadzy; jesteśmy wtedy cywilami i zresztą prawie się nimi czujemy.

Franz Kemmerich wydawał się podczas kąpieli mały i szczupły jak dziecko. A teraz tu leży, tylko dlaczego? Należałoby przeprowadzić obok tego łóżka cały świat i powiedzieć: To jest Franz Kemmerich, lat dziewiętnaście i pół, nie chce umierać. Nie pozwólcie mu umrzeć!

Myśli mi się płaczą. To powietrze przesycone zapachem karbolu i spalenizny skleja płuca, lepka, dusząca breja.

Ściemnia się. Twarz Kemmericha blednie, podnosi się z poduszek taka blada, że aż połyskuje. Usta poruszają się nieznacznie. Zbliżam się do niego.

– Jak znajdziecie mój zegarek – szepcze – odeślijcie do domu.

Nie protestuję. Nie ma już sensu. Nie sposób go przekonać. Czuję się podle z bezsilności. To czoło z zapadniętymi skroniami, te usta, które są tylko uzębieniem, ten spiczasty nos! I gruba płacząca kobieta w domu, do której muszę napisać. Gdybym ten list miał już za sobą.

Szpitalni posługacze krążą po sali z butelkami i wiadrami. Jeden zbliża się do Kemmericha, posyła mu badawcze spojrzenie i się oddala. Widać, że czeka, prawdopodobnie potrzebuje łóżka.

Przysuwam się blisko Franza i mówię do niego, jakby mogło go to uratować:

– Może trafisz do domu wypoczynkowego pod Klosterbergiem, między willami. Wtedy będziesz mógł patrzeć przez okno na pola aż po dwa drzewa na horyzoncie. Teraz, gdy zboże dojrzewa, jest najpiękniejszy okres, wieczorem pola wyglądają w słońcu jak

macica perłowa. I topolowa aleja nad strumieniem, w którym łowiliśmy cierniki! Może znowu założysz akwarium i będziesz hodował rybki, tam możesz wychodzić i nie musisz nikogo pytać, i możesz nawet grać na pianinie, kiedy masz ochotę.

Pochylam się nad jego twarzą, która spoczywa w cieniu. Jeszcze oddycha, cicho. Twarz ma mokrą, płacze. Niezłego bigosu narobiłem tym swoim głupim gadaniem!

– Ależ Franz... – Obejmuję go za ramię i przykładam twarz do jego twarzy. – Chcesz teraz spać?

Nie odpowiada. Łzy ściekają mu po policzkach. Chciałbym je zetrzeć, ale moja chusteczka jest zbyt brudna.

Mija godzina. Siedzę w napięciu i obserwuję każdą zmianę na jego twarzy, może chciałby jeszcze coś powiedzieć. Och, gdyby zechciał otworzyć usta i krzyknąć! Ale on tylko płacze, odwróciwszy głowę w bok. Nie opowiada o matce i rodzeństwie, nic nie mówi, pewnie ma to już za sobą – teraz jest sam na sam ze swoim krótkim dziewiętnastoletnim życiem i płacze, bo ono go opuszcza.

To najbardziej przerażające i najtrudniejsze pożegnanie, jakie widziałem, choć w wypadku Tiedjena też było okropnie: ten chłop, silny jak niedźwiedź, rycząc, przyzywał matki, a wytrzeszczającego oczy lekarza trzymał na dystans od swojego łóżka za pomocą bagnetu, dopóki całkiem nie oklapł.

Nagle Kemmerich wydaje jęk i zaczyna rzezić.

Podrywam się z miejsca i potykając się, wybiegam na korytarz.

– Gdzie jest lekarz? – pytam. – Gdzie jest lekarz?

W końcu dostrzegam jakiś biały fartuch, zatrzymuję go.

– Proszę szybko, inaczej Franz Kemmerich umrze.

Lekarz uwalnia się i pyta stojącego obok posługacza:

– Co to ma znaczyć?

Ten wyjaśnia:

– Łóżko 26, amputacja uda.

– Jak mam to wszystko spamiętać – wyjeżdża na mnie z gębą lekarz – amputowałem dzisiaj pięć nóg. – Odsuwa mnie. – Proszę tam zajrzeć! – mówi do posługacza i rusza biegiem do sali operacyjnej.

Idąc obok sanitariusza, dygoczę z wściekłości. Ten spogląda na mnie i mówi:

– Jedna operacja za drugą, od piątej rano – istny dom wariatów, mówię ci, tylko dzisiaj znowu szesnaście zejść – twój jest siedemnasty. Na pewno dojdziemy do dwudziestu.

Robi mi się słabo, nagle już nie mogę. Nie chcę się już wściekać, to nie ma sensu, chciałbym po prostu upaść i nie wstać nigdy.

Stajemy przed łóżkiem Kemmericha. Kemmerich nie żyje. Twarz ma jeszcze mokrą od łez. Oczy półotwarte, żółte jak stare rogowe guziki.

Sanitariusz trąca mnie w żebra.

– Weźmiesz jego rzeczy?

Kiwam głową.

– Musimy go zaraz wynieść, łóżko jest potrzebne. Ranni leżą już w korytarzu.

Zabieram rzeczy i odpinam Kemmerichowi blaszkę identyfikacyjną. Sanitariusz pyta o książeczkę żołdu. Nie ma jej. Mówię, że musi być w kancelarii, i wychodzę. Za moimi plecami przenoszą już Franza na pałatkę.

Ciemność i wiatr na zewnątrz odbieram jak wybawienie. Oddycham najmocniej, jak potrafię, jak nigdy czuję na twarzy ciepłe, miękkie powietrze. Przez głowę przelatują mi nagle myśli o dziewczętach, kwitnących łąkach, białych obłokach. Moje nogi w trzewikach poruszają się do przodu, przyśpieszam kroku, biegnę. Mijają mnie żołnierze, ich rozmowy podniecają mnie, chociaż ich nie rozumiem. Ziemię przenikają siły, które przez podeszwy wpływają we mnie. Noc objawia się jako elektryczne trzaski, front dudni głucho niczym koncert na bębnach. Moje członki poruszają się elastycznie, czuję, że stawy mam mocne, sapię i parskam. Noc żyje, ja żyję. Czuję głód, większy niż ten pochodzący tylko z żołądka.

Müller stoi przed barakiem i czeka na mnie. Daję mu buty. Wchodzimy do środka. Mierzy, pasują jak ulał.

Wygrzebuje ze swoich zapasów ładny kawałek serwołatki i mnie częstuje. Do tego jest gorąca herbata z rumem.

III

Dostajemy uzupełnienie. Wypełniamy braki w składzie osobowym, puste sienniki w barakach zostają szybko zajęte. Po części to starsze roczniki, ale przydzielają do nas także dwudziestu pięciu ludzi młodej rezerwy z polowych magazynów rekrutów. Są prawie rok młodszy od nas. Kropp trąca mnie w bok.

– Widziałeś te dzieciaki?

Potwierdzam skinieniem głowy. Wydymamy piersi, golimy się na podwórzu, paradujemy z rękami w kieszeniach spodni, oglądamy rekrutów i uważamy się za bardzo stare wojsko.

Przyłącza się do nas Katczinsky. Po przejściu przez stajnie podchodzimy do ludzi z rezerwy, którzy pobierają właśnie maski przeciwgazowe i kawę. Kat pyta jednego z najmłodszych:

– Pewnie długo nie dostaliście nic sensownego do żarcia?

Ten wykrzywia twarz.

– Na śniadanie chleb z brukwi, na obiad warzywa z brukwią, na kolację kotlety z brukwi i sałatka z brukwi.

Katczinsky gwizdże fachowo.

– Chleb z brukwi? No, to mieliście szczęście, bo robią też już z trocin. A co byś powiedział na białą fasolę, chcesz michę?

Chłopak się czerwieni.

– Nie musisz się ze mnie nabijać.

– Bierz menażkę – odpowiada tylko Katczinsky.

Zaciekawieni ruszamy za nim. Prowadzi nas do beczki obok swojego siennika. Rzeczywiście jest do połowy napełniona białą fasolą z wołowiną. Katczinsky staje przed nią jak generał i mówi:

– Miej oczy otwarte i długie palce! Takie hasło obowiązuje u Prusaków.

Nie ukrywamy zaskoczenia.

– W mordę, Kat, skąd to wytrzasnąłeś? – pytam.

– Pomidor był szczęśliwy, kiedy wziąłem to od niego. Dałem mu za to trzy kawałki jedwabiu ze spadochronu. No, ale biała fasola na zimno też smakuje bez zarzutu.

Protekcjonalnym gestem nakłada chłopakowi porcję i mówi:

– Kiedy następnym razem ustawisz się tutaj z menażką, żebyś miał w lewej ręce cygaro albo prymkę. Zrozumiano?

Następnie zwraca się do nas.

– Wy dostaniecie naturalnie bez tego.

Katczinsky jest niezastąpiony, bo ma szósty zmysł. Wszędzie są tacy ludzie, ale nikt się na nich nie poznaje na pierwszy rzut oka. Każda kompania ma takiego jednego albo dwóch. Z tych, których znam, Katczinsky jest najcwańszy. Z zawodu jest chyba szewcem, ale nie ma to nic do rzeczy, zna się na każdym rzemiośle. Dobrze być z nim w przyjacielskich stosunkach. Kropp i ja jesteśmy, także Haie Westhus prawie należy do naszej grupy. Haie jest już jednak bardziej organem wykonawczym, bo pracuje pod komendą Kata, kiedy jest załatwiana jakaś sprawa, do której trzeba użyć pięści. Za to ma potem osobne korzyści.

Na przykład przychodzimy w nocy do zupełnie nieznanej miejscowości, smętnej dziury, po której od razu widać, że została ogołocona do nagich ścian. Kwaterą jest mała, ciemna fabryka, dopiero przysposobiona do tego celu. W środku stoją łóżka, a raczej tylko stelaże, parę zbitych ze sobą desek z drucianą siatką między nimi.

Siatka jest twarda. Nie mamy do podłożenia dodatkowych koców, własnych potrzebujemy do przykrycia się. Pałatki są za cienkie.

Kat zapoznaje się ze sprawą i mówi do Haiego Westhusa:

– Chodź ze mną.

Ruszają więc, zanurzają się w zupełnie nieznanej miejscowości. Wracają pół godziny później, obaj z naręczami słomy. Kat znalazł stajnię, a w niej słomę. Teraz moglibyśmy już przyjemnie spać w cieple, gdyby wściekły głód nie skręcał nam kiszek.

– Nie ma tu gdzieś jakiejś kantyny? – zwraca się Kropp do artylerzysty, który jest dłużej w tej okolicy.

Tamten wybucha śmiechem.

– Jeszcze czego! Tutaj nie ma nic do żarcia. Nawet skórki chleba nie wydebisz.

– To nie ma już żadnych mieszkańców?

Artylerzysta splota.

– Paru jest. Ale oni sami tylko się tu kręcą, cisną się wkoło każdego kotła i zebrzą.

To niedobrze. W takim razie musimy po prostu zacisnąć pasa i poczekać do jutra, kiedy przywiozą nam prowiant.

Widzę jednak, że Kat wkłada czapkę, więc pytam:

– A ty dokąd, Kat?

– Rozpoznać sytuację.

I bez pośpiechu wychodzi.

Artylerzysta uśmiecha się szyderczo.

– To rozpoznawaj sobie! Tylko się przy tym nie pomył.

Zawiedzeni kładziemy się i zastanawiamy, czy nie ruszyć żelaznych porcji. Ale wydaje nam się to zbyt ryzykowne. Próbujemy więc zdrzemnąć się trochę.

Kropp przełamuje papierosa i daje mi połowę. Tjaden opowiada o swojej potrawie narodowej, dużej fasoli ze słoniną. Potępia przygotowywanie jej bez cząbru. Przede wszystkim należy składniki gotować razem, a nie, na miłość boską, ziemniaki, fasolę i słoninę osobno. Ktoś mruczy, że przerobi Tjadena na cząber, jeśli ten natychmiast się nie zamknie. Po tej groźbie w dużym pomieszczeniu nastaje spokój. Tylko parę świateł migocze w szybkach butelek i artylerzysta spluwa od czasu do czasu.

Kimamy już dobrą chwilę, gdy drzwi się otwierają i staje w nich Kat. Wydaje mi się, że śnię: trzyma pod pachą dwa bochenki chleba, a w ręku zakrwawiony worek z koniną.

Artylerzysta, któremu fajka wypada z ust, obmacuje chleb.

– Faktycznie, prawdziwy chleb, jeszcze ciepły.

Kat nie podejmuje tematu. Po prostu ma chleb, reszta się nie liczy. Jestem przekonany, że gdyby zostawiono go na pustyni, w godzinę zebrałby wszystko na kolację: daktylę, pieczeń i wino.

– Narąb drewna – mówi krótko do Haiego.

Następnie wyciąga spod munduru patelnię, a z kieszeni garść soli i nawet plaster tłuszczu – pomyślał o wszystkim. Haie rozpala na podłodze ognisko. Ogień trzaska pośród nagich ścian hali fabrycznej. Gramolimy się z łóżek.

Artylerzysta się waha. Właśnie się zastanawia, czy go pochwalić, żeby może i jemu coś skapnęło. Ale Katczinsky w ogóle go nie widzi – tamten jest dla niego powietrzem, oddala się więc, przeklinając.

Kat zna sposób, jak upiec koninę na miękko. Mięsa nie wolno od razu kłaść na patelni, bo wtedy twardnieje. Przedtem trzeba je pogotować w niewielkiej ilości wody. Siadamy w krąg z nożami w rękach i napychamy się do syta.

Taki jest Kat. Gdyby za rok można było gdzieś zdobyć coś do jedzenia tylko przez godzinę, on w tej godzinie, popychany jakimś olśnieniem, włożyłby czapkę, wyszedł, ruszył prosto przed siebie, jakby kierował się kompasem, i to znalazł.

Znajduje wszystko; kiedy jest zimno, piecyki i drewno, siano i słomę, stoły i krzesła – ale przede wszystkim żarcie. To niepojęte, wypadaloby wierzyć, że wyczarowuje to z powietrza. Jego popisowym osiągnięciem były cztery puszki homarów. Tyle że my wolelibyśmy zamiast homarów smalec.

Zlegliśmy po słonecznej stronie baraków. Czuć zapach smoły, lata i spoconych nóg.

Kat siedzi obok mnie, bo lubi rozmawiać. Dziś w południe ćwiczyliśmy przez godzinę oddawanie honorów, ponieważ Tjaden niedbale zasalutował jakiemuś majorowi. Sprawa nie może Katowi wyjść z głowy.

– Powiadam ci – mówi – jeszcze przegramy wojnę, bo umiemy za dobrze oddawać honory.

Kropp zbliża się bocianim chodem, ma podwinięte nogawki spodni. Wyprane skarpety rozkłada na trawie, żeby wyschły. Kat,

patrzac w niebo, wydaje potężne pierdnięcie i komentuje w błogim rozmarzeniu:

– Każde ziarenko śpiewa grubo lub cienko.

Obaj zaczynają dyskutować. Jednocześnie zakładają się o butelkę piwa, kto wygra walkę powietrzną, która rozgrywa się ponad naszymi głowami.

Kat nie daje się odwieść od przekonania, które jako stary frontowiec wypowiada znów w formie rymowanej:

– Gdyby żołąd i żarcie były takie same, wojna by już dawno poszła precz w niepamięć.

Z Kropka natomiast jest myśliciel. Proponuje, żeby wypowiedzenie wojny odbywało się w ramach swego rodzaju festynu ludowego z biletami wstępu i muzyką jak podczas walk byków. Na arenie musieliby się naparzać ministrowie i generałowie obu krajów w kąpielówkach, uzbrojeni tylko w pałki. A zwyciężyłby kraj tego, kto by się ostał na placu boju. Byłoby to na pewno prostsze i lepsze niż to, co się dzieje tutaj, gdzie walczą ze sobą niewłaściwi ludzie.

Propozycja się podoba. Potem rozmowa schodzi na temat koszarowego drylu.

Przypomina mi się pewien obraz. Gorące południe na dziedzińcu koszarowym. Żar leje się z nieba. Koszary sprawiają wrażenie wymarłych. Wszyscy śpią. Słyszeć tylko ćwiczących doboszy, ustawili się gdzieś i ćwiczą, niewprawnie, monotennie, apatycznie. Co za trójdźwięk: południowy żar, dziedziniec koszarowy i ćwiczenia doboszy!

Okna w koszarach są puste i ciemne. Z niektórych parapetów zwisają suszące się drelichowe spodnie. Patrzy się tęsknie

w tamtą stronę. W izbach na pewno panuje chłód.

O, wy ciemne, zatęchłe izby żołnierskie z łózkami na żelaznych stelazach, pościelą w kratkę, wąskimi szafkami i zydłami przed każdym łóżkiem! Nawet wy możecie być obiektem marzeń; tu, na froncie, pełne zapachów zwietrzałych potraw, snu, dymu i odzieży, bywacie nawet mitycznym odbłaskiem ojczyzny!

Kaczynski opisuje je wyjątkowo barwnie i z wielkim wzruszeniem. Cóż byśmy dali, żeby móc wrócić do nich! Bo nasze myśli absolutnie nie śmiały wybiegać dalej.

Wy, godziny instrukcji wczesnym rankiem – „Na co rozkłada się karabin model 98?” – wy, godziny zaprawy po południu – „Pianiści wystąp. Odmaszerować w prawo. Zameldujcie się w kuchni do obierania kartofli”.

Pławimy się we wspomnieniach. Nagle Kropp wybucha śmiechem i mówi:

– Przesiadka w Löhne.

To była ulubiona zabawa naszego kaprała. Löhne to stacja przesiadkowa. Żeby nasi urlopowicze się tam nie zgubili, Himmelstoss ćwiczył z nami przesiadanie w izbie żołnierskiej w koszarach. Mieliśmy się nauczyć, że w Löhne trzeba przejść tunelem na inny peron, skąd odjeżdżały pociągi do nas. Łóżka udawały tunel. Każdy stawał przed łóżkiem z lewej, a gdy padała komenda: „Przesiadka w Löhne!”, wszyscy błyskawicznie przeczołgawali się na drugą stronę. Ćwiczyliśmy to godzinami.

Tymczasem niemiecki samolot został zestrzelony. Spadał w smudze dymu niczym kometa. Kropp przegrał więc butelkę piwa i rozdrażniony odlicza teraz pieniądze.

– Himmelstoss jako listonosz jest na pewno skromnym człowiekiem – mówię, kiedy Albert uspokoił się trochę po przeżytym rozczarowaniu. – Jak to więc możliwe, że jest takim rakerem jako podoficer?

Moje pytanie natychmiast mobilizuje znowu Kroppa.

– Nie tylko Himmelstoss jest taki, takich jest wielu. Gdy tylko dać im szlify albo szablę, od razu stają się innymi ludźmi, jakby nażarli się betonu.

– To chyba kwestia munduru – podsuwam.

– Coś w tym rodzaju – potwierdza Kat i przymierza się do dłuższej mowy – ale przyczyna leży gdzie indziej. Bo widzisz, kiedy tak wytresujesz psa, żeby żarł ziemniaki, a potem położysz przed nim kawałek mięsa, to pies jednak capnie, bo leży to w jego naturze. A kiedy dasz człowiekowi kawałeczek władzy, będzie tak samo; człowiek sięgnie po nią. Odbywa się to zupełnie mechanicznie, bo człowiek właściwie jest przede wszystkim bydlęciem, może dopiero potem, jak na kromce chleba ze smalcem, ma posmarowane po wierzchu trochę przyzwoitości. Istotą wojska jest to, że jeden ma zawsze władzę nad drugim. Najgorsze tylko, że każdy ma tej władzy o wiele za dużo; podoficer tak może zadać bobu szeregowcowi, porucznik podoficerowi, a kapitan porucznikowi, że ten drugi zwariuje. A ponieważ o tym wie, przyzwyczajają się do tego od razu. Weź najprostszą sprawę. Wracamy skonani z placu ćwiczeń. I wtedy pada rozkaz: „Śpiewać!”, no to się śpiewa, ale wiadomo, że do niczego. Każdy się cieszy, że jest jeszcze w stanie taszczyć karabin. I to wystarczy: w następnej chwili kompania zawraca i przez godzinę musi ćwiczyć za karę. Podczas powtórnego wejścia do koszar

ponownie pada komenda: „Śpiewać!”, i teraz śpiew brzmi jak należy. Jaki sens ma to wszystko? Dowódca kompanii postawił na swoim, bo ma władzę. Nikt go za to nie gani, przeciwnie, uchodzi za służbistę. A przecież coś takiego to drobnostka, są też o wiele poważniejsze rzeczy, którymi mogą człowieka dręczyć. Pytam więc was: Niech facet będzie w cywilu, kim chce, ale w jakim zawodzie może sobie pozwolić na coś takiego i nie oberwać po ryju? Może sobie na to pozwolić tylko w wojsku! Widzicie, ta władza każdemu uderza do głowy! A uderza mu do głowy tym bardziej, im mniej miał do gadania jako cywil.

– Po prostu mówi się: dyscyplina musi być – dorzuca niedbale Kropp.

– Powody – dodaje Kat – zawsze znajdują. I niech sobie znajdują. Ale nie mają prawa szykanować. Spróbuj to wyjaśnić ślusarzowi albo parobkowi, albo robotnikowi, wytłumacz to piechociarzowi, a takich jest przecież tutaj większość; taki widzi tylko, że jest dręczony i idzie w pole, i wie bardzo dobrze, co jest konieczne, a co nie. Powiadam wam, to niesłychane, żeby zwykły żołnierz na froncie aż tyle wytrzymał! To niesłychane!

Każdy przyznaje mu rację, bo każdy wie, że dryl kończy się tylko w okopach, ale zaczyna się z powrotem już kilka kilometrów za frontem, a to w postaci największych bzdur, oddawania honorów czy maszerowania krokiem defiladowym. Bo takie jest żelazne prawo: żołnierz bezwzględnie musi mieć zajęcie.

W tym momencie jednak zjawia się Tjaden z wypiekami na twarzy. Taki jest podniecony, że aż się jąka. Z promiennym uśmiechem obwieszcza sylaba po sylabie:

– Himmelstoss przyjeżdża. Wysyłają go na front.

Tjaden jest najbardziej wściekły na Himmelstossa, bo ten wychowywał go w barakach na swój sposób. Tjaden moczy się w łóżko, po prostu zdarza mu się to w nocy, kiedy śpi. Himmelstoss twierdził uparcie, że to tylko lenistwo, i znalazł godny siebie środek mający wyleczyć Tjadena.

W sąsiednim baraku wystraszał drugiego moczącego się żołnierza, który nazywał się Kindervater. Zakwaterował go razem z Tjadenem. W barakach stały typowe stelaże do łóżek, dwa łóżka jedno nad drugim, z drucianą siatką pod siennikiem. Himmelstoss położył obu w ten sposób, że jeden dostał górne łóżko, a drugi łóżko pod nim. Śpiący na dole miał z tego powodu naturalnie przechlapane. Za to następnego wieczoru następowała zmiana, ten z dołu spał na górze, żeby się zrewanżować. To było samowychowanie według Himmelstossa.

Pomysł był podły, ale sama idea dobra. Niestety, nic to nie dało, bo wszystko opierało się na fałszywym założeniu: nie było w tym lenistwa ze strony ich obu. Każdy to widział, wystarczyło popatrzeć na ich bladą cerę. Skończyło się na tym, że jeden zawsze spał na podłodze i łatwo mógł się przy tym przeziębć.

Tymczasem obok nas przycupnął także Haie. Mruga do mnie i w zamyśleniu pociera swoją wielką łapę. Razem przeżyliśmy najpiękniejszy dzień naszego żołnierskiego życia. Było to w wieczór poprzedzający wyjazd na front. Przydzielono nas do jednego z pułków z wysokim numerem, najpierw kazano nam jednak wrócić do garnizonu, żeby się umundurować, tyle że nie do magazynu rekrutów, ale do innych koszar. Mieliśmy wyjechać następnego dnia wcześniej rano. Wieczorem wybraliśmy się na

poszukiwanie Himmelstossa, żeby się z nim policzyć. Przysięgaliśmy to sobie od tygodni. Kropp posunął się nawet do tego, że postanowił w czasach pokojowych wybrać zawód pocztowca, żeby później, kiedy Himmelstoss znów będzie listonoszem, zostać jego przełożonym. Snuł fantastyczne wizje, jak to będzie go docierał. Bo właśnie dlatego nie daliśmy się złamać: zawsze liczyliśmy na to, że kiedyś go dopadniemy, najpóźniej, gdy wojna się skończy.

Na razie chcieliśmy mu sprawić porządne lanie. No bo co mogło nam się stać, skoro nie będzie nas widział, a my i tak z samego rana wyjeżdżamy.

Wiedzieliśmy, w której knajpie przesiaduje co wieczór. Kiedy wracał stamtąd do koszar, musiał przechodzić przez ciemną, niezabudowaną ulicę. Tam zaczailiśmy się na niego za stertą kamieni. Ja miałem przy sobie poszwę na kołdrę. Czekając, dygotaliśmy w niepewności, czy będzie sam. W końcu usłyszeliśmy jego kroki, które znaliśmy bardzo dobrze, wystarczająco często słyszeliśmy je rano, kiedy otwierały się drzwi i ryczał: „Wstawać!”

– Sam? – wyszeptał Kropp.

– Sam!

Razem z Tjadenem okrążyłem cichaczem stertę kamieni.

W samą porę, bo błysnął już zamek jego pasa. Himmelstoss wydawał się lekko podchmielony, śpiewał. Niczego się nie domyślając, przeszedł obok nas.

Chwyciliśmy poszwę, po cichu podskoczyliśmy do niego, włożyliśmy mu ją od tyłu na głowę i ściągnęliśmy na sam dół,

skutkiem czego stał jakby w białym worku i nie mógł podnieść rąk. Śpiew zamarł.

W następnej chwili znalazł się przy nas Haie Westhus. Rozkładając ręce, odsunął nas, byle tylko być pierwszym. Stanął wygodnie w rozkroku, uniósł ramię niczym maszt sygnałowy, dłoń miał wielką jak szufla do węgla, i wymierzył białemu workowi cios, który potrafiłby zabić wołu.

Himmelstoss wywinął kozła, upadł pięć metrów dalej i zaczął ryczeć. Również o tym pomyśleliśmy zawczasu, mieliśmy przy sobie poduszkę. Haie przyklęknął, położył sobie poduszkę na kolanach, chwycił Himmelstossa tam, gdzie była głowa, i przycisnął ją do poduszki. Natychmiast wytłumiło to odgłosy bólu. Haie pozwalał mu od czasu do czasu zaczerpnąć powietrza, z bulgotu wyłaniał się wtedy wspaniałe dźwięczny krzyk, który zaraz przechodził z powrotem w cienki pisk.

Tjaden odpiął Himmelstossowi szelki i ściągnął spodnie. Trzepaczkę do dywanów trzymał w tym czasie w zębach. Następnie wstał i zaczęła się zabawa.

To był cudowny obraz: na ziemi Himmelstoss, nad nim pochylony, trzymający na kolanach jego głowę Haie z wykrzywioną diabelskim uśmiechem twarzą i gębą otwartą z rozkoszy, potem drgające w spuszczonej spodniach pasiaste gacie, oblekające krzywe nogi, które przy każdym uderzeniu wykonywały najdziwniejsze ruchy, a powyżej niczym drwal niezmordowany Tjaden. W końcu musieliśmy go wręcz oderwać od leżącego, żeby każdy z nas też mógł swoje dołożyć.

Wreszcie Haie postawił Himmelstossa z powrotem na nogi i dał na koniec prywatne przedstawienie. Wydawało się, że zamierza

zrywać z nieba gwiazdy, tak szeroko zamachnął się prawą ręką, żeby spoliczkować tamtego. Himmelstoss padł na ziemię. Haie podniósł go ponownie, ustawił sobie do uderzenia i tym razem wymierzył mu pierwszorzędny cios lewą. Himmelstoss zawył i zaczął uciekać na czworakach. Pasiasty tyłek listonosza błyszczał w świetle księżyca.

Pogalopowaliśmy w przeciwnym kierunku i zniknęliśmy w ciemnościach.

Haie obejrzał się jeszcze raz i ze złością, w poczuciu sytości, ale i trochę zagadkowo powiedział:

– Zemsta to krwawa kiszka.

Himmelstoss powinien być właściwie zadowolony, gdyż na nim samym spełniły się jego słowa, że jeden powinien zawsze wychowywać drugiego. Okazaliśmy się pojętnymi uczniami, przejmując jego metody.

Nigdy się nie dowiedział, komu zawdzięcza to lanie. Bądź co bądź zyskał poszwę, bo ta zniknęła bez śladu, gdyśmy zajrzeli w to samo miejsce kilka godzin później.

Dzięki temu wieczorowi, wyjeżdżając następnego ranka, mniej więcej trzymaliśmy fason. I dlatego pewien bardzo wzruszony brodac z rozwianym włosiem określił nas mianem bohaterskiej młodzieży.

IV

Mamy jechać na pierwszą linię do sypania szańców. Kiedy zaczyna się ściemniać, podjeżdżają ciężarówki. Wspinamy się na skrzynie ładunkowe. Wieczór jest ciepły, zmierzch wydaje się chustą, pod której osłoną czujemy się dobrze, która nas łączy. Nawet skąpy Tjaden ofiarowuje mi papierosa i podaje ogień.

Stoimy ciasno jeden przy drugim, nikt nie może usiąść. Do tego nie jesteśmy zresztą przyzwyczajeni. Müller odzyskał wreszcie dobry humor; ma na nogach nowe buty.

Silniki warczą, wozy klekoczą i grzechoczą. Drogi są wyjeżdżone i pełne wybojów. Nie wolno zapalać żadnych świateł, dlatego raz po raz wpadamy w te wyboje i omal nie wyrzuci nas z wozu. Ale przestało nas już to niepokoić. No bo co może się stać: złamana ręka jest lepsza niż dziura w brzuchu, zresztą niejeden życzyłby sobie wręcz takiej okazji do wyjazdu do domu.

Obok nas jadą długie kolumny wozów z amunicją. Tamtym się śpieszy, wyprzedzają nas bez przerwy. Rzucamy im żarciki, oni nam odpowiadają.

Pojawia się jakiś mur, należy do domu położonego z boku drogi. Nagle nadstawiam uszu. Czyżbym się mylił? Znów wyraźnie słyszę gęganie. Spoglądam na Katczńskiego – on spogląda na mnie, rozumiemy się.

– Kat, słyszę tam kandydatki do garnka.

Kiwa głową.

– Załatwi się, kiedy wrócimy. Orientuję się tutaj.

Jasne, że Kat się orientuje. Na pewno zna każdą gęsią nogę w promieniu dwudziestu kilometrów.

Wozy dojeżdżają do rejonu zajmowanego przez artylerię. Stanowiska ogniowe są zamaskowane krzakami przed wzrokiem lotników, jakby chodziło o swego rodzaju wojskowe święto szalasów. Te szalasy wyglądałyby zabawnie i sielsko, gdyby nie mieszkaly w nich armaty.

Powietrze staje się mętne od mgły i dymu wystrzałów. Spalony proch zostawia gorzki smak na języku. Od huku wystrzałów nasza ciężarówka aż dygocze, potem przetacza się potężne echo, wszystko się chwieje. Nasze twarze zmieniają się niezauważalnie. Wprawdzie nie musimy dostać się do okopów, tylko mamy usypywać szanice, lecz na każdej twarzy stoi teraz wypisane: To tutaj to front, jesteśmy w jego zasięgu.

To jeszcze nie strach. Kto tak często jak my bywał na pierwszej linii, ten ma grubą skórę. Tylko młodzi rekruci są podenerwowani. Kat ich poucza:

– To był kaliber 30,5. Słysząc go w momencie wystrzału, zaraz będzie uderzenie.

Nie docierają jednak do nas głuchoe odgłosy uderzeń. Toną w pomruku frontu. Kat nasłuchuje.

– Dzisiejszej nocy będzie ciężki ostrzał.

Wszyscy nasłuchujemy. Front jest niespokojny.

– Angole już strzelają – mówi Kropp.

Wyraźnie słychać wystrzały. To angielskie baterie, na prawo od naszego odcinka. Zaczynają o godzinę za wcześnie. U nas rozpoczynali zawsze dopiero punkt dziesiąta.

– Co im przyszło do głowy – woła Müller. – Pewnie zegarki im śpieszą.

– Będzie ciężki ostrzał, powiadam wam, czuję to w kościach.

Kat wzrusza ramionami.

Obok nas rozlega się huk trzech wystrzałów. Ognisty strumień wystrzela ukośnie w mgłę, działa mruczą i grzmia. Dygoczemy z zimna, więc cieszymy się, że jutro rano będziemy z powrotem w barakach.

Nasze twarze nie są bledsze ani bardziej czerwone niż zwykle, nie są też bardziej napięte ani zwiotczałe, a mimo to inne. Czujemy, że w naszej krwi zaczyna płynąć jakiś prąd. To nie frazes, to fakt. Wyzwalaczem tego prądu jest front, świadomość frontu. W chwili, gdy gwizdzą pierwsze granaty, gdy wystrzały rozrywają powietrze, w naszych żyłach i naszych rękach pojawia się nagle skulone oczekiwanie, czyhanie, wzmożona czujność, dziwna elastyczność zmysłów. Za jednym zamachem ciało znajduje się w pełnej gotowości.

Często mam wrażenie, że wstrząśnięte, wibrujące powietrze przeskakuje na nas bezgłośnymi falami – albo że sam front emanuje jakąś elektryczność, mobilizującą nieznane końcówki nerwowe.

Za każdym razem to samo: wyjeżdżamy jako żołnierze w złych lub dobrych humorach – a potem pojawiają się pierwsze stanowiska artyleryjskie i każde słowo naszych rozmów ma odtąd inne brzmienie.

Kiedy Kat stoi przed barakami i mówi: „Będzie ciężki ostrzał”, jest to tylko jego pogląd i kropka; ale kiedy mówi to tutaj, jego zdanie jest ostre jak bagnet w świetle księżyca, przecina gładko myśli, staje się bliższe i przemawia do owej nieświadomej materii, która zbudziła się w nas z mrocznym znaczeniem zdania: „Będzie ciężki ostrzał”. Może to nasze najbardziej wewnętrzne i najtajniejsze życie, to ono dźwiga się z drżeniem i pragnie bronić.

Dla mnie front to niesamowity wir. Kiedy człowiek jest jeszcze daleko od jego centrum na spokojnych wodach, czuje już siłę ssącą, która go przyciąga, powoli, nieuchronnie, nie napotykając większego oporu.

Z ziemi, z powietrza płyną jednak ku nam siły obronne – najwięcej z ziemi. Dla nikogo ziemia nie znaczy tak wiele jak dla żołnierza. Kiedy się do niej przyciska, długo, mocno, gdy głęboko zagrzebuje się w niej twarzą i kończynami w śmiertelnym strachu przed ogniem, jest ona jego jedynym przyjacielem, jego bratem, jego matką, on wyjąkuje swoje lęki i krzyki w jej milczące, bezpieczne łono, a ona je przyjmuje i zwalnia go na następne dziesięć sekund biegu i życia, po czym chwyta go znowu, czasem na zawsze.

Ziemia – ziemia – ziemia!

Ziemia ze swoimi bruzdami, dziurami i zagłębieniami, gdzie można się rzucić i przycupnąć! Ziemia, w konwulsji grozy, w rozprysku zniszczenia, w śmiertelnym ryku eksplozji dawałaś nam niesamowitą falę odzyskanego życia! Ogarnięty szaloną burzą strumień prawie rozdartej na strzępy egzystencji płynął

z powrotem od ciebie przez nasze ręce, a my je, uratowane, zagrzebywaliśmy w tobie i w niemym trwożliwym szczęściu przeżytej minuty wgryzaliśmy się w ciebie wargami!

Na pierwszy dźwięk nadlatujących granatów cofamy się gwałtownie w cząstce swojego jestestwa o tysiące lat. Budzi się w nas tutaj instynkt zwierzęcia, który nami kieruje i nas broni. Nie jest to instynkt świadomy, jest o wiele szybszy, o wiele bezpieczniejszy, o wiele bardziej nieomylny niż świadomość. Nie sposób tego wyjaśnić. Człowiek idzie i o niczym nie myśli – i nagle leży we wgłębieniu terenu, a nad nim rozpryskują się odłamki; nie potrafi jednak sobie przypomnieć, że słyszał nadlatujący granat albo że pomyślał o tym, iż trzeba się położyć. Gdyby musiał się zdawać na świadome reakcje, byłby już strzępem rozrzuconego wokół mięsa. Coś innego kazało nam paść na ziemię i nas uratowało, ów wewnętrzny przewidujący węż, choć nie wiadomo dokładnie, jak zadziałał. Gdyby nie on, od Flandrii po Wogezy nie byłoby już od dawna nikogo.

Wyjeżdżamy jako żołnierze w złych albo dobrych humorach, docieramy do strefy, gdzie zaczyna się front – i stajemy się zwierzętami w ludzkiej skórze.

Bierze nas w objęcia mizerny lasek. Mijamy kuchnie polowe. Za laskiem wysiadamy. Ciężarówki wracają. Mają przyjechać po nas jutro przed świtem.

Mgła i dym wystrzałów armatnich unoszą się nad łąką na wysokości piersi. W górze świeci księżyc. Drogą przeciągają oddziały. Stalowe hełmy połyskują matowo w świetle księżyca.

Głowy i karabiny wystają z białej mgły, kiwające się głowy, kołyszące się lufy karabinów.

Dalej z przodu nie ma już mgły. Głowy zmieniają się tu w postacie – kurtki mundurowe, spodnie i buty wyłaniają się z mgły jak z mlecznego stawu. Formują kolumnę. Kolumna rusza prosto przed siebie, postacie łączą się w klin, nie można już rozpoznać pojedynczych ludzi, tylko ciemny klin przesuwa się do przodu, osobiwie uzupełniany przez nadpływające z morza mgły głowy i karabiny. Kolumna – nie ludzie.

Boczną drogą podjeżdżają lekkie działa i wozy z amunicją. Konie mają grzbiety lśniące w świetle księżyca, ich ruchy są piękne, kiedy rzucają łbami, widać błyski w oczach. Działa i wozy przesuwiają się bezgłośnie na rozpływającym się tle tego księżycowego krajobrazu, jeźdźcy w stalowych hełmach przypominają rycerzy z dawnych czasów, w pewnym sensie to bardzo piękny i wzruszający widok.

Zmierzamy w stronę parku oddziału saperów. Tam część z nas ładuje sobie na plecy wygięte, zakończone spiczasto żelazne pręty, druga grupa przekłada gładkie żelazne drążki przez kręgi drutu i z nimi odchodzi. Ładunki są niewygodne i ciężkie.

Teren jest coraz bardziej porozrywany. Od czoła podają nam meldunki:

- Uwaga, po lewej głęboki lej po granacie!
- Ostrożnie, rów!

Wyteżamy wzrok, nasze stopy i kije obmacują nierówności przed powierzeniem im ciężaru ciała. Nagle pochód się zatrzymuje; niejeden wpada twarzą na zwój drutu niesiony przez kolegę z przodu i ciska przekleństwo.

Drogę zagradza kilka zniszczonych przez artylerię wozów.
Nowy rozkaz:

– Zgasić papierosy i fajki.

Jesteśmy już blisko okopów.

Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno. Okrążamy jakiś lassek i wreszcie mamy przed sobą odcinek frontu.

Na horyzoncie, od jednego końca do drugiego, rozciąga się niepewna, czerwona jasność. Jest w ciągłym ruchu, przeszywają ją błyski wystrzałów baterii dział. Wzbijają się nad nią pociski świetlne, srebrne i czerwone piłki, które rozpryskują się i spadają w postaci białych, zielonych i czerwonych gwiazd. Wystrzelają w górę francuskie rakiety, które rozwijają w powietrzu w jedwabny spadochron i opadają bardzo wolno. Oświetlają wszystko światłem jasnym jak w dzień, które dociera nawet do nas, widzimy własne cienie rysujące się wyraźnie na ziemi. Takie rakiety unoszą się dłużej niż minutę, zanim się wypalą. Natychmiast wzbijają się nowe, wszędzie, a wśród nich znowu zielone, czerwone i niebieskie.

– A to pech – mówi Kat.

Artyleryjska nawałnica się wzmaga, przechodząc w jedno wielkie dudnienie, po czym rozpada się z powrotem na grupowe uderzenia pocisków. Terkoczą suche salwy karabinów maszynowych. Powietrze nad nami wypełnia niewidzialna gonitwa, wycie, gwizdy, syki. To mniejsze pociski; od czasu do czasu przelatują też jednak z rykiem przez noc „węglarki”, naprawdę ciężkie granaty, i lądują daleko za nami. Wydają beklawe, ochryple odległe dźwięki, jak jelenie na rykowisku,

i poruszają się po swojej trajektorii wysoko ponad wyciem i świstaniem mniejszych pocisków.

Reflektory zaczynają przeszukiwać czarne niebo. Prześlizgują się po nim niczym ogromne, zwężające się ku końcowi lineały. Jeden zatrzymuje się i drży odrobinę. Natychmiast zjawia się przy nim drugi, krzyżują się, czarny owad między nimi próbuje uciec: to samolot. Chwieje się, bo oślepiiony pilot traci pewność siebie.

Wbijamy w regularnych odstępach żelazne słupki. Każdy zwój trzyma dwóch ludzi, pozostali rozwijają drut kolczasty. To obrzydliwy drut z osadzonymi gęsto długimi kolcami. Odwykłem już od rozwijania i rozrywam sobie rękę.

Zajmuje nam to kilka godzin. Mamy jeszcze trochę czasu do przyjazdu ciężarówek. Większość z nas kładzie się i śpi. Ja też próbuję, zrobiło się jednak zbyt zimno. Czuć, że jesteśmy blisko morza, co rusz budzi człowieka chłód.

Raz udaje mi się twardo zasnąć. Kiedy nagle się budzę i podnoszę gwałtownie, nie wiem, gdzie jestem. Widzę gwiazdy, widzę rakiety i przez chwilę mam wrażenie, że zasnąłem podczas przyjęcia w ogrodzie. Nie wiem, czy jest ranek, czy wieczór, leżę w bladej kołysce półmroku i czekam na miękkie słowa, które muszą paść, miękko i bezpiecznie – czy ja płaczę? Dotykam oczu, czuję się tak dziwnie, czyżbym był dzieckiem? Delikatna skóra – trwa to tylko sekundę, potem rozpoznaję sylwetkę Katczńskiego. Siedzi spokojnie, stary żołnierz, i pali fajkę, naturalnie fajkę z przykrywką. Kiedy dostrzega, że już nie śpię, mówi:

– Nieźle się wystraszyłeś. To był tylko zapalnik, spadł tam, w krzaki.

Siadam na ziemi, czuję się dziwnie samotny. Dobrze, że Kat jest przy mnie. Patrzy w zamyśleniu w kierunku frontu.

– Śliczne fajerwerki – mówi – gdyby tylko nie były tak niebezpieczne.

Za nami uderza pocisk. Podrywa się paru wystraszonych rekrutów. Jeszcze przez kilka minut trwa ostrzał, bliższy niż poprzednio. Kat wystukuje popiół z fajki.

– Będziemy pod silnym ostrzałem.

Już się zaczyna. Odczołgujemy się w pośpiechu jak najdalej. Następny pocisk ląduje już wśród nas.

Paru ludzi krzyczy. Na horyzoncie wzbijają się w górę zielone rakiety. W górę tryska błoto, bzyczą odłamki. Słysząc jeszcze, jak plaskają w ziemię, gdy dawno ucichł huk uderzeń pocisków.

Obok nas leży wystraszony rekrut: Iniana czupryna, twarz wciśnięta w dłonie. Hełm spadł mu z głowy i odtoczył się kawałek. Przyciągam hełm do siebie i próbuję mu nałożyć na głowę. Podnosi na mnie wzrok, zrzuca hełm i niczym dziecko wtula mi głowę pod ramię, tuż przy piersi. Szczupłe ramiona dygoczą. Takie same ramiona miał Kemmerich.

Nie protestuję. Żeby jednak hełm przynajmniej na coś się przydał, wciskam go młodzieńcowi na zadek, nie dla głupiego żartu, tylko z rozmysłem, bo to najwyżej położona część jego ciała. Choć mieści się tam także gruba warstwa tłuszczu, postrzały w tej okolicy bywają cholernie bolesne, poza tym w lazarecie trzeba miesiącami leżeć na brzuchu, a potem prawie na pewno będzie się utykać.

Gdzieś potężnie pieprzněło. W przerwach między uderzeniami pocisków słysząc krzyki.

W końcu się uspokaja. Ogień przetoczył się nad nami i koncentruje teraz na ostatnich okopach rezerwistów. Ryzykujemy rzut oka. Na niebie migają czerwone rakiety. Prawdopodobnie nastąpi atak.

U nas nadal spokojnie. Siadam na ziemi i potrząsam rekruta za ramię.

– Już po wszystkim, mały! Jeszcze raz się udało.

Ten rozgląda się zdezorientowany.

– Na pewno się przyzwyczaisz – przekonuję go.

Dostrzega swój hełm i go nakłada. Powoli dochodzi do siebie. Nagle jego twarz oblewa ognisty rumieniec i pokrywa wyraz zmieszania. Rekrut ostrożnie sięga ręką za siebie i patrzy na mnie z udręczoną miną. Natychmiast się domyślam: „gorączka armatnia”. Powinienem był podstawić mu hełm wszędzie, tylko nie tam – mimo to go pocieszam:

– To nie hańba, nie ty pierwszy; niejeden chojrak miał pełne spodnie po pierwszym ataku ogniowym. Idź za tamten krzak i wyrzuć gacie. Będzie po sprawie.

Posłusznie idzie za krzak. Robi się ciszej, ale krzyki nie ustają.

– Co się tam dzieje, Albercie? – pytam.

– Parę naszych kolumn oberwało w sam środek.

Wrzaski nie milkną. Ale to nie ludzie, ludzie nie potrafią wrzeszczeć tak okropnie.

– To ranne konie – stwierdza Kat.

Nigdy dotąd nie słyszałem wrzasku koni i nie za bardzo mogę uwierzyć. W tym jęku słyszać lament świata, udręczone stworzenie, dziki, potworny ból. Jesteśmy bladzi. Detering podnosi się.

– Rakarze, rakarze! Zastrzelcie je!

Jest rolnikiem, obeznanym z końmi. Porusza go to do żywego. I jakby celowo ogień milknie teraz niemal zupełnie. Tym wyraźniej słyszeć wrzaski zwierząt. Nie wiadomo już, skąd docierają wśród tego jakże cichego teraz, srebrzystego krajobrazu, są niewidzialne, upiorne, wszędzie, między niebem a ziemią, narastają bezgranicznie – wściekły Detering ryczy:

– Zastrzelcie je, zastrzelcie je w końcu, do cholery!

– Najpierw muszą przecież zabrać ludzi – mówi Kat.

Wstajemy i rozglądamy się, w którym miejscu mogą być. Kiedy wypatrzymy zwierzęta, łatwiej będzie wytrzymać. Meyer ma przy sobie lornetkę. Widzimy ciemną grupę sanitariuszy i czarne, większe poruszające się bryły. To ranne konie. Ale nie wszystkie. Kilka galopuje w większej odległości, potykają się, walą na ziemię, biegną dalej. Jeden ma rozerwany brzuch, z którego zwisają długie jelita. Koń zaplątuje się w nie i upada, ale podnosi się znowu.

Detering przykłada mi karabin do ramienia i zaczyna mierzyć. Kat podbija mu broń.

– Czyś ty oszalał?

Rozdygotany Detering ciska karabin na ziemię.

Siadamy i zatykamy uszy. Te przeraźliwe skargi, jęki i zawodzenia przebijają się przez palce, wszędzie się przebijają.

Wszyscy potrafimy znieść niejedno. Tu jednak pot nas oblewa. Chciałoby się wstać i uciec, obojętne dokąd, byle tylko nie słyszeć już tego wrzasku. A przecież nie są to ludzie, tylko konie.

Od ciemnego kłębowiska odrywają się znowu nosze. Potem rozlegają się pojedyncze strzały. Leżące bryły, zadrzawszy, stają

się bardziej płaskie. Nareszcie! Ale to jeszcze nie koniec. Ludzie nie mogą się zbliżyć do rannych zwierząt, które uciekają w panicznym strachu, z całym bólem wypisanym na szeroko otwartych pyskach. Jedna z postaci przykłęka, pada strzał – koń wali się na ziemię – i jeszcze jeden. Ostatni opiera się na przednich nogach i obraca w koło jak karuzela, siedząc, obraca się w koło wsparty na przednich nogach, pewnie ma strzaskany grzbiet. Żołnierz podbiega do niego i strzela z bliska. Zwierzę powoli, pokornie osuwa się na ziemię.

Odrywamy dłonie od uszu. Wrzaski umilkły. W powietrzu wisi jeszcze tylko przeciągłe, zamierające westchnienie. Potem znów są wyłącznie rakiety, śpiew przelatujących granatów i gwiazdy na niebie – i to jest niemal dziwne.

Detering odchodzi, przeklinając.

– Chciałbym wiedzieć, co one komu zawiniły. – Później podchodzi jeszcze raz. Jego wzburzony głos brzmi prawie uroczyście, kiedy mówi: – Powiadam wam, to największa podłość, że zwierzęta są na wojnie.

Wracamy. Pora dotrzeć do naszych wozów. Niebo rozjaśniło się odrobinę. Trzecia nad ranem. Powiewa świeży chłodny wiatr, blada poświata powleka nasze twarze szarością.

Trochę po omacku podążamy gęsiego przez okopy i leje po pociskach i trafiamy z powrotem do strefy mgły. Katczinsky jest niespokojny, to zły znak.

– Co z tobą, Kat? – pyta Kropp.

– Chciałbym, żebyśmy byli już w domu.

W domu... ma na myśli baraki.

– Już niedługo, Kat.

Nadal jest zdenerwowany.

– Nie wiem, nie wiem...

Dochodzimy do rowów łączących, a potem do łąk. Pojawia się lasek, znamy tu każdą piędź ziemi. Widać już żołnierski cmentarz z mogiłami i czarnymi krzyżami.

W tym momencie za nami rozlega się gwizd, który narasta, potem huk i grzmot. Schyliliśmy się – sto metrów przed nami wystrzela w górę chmura ognia.

W następnej minucie, po drugim wybuchu, cały kawałek lasu unosi się powoli ponad wierzchołki, trzy, cztery drzewa szybują razem z nim, rozpadając się przy tym na kawałki. A już syczą niczym wentyle kotłów zbliżające się następne granaty – ostry ogień...

– Kryć się! – krzyczy ktoś. – Kryć się!

Łąki są płaskie, lasek zbyt odległy i niebezpieczny – nie ma innej osłony niż cmentarz i mogiły. Potykając się po ciemku, wpadamy tam, każdy jak plwocina przywarł od razu za jedną z mogił.

Ani o chwilę za wcześnie. Ogarnięta szaleństwem ciemność faluje i huczy. Pędzą na nas i potężnymi garbami przetaczają się po nas ciemności czarniejsze niż noc. Ogień eksplozji zalewa cmentarz migotliwym blaskiem.

Nigdzie wyjścia. W świetle rozbłyskujących granatów ryzykuję rzut oka na łąki. Przypominają wzburzone morze, długie języki ognia wyskakują niczym fontanny z eksplodujących pocisków. Nie ma mowy, żeby ktoś tamtędy przeszedł.

Lasek znika, miażdżony, rozszarpywany, rozdzierany. Musimy zostać tu, na cmentarzu.

Przed nami pęka ziemia. Z góry sypią się bryły ziemi. Czuję szarpnięcie. To jakiś odłamek rozrywa mi rękaw. Zaciskam pięść. Żadnego bólu. Nie uspokaja mnie to jednak, rany bolą zawsze dopiero później. Przesuwam dłonią po ramieniu. Jest całe, to tylko zadraśnięcie. Wtem czuję huknięcie w czaszkę tak mocne, że mąci mi świadomość. Niczym błyskawica przesywa mnie myśl: Tylko nie zemdleć! Na moment pogrążam się w czarnej brei, ale natychmiast wydobywam się na powierzchnię. To odłamek uderzył w mój hełm, nadleciał jednak z tak daleka, że go nie przebił. Wycieram błoto z oczu. Przede mną dziura wyrwana przez pocisk, widzę ją niewyraźnie. Granaty bardzo rzadko trafiają w ten sam lej, dlatego zamierzam się w nim schronić. Szczupakiem rzucam się w przód, przypadam płasko do ziemi – znów zaczynają świstać pociski, szybko się kulę, szukam ręką osłony, czuję coś po lewej, przyciskam się do niego, to coś ustępuje, wydaję jęk, ziemia się rozrywa, ciśnienie powietrza huczy mi w uszach, wczolguję się pod to coś ustępującego, przykrywam się nim, to drewno, tkanina, w każdym razie osłona, żałosna osłona przed spadającymi odłamkami.

Otwieram oczy – moje palce obejmują kurczowo jakiś rękaw, ramię. Ranny? Wołam do niego – nie odpowiada – to trup. Moja dłoń wędruje dalej, natrafia na drzazgi – wtedy przypominam sobie, że zalegliśmy na cmentarzu.

Ogień jednak jest silniejszy niż cała reszta. Przyprawia człowieka o utratę zmysłów, wczolguję się jeszcze głębiej pod

trumnę, niech mnie osłania, choćby leżała w niej śmierć we własnej osobie.

Przede mną ziele lej. Obejmuję go wzrokiem jak rękami, muszę do niego wskoczyć jednym susem. Wtem dostaję cios w twarz, jakaś ręka chwyta mnie za ramię – czyżby trup ożył? Ręka potrząsa mną, odwracam głowę, w trwającym sekundę rozbłysku światła dostrzegam twarz Katczinskiego. Kat ma usta szeroko otwarte i coś krzyczy, nic nie słyszę, potrząsa mną ponownie, zbliża do mnie twarz; w momencie gdy huk przycicha, dociera do mnie jego głos:

– Gaz – gaaaz – gaaaz – przekazać dalej!

Przyciągam do siebie torbę z maską. W pewnej odległości ode mnie ktoś leży. W mojej głowie tłucze się tylko jedna myśl: Muszę mu powiedzieć: „Gaaaz – gaaaz!”

Wołam, przysuwam się, uderzam w niego maską, niczego nie zauważa – jeszcze raz i jeszcze raz – kuli się tylko – to rekrut – rozpaczliwie spoglądam na Kata, który założył już maskę – ja też wyszarpuję swoją, hełm odrzucam na bok, maskę naciągam na twarz, docieram do tego młodego żołnierza, tuż obok mnie leży jego maska, chwytam ją, zakładam mu na głowę, on przytrzymuje – wtedy puszczam – i nagłym rzutem ciała ląduję w leju.

Głuchy huk granatów gazowych miesza się z trzaskiem pocisków wybuchających. Między eksplozjami słychać dźwięki dzwonu, gongi, szczęk metalu zapowiadające wszędzie – gaz – gaz – gaz...

Za mną rozlega się pląśnięcie, raz, dwa razy. Przecieram okulary swojej maski zaparowane od oddechu. Są Kat, Kropp

i jeszcze ktoś. Leżymy we czterech w ciężkim, czyhającym napięciu i staramy się oddychać jak najpłycej.

Te pierwsze minuty w masce decydują o życiu i śmierci: czy jest szczelna? Znam straszliwe obrazy z lazaretu: zatruci gazem, którzy dławiąc się całymi dniami, wymiotują po kawałku spalonymi płucami.

Ostrożnie przyciskam wargi do ustnika i oddycham. Teraz nad ziemią pełza smuga, która zapada w każde zagłębienie. Niczym miękka, szeroka meduza kładzie się w naszym leju, wślizguje do środka. Trącam Kata: Lepiej wyczołgać się na zewnątrz i leżeć na górze, a nie tutaj, gdzie zbiera się najwięcej gazu. Nie zdążyliśmy jednak tego zrobić; spada na nas drugi grad pocisków. Wydaje się już, że to nie pociski tak ryczą, tylko sama ziemia huczy.

Szalonym pędem zbliża się do nas z nieba coś czarnego i uderza z trzaskiem tuż obok: to trumna wyrzucona w górę.

Widzę, że Kat się rusza, więc podczołguję się do niego. Trumna uderzyła w wyciągnięte ramię czwartego w naszej dziurze. Żołnierz próbuje drugą ręką zerwać z twarzy maskę gazową. Kropp interweniuje w samą porę, bezwzględnie wykręca mu rękę i przytrzymuje.

Kat i ja zabieramy się do uwolnienia rannej ręki. Wieko trumny jest luźne i popękane, bez trudu możemy je oderwać, trupa wyrzucamy, zsuwa się bezwładnie po ścianie leju, następnie próbujemy poluzować dolną część.

Na szczęście żołnierz traci przytomność i Albert może nam pomóc. Nie musimy już być tacy ostrożni, więc pracujemy ile sił, dopóki trumna z lekkim westchnieniem nie ustępuje dźwignięta podłożonym od spodu szpadlem.

Rozjaśniło się. Kat bierze deskę z wieka, która ma usztywnić strzaskane ramię, obwiązujemy je wszystkimi opatrunkami, jakie mamy. Nic więcej nie możemy w tej chwili zrobić.

Pod maską gazową huczy mi w głowie, czaszkaomal mi nie pęka. Płuca pracują z wysiłkiem, wciąż pobierają to samo gorące, zużyte powietrze, żyły skroniowe nabrzmiewają, człowiek ma wrażenie, że się dusi.

Do naszego leja sączy się szare światło. Wiatr zamiata po cmentarzu. Winduję się ponad brzeg leja. W brudnym półmroku leży przede mną urwana noga, but jest zupełnie cały, w tym momencie widzę wszystko bardzo wyraźnie. Teraz jednak kilka metrów dalej podnosi się ktoś, czyszczę okulary, ale taki jestem zdenerwowany, że natychmiast zachodzą mi z powrotem mgłą, wpatruję się usilnie – tamten nie ma już maski.

Czekam jeszcze parę sekund – nie pada trupem, rozgląda się, jakby czegoś szukał, robi kilka kroków – wiatr rozwiął gaz, którego nie ma już w powietrzu – wtedy i ja, oddychając chrapliwie, zdejmuję maskę i padam na ziemię, powietrze wpływa we mnie jak zimna woda, oczy nieomal pękają, zalewa mnie i wymazuje ciemna fala i zapada noc.

Pociski przestały spadać. Odwracam się w stronę leja i kiwam na pozostałych. Wyczołgują się na zewnątrz i zrywają maski z twarzy. Pomagamy iść rannemu, jeden z nas bierze go pod ramię usztywnione szyną. I potykając się, odchodzimy śpiesznie.

Cmentarz zamienił się w rumowisko. Wszędzie porozrzucane trumny i zwłoki. To zabici po raz drugi, ale każde z tych poszarpanych ciał uratowało jednego z nas.

Ogrodzenie jest zniszczone, szyny kolei polowej zerwane, powyginane sterczą w górę. Przed nami ktoś leży. Zatrzymujemy się, tylko Kropp z rannym idzie dalej.

Żołnierz leżący na ziemi to rekrut. Ma zakrwawione biodro: taki jest wyczerpany, że sięgam po manierkę, w której trzymam rum z herbatą. Kat przytrzymuje mnie za rękę i pochyla się nad nim.

– Gdzie dostałeś, kolego?

Ten tylko porusza oczami, za słaby, żeby odpowiedzieć.

Ostrożnie rozcinamy mu spodnie. Jęczy.

– Spokojnie, spokojnie, przecież będzie ci wygodniej.

Jeśli dostał postrzał w brzuch, nie powinien nic pić. Nie wymiotował, to korzystny objaw. Odsłaniamy biodro. Jedna wielka breja z posiekanego ciała i odłamków kości. Pocisk trafił dokładnie w staw. Ten chłopak już nigdy nie będzie mógł chodzić.

Zwilżonymi w płynie z manierki palcami pocieram mu skronie i daję łyk do picia. Jego oczy ożywiają się. Dopiero teraz widzimy, że również prawe ramię krwawi.

Kat rozpruwa dwa opatrunki najszerzej, jak to możliwe, żeby zakryły ranę. Szukam jakiegoś materiału, żeby luźno ją owinąć. Nie mamy nic więcej, dlatego rozcinam rannemu nogawkę jeszcze wyżej, chcę wykorzystać jako bandaż kawałek gaci. Ale chłopak nie ma gaci. Przyglądam mu się bliżej: to ten sam blondynek co poprzednio.

Tymczasem Kat wyciągnął z kieszeni jakiegoś zabitego następne opatrunki, które ostrożnie przykładamy do rany.

– Teraz pójdziemy po nosze – mówię do chłopca, który nie spuszcza nas z oka.

Ten otwiera wreszcie usta i szepcze:

– Zostańcie tutaj...

– Zaraz przecież wrócimy – mówi Kat. – Przyniesiemy dla ciebie nosze.

Nie widać po nim, czy zrozumiał; popłakuje za naszymi plecami jak małe dziecko.

– Nie odchodźcie...

Kat ogląda się za siebie i szepcze:

– Czy nie należałoby po prostu wziąć rewolwer, żeby to się skończyło?

Chłopak raczej nie wytrzyma transportu, a w najlepszym razie pożyje kilka dni. Wszystko co do tej pory będzie jednak niczym wobec tego czasu do jego śmierci. Teraz jeszcze jest otępiały i nic nie czuje. Za godzinę stanie się wrzeszczącym kłębkiem nieznosnych bólów. Dni, jakie będzie mógł jeszcze przeżyć, staną się dla niego jedną wielką szaloną męczarnią. A kto skorzysta na tym, czy ominie ona chłopaka czy nie...

Kiwam głową.

– Tak, Kat, należałoby wziąć rewolwer.

– Dawaj – mówi i zatrzymuje się. Jest zdecydowany, widzę to po nim. Rozglądamy się dokoła, ale nie jesteśmy już sami. Przed nami zbiera się gromadka, z lejów i okopów wyłaniają się głowy.

Przynosimy nosze.

Kat kręci głową.

– Tacy młodzi chłopcy. Tacy młodzi, niewinni chłopcy... – powtarza.

Nasze straty okazują się mniejsze, niż można było przypuszczać: pięciu zabitych i ośmiu rannych. To był tylko krótki atak ogniowy. Dwóch z naszych zabitych leży w jednym z rozoranych grobów; wystarczy ich zasypać ziemią.

Wracamy. Maszerujemy gęsiego w milczeniu. Rannych zanosimy do punktu sanitarnego. Poranek jest mglisty, sanitariusze biegają z numerkami i karteczkami, ranni pojękują. Zaczyna padać deszcz.

Po godzinie dotarliśmy do swoich ciężarówek i wspinamy się na nie. Teraz jest na nich więcej miejsca niż poprzednio.

Deszcz się nasila. Rozkładamy pałatki i przykrywamy nimi głowy. Woda z nieba bębni w brezentowe płachty, po bokach spływają strumyki. Wozy przejeżdżają z pluskiem przez wyboje, a my, drżemiąc, kołyszymy się tam i z powrotem.

Dwóch ludzi w przedniej części wozu ma przy sobie długie rozwidlone kije. Uważają na druty telefoniczne, zwisające w poprzek drogi tak nisko, że mogłyby urwać komuś głowę. Obaj chwytają je w porę za pomocą tych rozwidlonych kijów i unoszą nad nami. Kiedy słyszymy ich okrzyk: „Uwaga – drut”, robimy w półśnie przysiad, po czym wyprostowujemy się znowu.

Monotonnie kołyszą się wozy, monotonnie rozbrzmiewają okrzyki, monotonnie spływa deszcz. Spływa na nasze głowy i na głowy trupów na przedpolu, na ciało małego rekruta z o wiele za dużą raną na biodrze, spływa na grób Kemmericha, spływa na nasze serca.

Gdzieś odbija się echem uderzenie pocisku. Wzdrygamy się, wzrok mamy znów wyteżony, ręce gotowe, żeby przerzucić ciało ponad burtami wozu do przydrożnego rowu.

Nic więcej się nie dzieje. Tylko monotonne okrzyki: „Uwaga, drut” – przykłękamy – i znów zapadamy w półsen.

V

Trudno jest zabić pojedynczą wesz, kiedy ma się ich setki. Stworzenia są trochę twarde i niekończące się pstrykanie paznokciami staje się nudne. Dlatego Tjaden przymocował drutem wieczko z pudełka pasty do butów nad płonącym ogarkiem świecy. Do tej patelenki wszy są po prostu wrzucane – trzask, i kolejna załatwiona.

Siedzimy naokoło, koszule na kolanach, obnażone tułowia w ciepłym powietrzu, dłonie przy robocie. Haie ma wyjątkowo elegancki rodzaj wszy: z czerwonym krzyżem na łebkach. Dlatego twierdzi, że przywłókł je z lazaretu w Thourhout, pochodzą od starszego lekarza sztabowego osobiście. Mówi też, że tłuszcz zbierający się powoli w blaszanym wieczku będzie stosował do smarowania butów, po czym przez pół godziny zaśmiewa się do rozpuku ze swojego dowcipu.

Dziś jednak jego żarty nas nie śmieszą, coś innego zbyt mocno nas absorbuje.

Plotka okazała się prawdą. Jest Himmelstoss. Zjawił się poprzedniego dnia, słyszeliśmy już jego dobrze znany głos. Podobno w domu za mocno docierał paru młodych rekrutów. Nie wiedział, że jest wśród nich syn prezydenta regencji: to było przyczyną jego nieszczęścia.

Tutaj się zdziwi. Tjaden od paru godzin rozpatruje wszystkie możliwości, co mu odpowie. Haie spogląda w zamyśleniu na swoją wielką płetwę i mruga do mnie. Tamto lanie było punktem kulminacyjnym jego życia; opowiadał mi, że śni mu się jeszcze czasami.

Kropp i Müller rozmawiają. Kropp jako jedyny zdobył menażkę soczewicy, prawdopodobnie w kuchni saperów. Müller zerka pożądliwie w stronę jedzenia, opanowuje się jednak i pyta:

- Albercie, co byś zrobił, gdyby teraz nagle był pokój?
- Pokoju nie ma! – odpowiada krótko Albert.
- No, ale gdyby – upiera się Müller. – Co byś zrobił?
- Dałbym nogę! – warczy Kropp.
- To jasne. A potem?
- Upił się – mówi Albert.
- Nie gadaj bzdur, mówię poważnie.
- Ja też – odpowiada Albert. – A co innego należałoby zrobić.

Kat zainteresował się tematem. Żąda od Kroppa trybutu w soczewicy, dostaje go, po czym zastanawia się długo i w końcu mówi:

– Jasne, że można by się upić, lecz poza tym poczekać na następny pociąg – i odjazd do matuli. Człowieku, Albert, pokój!

Grzebie w swoim portfelu z ceraty, po czym wyciąga i pokazuje z dumą fotografię.

- Moja stara! – Po chwili zabiera zdjęcie i chowa z powrotem. – Cholerna wszawa wojna! – przeklina.
- Łatwo ci mówić – wtrącam. – Masz chłopaka i żonę.

– Zgadza się. – Kiwa głową. – Muszę dbać o to, żeby mieli co jeść.

Wybuchamy śmiechem.

– Tego ci nie zabraknie, Kat, a jak zabraknie, to po prostu zarekwirujesz.

Müller jest głodny i nie daje jeszcze za wygraną. Wrywa Haiego Westhusa z marzeń o łożeniu skóry.

– Haie, co ty byś zrobił, gdyby nastał teraz pokój?

– Powinien ci nakopać w dupę, że w ogóle zaczynasz tutaj taki temat – mówię. – Skąd to się właściwie bierze?

– Skąd krowie łajno wzięło się na dachu? – pyta lakonicznie w odpowiedzi Müller i odwraca się ponownie do Haiego Westhusa.

Dla Haiego to za dużo na raz. Kręci głową o piegowatej twarzy.

– Chodzi ci o to, kiedy nie będzie już wojny?

– Tak jest. Ty też wszystko łapiesz.

– Wtedy byłyby znowu baby, no nie? – Haie oblizuje wargi.

– To też.

– O, w mordę jeża – mówi Haie, a jego twarz topnieje – wtedy bym sobie wziął jakąś zdrową dziewczuchę, taką jurną kuchareczkę, wiesz, z porządnymi buforami, żeby było się czego przytrzymać, i z miejsca prosto do łóżka! Wyobraź sobie do tego prawdziwą pościel i sprężynowy materac, chłopaki, powiadam wam, przez osiem dni spodni bym nie wkładał.

Wszyscy milczą. Wizja jest zbyt cudowna. Dreszcze przechodzą nam po skórze. W końcu Müller zbiera się na odwagę i pyta:

– A potem?

Cisza. W końcu Haie oświadcza trochę zawile:

– Gdybym był podoficerem, do końca zostałbym przy Prusakach, do samej kapitulacji.

– Haie, jak nie masz fioła – mówię.

– Kopalesz już kiedyś torf? – pyta spokojnie w odpowiedzi. – To spróbuj.

To rzekłszy, wyciąga łyżkę zza cholewki buta i sięga do menażki Alberta.

– To nie może być gorsze od sypania szańców w Szampanii – odpowiadam.

Haie uśmiecha się, przeżuwając.

– Tylko trwa dłużej. Poza tym nie możesz się zadekować.

– Ależ człowieku, w domu jest przecież lepiej.

– Częściowo tak, a częściowo nie – mówi Haie i z pełnymi ustami pograża się w rozmyślaniach.

Z jego rysów można wyczytać, co myśli. Oto jest biedna chata na torfowisku, jest ciężka praca w upale na bezdrzewnym pustkowiu od rana do wieczora, jest skąpa zapłata, jest brudny kaftan parobka...

– Jak jest pokój, nie masz w wojsku żadnych zmartwień – oznajmia – codziennie żarcie, w przeciwnym razie podnosisz raban, masz łóżko, co osiem dni jak dżentelmen czystą bieliznę, masz służbę jako podoficer, masz piękny mundur – a wieczorem jesteś wolnym człowiekiem i idziesz do knajpy. – Haie jest ogromnie dumny ze swojego pomysłu. Wprost zakochuje się w nim. – A kiedy odsłużysz swoje dwanaście lat, dają ci świadectwo wysługi i zostajesz żandarmem. I przez cały dzień możesz spacerować. – Aż się spocił na myśl o takiej pięknej

przyszłości. – Wyobraź sobie, jak wtedy będziesz traktowany. Tu koniak, tam pół litra. Z żandarmem każdy chce żyć w zgodzie.

– Haie, ty przecież nigdy nie zostaniesz podoficerem – wtrąca Kat.

Haie spogląda na niego zaskoczonym wzrokiem i milknie. W jego myślach pojawiają się pewnie teraz pogodne jesienne wieczory, niedziele na stepie, wioskowe dzwony, popołudnia i noce z dziewczkami, naleśniki z mąki gryczanej z wielkimi okami słoniny, beztrąsko przegadywane godziny w karczmie...

Z tyloma wizjami naraz nie zdoła się tak szybko uporać, dlatego rozeźlony mruczy jedynie:

– Ciągłe pytacie tylko o takie bzdury.

Wkłada koszulę przez głowę i zapina kurtkę munduru.

– A co ty byś zrobił, Tjaden? – woła Kropp.

Tjaden zna tylko jedno.

– Uważał, żeby Himmelstoss mi nie czmychnął.

Prawdopodobnie najchętniej zamknąłby go w jakiejś klatce i co rano rzucał się na niego z pałką. A zwracając się do Kroppa, ciągnie w rozmarzeniu:

– Na twoim miejscu postarałbym się zostać porucznikiem. Wtedy mógłbyś go tak docierać, żeby mu się woda w tyłku gotowała.

– A ty, Detering? – docieka dalej Müller. Urodzony z niego nauczyciel, kiedy się tak dopytuje.

Detering jest mało mówny. Ale w tym temacie udziela odpowiedzi. Patrząc przed siebie, wypowiada tylko jedno zdanie:

– Ja bym zdążył wrócić akurat na żniwa.

To rzekłszy, wstaje i odchodzi.

Martwi się. Żona musi sama prowadzić gospodarstwo. Na dodatek zarekwirowano mu dwa konie. Codziennie czyta przychodzące gazety, czy deszcz przypadkiem nie pada w jego stronach w pobliżu Oldenburga. Bo wtedy nie zdążą zwieźć siana.

W tym momencie zjawia się Himmelstoss. Podchodzi prosto do naszej grupy. Tjaden dostaje jakichś plam na twarzy. Wykłada się w trawie jak długi i zamyka oczy ze zdenerwowania.

Himmelstoss jest trochę niezdecydowany, zwalnia. W końcu jednak zbliża się do nas. Nikt ani myśli się podnieść. Kropp przygląda mu się z zainteresowaniem.

Tamten staje przed nami i czeka. Ponieważ nikt nic nie mówi, rzuca tylko:

– No?

Mija parę sekund; najwyraźniej Himmelstoss nie wie, jak się zachować. Najchętniej zrobiłby nam teraz musztrę i kazał biec galopem. W każdym razie chyba już się nauczył, że front to nie plac koszarowy. Próbuje jeszcze raz, ale nie zwraca się już do wszystkich, tylko do jednego, ma nadzieję, że w ten sposób prędzej doczeka się odpowiedzi. Kropp znajduje się najbliżej, dlatego jego zaszczyca:

– No, wy też tutaj?

Albert nie jest jednak jego przyjacielem. Odpowiada krótko:

– Trochę dłużej niż wy, jak sądzę.

Rudawe wąsiki podrygują.

– Pewnie mnie już nie znacie, co?

Tjaden otwiera w końcu oczy.

– Znamy.

Himmelstoss zwraca się w jego stronę.

– To przecież Tjaden, nie?

Tjaden unosi głowę.

– A wiesz, kim ty jesteś?

Himmelstoss daje się zaskoczyć.

– Od kiedy to jesteśmy na ty? Jeszcze nie leżeliśmy razem w przydrożnym rowie.

Ani rusz nie potrafi wybrnąć z sytuacji. Nie spodziewał się takiej otwartej wrogości. Na razie jednak ma się na baczności; na pewno ktoś naopowiadał mu bzdur o strzelaniu w plecy.

Zagadnięty o przydrożny rów, Tjaden w swojej wściekłości zdobywa się nawet na dowcip.

– Nie, tam tylko ty leżałeś.

Teraz również w Himmelstossie zawrzała krew, lecz Tjaden czym prędzej go uprzedza. Musi wyrzucić z siebie, co ma do powiedzenia.

– Chcesz wiedzieć, kim jesteś? Jesteś bydlakiem, tym jesteś! Od dawna chciałem ci to powiedzieć.

W błyszczących świńskich oczkach widać satysfakcję za tych wiele miesięcy, kiedy wyrzuca z siebie słowo „bydlak”.

Także Himmelstossowi puszczają nerwy.

– Czego chcesz, gnojku, brudny kopaczu torfu? Wstawać, złączyć gnaty, kiedy przełożony do was mówi!

Tjaden gasi go szerokim machnięciem.

– Możecie spocząć, Himmelstoss. Odmaszerować.

Himmelstoss wygląda w szale jak uosobienie regulaminu musztry. Cesarz nie byłby bardziej obrażony.

– Tjaden – wrzeszczy – rozkazuję wam: macie wstać!

– Coś jeszcze? – pyta Tjaden.

– Wykonacie mój rozkaz czy nie?

Kończąc rozmowę, Tjaden odpowiada spokojnie, choć o tym nie wie, najbardziej znanym cytatem z klasyka ¹. Jednocześnie uchyla tylną część spodni.

Himmelstoss rzuca się do odwrotu.

– Pójdziecie pod sąd wojenny!

Widzimy, jak oddala się w kierunku kancelarii.

Haie i Tjaden zarykują się do rozpuku jak dwaj kopacze torfu. Haie tak się śmieje, że zwichnął sobie szczękę i nagle stoi bezradnie z rozdziawionymi ustami. Albert musi go rąbnąć pięścią, żeby mu ją z powrotem nastawić.

Kat nie kryje z troskowania.

– Jeśli złożysz na ciebie raport, będzie niewesoło.

– Sądzisz, że to zrobi? – pyta Tjaden.

– Na pewno – potwierdzam.

– Dostaniesz co najmniej pięć dni ścisłego – oświadcza Kat.

Tjadena wcale to nie przeraża.

– Pięć dni paki to pięć dni spokoju.

– A jeśli trafisz do twierdzy? – bada dociekliwszy Müller.

– Wtedy na tyle dni wojna się dla mnie skończy.

Tjaden jest w czepku urodzony. Niczym się nie przejmuje. Odchodzi razem z Haiem i Leerem, żeby nie można go było znaleźć w pierwszym zamieszaniu.

Müller wciąż jeszcze nie skończył swojego przepytывania. Ponownie bierze w obroty Kroppa.

– Albercie, gdybyś faktycznie trafił do domu, to co byś zrobił?

Kropp jest już syty, dlatego bardziej ustępliwy.

– Ilu by nas właściwie było teraz w klasie?

Liczymy: z dwudziestu siedmiu nie żyje, czterech jest rannych, jeden w zakładzie dla obłąkanych. Zebrałoby się więc najwyżej dwunastu ludzi.

– Trzej z nich to porucznicy – mówi Müller. – Sądzisz, że pozwoliliby Kantorkowi, żeby rozdzierał na nich mordę?

Nie sądzimy, my też byśmy mu na to nie pozwolili.

– Co właściwie sądzisz o trzech wątkach akcji w *Wilhelmie Tellu*? – przypomina sobie nagle Kropp i zarykuje ze śmiechu.

– Jakie były cele poetyckiego Gaju Getyńskiego? – docieka Müller, nagle bardzo surowo.

– Ile dzieci miał Karol Śmiały? – odpowiadam spokojnie.

– Bäumer, pan do niczego w życiu nie dojdzie – skrzeczy Müller.

– Kiedy była bitwa pod Zamą? – dopytuje się Kropp.

– Brak panu moralnej powagi, Kropp, proszę siadać, trzy minus. – Odprawiam go, machając ręką.

– Jakie zadania państwa Likurg uważał za najważniejsze? – dopowiada szeptem Müller i poprawia wyimaginowane binokle.

– Co jest poprawne: My, Niemcy, boimy się tylko Boga, poza tym nikogo na świecie, czy: My, Niemce...? – poddaję pod rozwagę.

– Ilu mieszkańców ma Melbourne? – świergocze w odpowiedzi Müller.

– Jak pan zamierza dać sobie radę w życiu, jeśli pan tego nie wie? – zwracam się z oburzeniem do Alberta.

– Co rozumiemy pod pojęciem kohezji? – ripostuje triumfalnie.

Z całego tego bagażu wiedzy niewiele nam zostało. Nic nam też ona nie dała. Ale nikt w szkole nie nauczył nas, jak zapalać papierosa podczas deszczu i burzy, jak rozpalić ognisko z wilgotnego drewna – albo że bagnet najlepiej wbijać w brzuch, bo tam nie utyka jak między żebrami.

– Nic na to nie poradzimy – mówi w zamyśleniu Müller. – I tak będziemy musieli wrócić do szkolnej ławy.

Ja uważam, że to wykluczone.

– Może zrobimy skróconą maturę.

– Do tego potrzebujesz przygotowania. A kiedy już ją zdasz, to co potem? Niewiele lepiej być studentem. Jeśli nie masz pieniędzy, też musisz zakuwać.

– Tak czy owak, trochę lepiej. Mimo to tam też pakują ci do głowy same bzdury.

Kroppowi udaje się dobrze uchwycić nasz nastrój:

– Jak można to wszystko brać poważnie, gdy człowiek był tu, na froncie.

– Musisz przecież mieć jakiś zawód – wtrąca Müller, jakby był ucieleśnieniem Kantorka.

Albert czyści paznokcie nożem. Dziwi nas ta przesadna dbałość o elegancję. Ale to tylko zamyślenie. Odsuwa nóż i oświadcza:

– To jest to. Kat i Detering, i Haie wrócą do swoich zawodów, bo mieli je już przedtem. Himmelstoss też. My nie mieliśmy. Jak po tym tutaj – wykonuje ruch w stronę frontu – mielibyśmy jeszcze przywyknąć do jakiegoś?

– Najlepiej byłoby zostać rentierem i potem móc mieszkać całkiem samemu w lesie – mówię, lecz natychmiast wstydzę się tej manii wielkości.

– Co to będzie, kiedy wrócimy? – zastanawia się na głos Müller, sam zmieszany własnym pytaniem.

Kropp wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Najpierw trzeba wrócić, wtedy się okaże.

Właściwie wszyscy jesteśmy bezradni.

– A co można by robić? – pytam.

– Ja nie mam ochoty na nic – odpowiada Kropp znużonym głosem. – Pewnego dnia człowiek będzie przecież martwy, i co wtedy będzie miał? Nie sędzę, żebyśmy w ogóle wrócili.

– Kiedy się nad tym zastanawiam, Albercie – mówię po chwili i obracam się na plecy – to gdy słyszę słowo „pokój” i on by naprawdę nastał, chciałbym zrobić coś niewyobrażalnego, taka myśl ciśnie mi się do głowy. Coś, rozumiesz, co będzie warte tego, że leżało się w tym gównie. Tyle że nie potrafię sobie nic wyobrazić. Możliwości, jakie widzę, cały ten kram ze zdobyciem zawodu i studiami, a potem pensja i tak dalej – mierzi mnie to, bo to zawsze było i to jest coś obrzydliwego. Niczego nie znajduję – niczego nie znajduję, Albercie.

W jednej chwili wszystko wydaje mi się beznadziejne i rozpaczliwe.

Kropp również się nad tym zastanawia.

– W ogóle ciężko będzie nam wszystkim. Czy ci w ojczyźnie nie martwią się o to czasami? Dwa lata strzelania i rzucania granatów – tego nie można potem tak po prostu odrzucić jak brudną skarpetę...

Zgadza się co do tego, że każdy odczuwa podobnie, nie tylko my tutaj, wszędzie, każdy, kto jest w takim samym położeniu, jeden mniej, drugi bardziej. To wspólny los naszego pokolenia.

Albert wypowiada to na głos:

– Wojna zepsuła nas do wszystkiego.

Ma rację. Nie jesteśmy już młodzieżą. Nie chcemy już szturmować świata. Jesteśmy uciekinierami. Uciekamy przed sobą. Uciekamy przed swoim życiem. Mieliśmy osiemnaście lat i zaczęliśmy kochać świat i życie, i do tego właśnie musieliśmy strzelić. Pierwszy granat, który uderzył, trafił nas w serce. Jesteśmy odcięci od czynnego życia, od dążeń, od postępu. Nie wierzymy już w nie, wierzymy w wojnę.

W kancelarii ożywienie. Wygląda na to, że Himmelstoss ją zaalarmował. Na czele kolumny pośpiesza gruby feldfebel. To śmieszne, prawie wszyscy etatowi feldfeble są grubi.

Za nim podąża żądny zemsty Himmelstoss. Jego buty błyszczą w słońcu.

Podnosimy się.

– Gdzie jest Tjaden? – wysapuje feldfebel.

Naturalnie nikt nie wie. Himmelstoss błyska w naszą stronę ze złością szklami okularów.

– Na pewno wiecie. Tylko nie chcecie powiedzieć. Jazda, gadać.

Sierżant rozgląda się, szukając pomocy; Tjadena nigdzie nie widać, próbuje więc z innej strony.

– Za dziesięć minut Tjaden ma się zameldować w kancelarii.

To rzekłszy, oddala się, Himmelstoss tuż za nim.

– Mam przeczucie, że podczas następnego sypania szanćów zwój drutu wypadnie mi na kolana Himmelstossa – przewiduje Kropp.

– Jeszcze będziemy mieli z nim wielki ubaw – śmieje się Müller.

Taką mamy ambicję: zadać bobu listonoszowi.

Idę do baraku i informuję o wszystkim Tjadena, żeby się zwinął.

Potem zmieniamy miejsce i rozkładamy się znowu, żeby pograć w karty. To bowiem potrafimy: grać w karty, przeklinać i prowadzić wojnę. Niewiele jak na dwadzieścia lat – zbyt wiele jak na dwadzieścia lat.

Pół godziny później Himmelstoss znowu jest przy nas. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Pyta o Tjadena. Wzruszamy ramionami.

– Mieliście go przecież szukać – upiera się.

– Jacy wy? – dopytuje się Kropp.

– No, wy tutaj.

– Chciałbym pana prosić o nietykanie nas – mówi Kropp niczym jakiś pułkownik.

Himmelstoss spada z obłoków.

– A niby kto was tyka?

– Pan!

– Ja?

– Tak.

Widać, że mocno się zastanawia. Nieufnie zerka na Kroppa, bo nie ma pojęcia, co ten ma na myśli. W każdym razie w tym punkcie nie dowierza sobie za bardzo i wychodzi nam naprzeciw.

– Nie znaleźliście go?

Kropp kładzie się w trawie i zagaduje:

– Był pan już kiedyś na froncie?

– To nie wasza sprawa – oświadcza stanowczo Himmelstoss. – Żądam odpowiedzi.

– Załatwione – odpowiada Kropp, podnosząc się. – Niech pan popatrzy tam, gdzie widać te małe obłoczki. To pociski artylerii przeciwlotniczej. Byliśmy tam wczoraj. Pięciu zabitych, ośmiu rannych. A przecież to była właściwie zabawa. Kiedy następnym razem pan też tam pójdzie, żołnierze, zanim umrą, staną przed panem na baczność, trzasną obcasami i służbiście zapytają: „Czy wolno odmaszerować? Czy wolno wykitować?” Czekaliśmy tutaj właśnie na takich ludzi jak pan.

Siada z powrotem, a Himmelstoss znika jak kometa.

– Trzy dni aresztu – wysuwa przypuszczenie Kat.

– Następnym razem ja mu wygarnę – mówię do Alberta.

Ale to już koniec. Za to wieczorem w porze apelu odbywa się przesłuchanie. W kancelarii siedzi nasz porucznik Bertinck i każe nas wołać jednego po drugim.

Ja również muszę się stawić jako świadek i wyjaśniam, dlaczego Tjaden się zbuntował. Historia z nocnym moczeniem się robi wrażenie. Po wezwaniu Himmelstossa w jego obecności powtarzam swoje zeznania.

– Czy to prawda? – pyta Bertinck Himmelstossa.

Ten wykręca się jak piskorz, lecz w końcu musi się przyznać, kiedy Kropp zeznaje to samo.

– To dlaczego nikt nie zameldował o tym wtedy? – pyta Bertinck.

Milczymy; sam powinien wiedzieć, jaki sens mają zażalenia na takie drobiazgi w wojsku. Czy w wojsku są w ogóle zażalenia? Porucznik pewnie to rozumie i na początek beszta Himmelstossa,

jeszcze raz energicznie mu uświadamiając, że front to nie plac koszarowy. Następnie przychodzi kolej na Tjadena, który otrzymuje porządne i dłuższe kazanie oraz trzy dni aresztu o średnim rygorze. Na Kroppa, mrugając powieką, nakłada dzień aresztu.

– Nie da się inaczej – oświadcza z ubolewaniem. To rozsądny facet.

Areszt o średnim rygorze jest przyjemny. Pomieszczenie aresztu to dawny kurnik; tam obaj mogą przyjmować wizyty, wiemy już, jak tam trafić. Ścisły areszt oznaczałby piwnicę. Dawniej przywiązywano nas też do drzewa, ale teraz nie wolno tego robić. Czasami traktują nas już jak ludzi.

W godzinę po tym, jak Tjaden i Kropp lądują za drucianą siatką, ruszamy do nich w odwiedzin. Tjaden nas wita, piejąc jak kogut. Potem do nocy gramy w skata. Tjaden, ten głupek, naturalnie wygrywa.

Kiedy wychodzimy, Kat mnie pyta:

- Co sądzisz o pieczeni z gęsi?
- Niezły pomysł – stwierdzam.

Wspinamy się na jeden z wozów kolumny wiozącej amunicję. Jazda kosztuje dwa papierosy. Kat dokładnie zapamiętał miejsce. Pomieszczenie, gdzie trzymany jest drób, należy do sztabu pułku. Postanawiamy, że ja pójde po gęś, Kat udziela mi instrukcji. Pomieszczenie znajduje się za murem, zamykane tylko na kolek.

Kat podstawia złożone dłonie, opieram na nich stopę i winduję się na mur. On w tym czasie stoi na czatach.

Odczekuję kilka minut, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. W końcu dostrzegam pomieszczenie. Podkradam się cicho, wymacuję kołek, wyciągam go i otwieram drzwi.

Rozróżniam dwie białe plamy. Dwie gęsi, kiepska sprawa: gdy złapię jedną, druga zacznie gęgać. A więc obie – jeśli będę szybki, powinno się udać.

Jednym susem doskakuję do nich. Pierwszą chwytam od razu, drugą chwilę później. Jak oszalały walę ich łebkami o ścianę, żeby gęsi ogłuszyć. Ale pewnie nie użyłem dostatecznej siły. Bestie dochodzą do siebie, drapią i biją skrzydłami. Walczę zaciekle, ale, niech to piorun, ile siły ma taka gęś! Szarpią się tak mocno, że ledwo trzymam się na nogach. Po ciemku te białe plamy wyglądają obrzydliwie, mam wrażenie, że urosły mi skrzydła u ramion, boję się, że jeszcze chwila, a wzbiję się w niebo, jakbym miał w łapach dwa balony na uwięzi.

I już podnosi się wrzask; jedna z szyj złapała powietrze i terkocze jak budzik. Zanim się spostrzegłem, coś zbliżyło się po cichu do pomieszczenia, dostaję cios, ląduję na ziemi i słyszę wściekłe warczenie. To pies. Zerkam w bok, kłapie już zębami w kierunku mojej szyi. Natychmiast nieruchomieję i przede wszystkim chowam podbródek w kołnierz.

Ten pies to dog. Po chwili dłuższej jak wieczność cofa łeb i siada obok mnie. Ale warczy, kiedy tylko próbuję się ruszyć. Zastanawiam się. Jedyne, co mogę zrobić, to sięgnąć po swój mały rewolwer. W każdym razie muszę się stąd wynieść, zanim przyjdą ludzie. Po centymetrze przysuwam dłoń do broni.

Mam wrażenie, że trwa to wiele godzin. Za każdym razem nieznaczny ruch i groźne warczenie, znieruchomienie i kolejna

próba. Kiedy trzymam już w ręku rewolwer, dłoń zaczyna mi drżeć. Przyciskam ją do ziemi i klaruję sobie: podnieś szybko rewolwer, strzel, zanim zdoła cię capnąć, i w nogi.

Powoli uspokajam oddech. Następnie wstrzymuję powietrze, podnoszę szybko rewolwer, huk wystrzału, dog, skamłając, upada na bok, docieram do drzwi pomieszczenia i potykam się o jedną ze zbiegłych gęsi.

Chwytam ją jeszcze w biegu, przerzucam jednym ruchem przez mur i sam się nań wspinam. Nim znalazłem się po drugiej stronie, dog podskakuje już żwawo i stara się mnie dosięgnąć. Prędko zeskakuję. Dziesięć kroków ode mnie stoi Kat z gęsią pod pachą. Gdy tylko mnie spostrzega, obaj rzucamy się do ucieczki.

Wreszcie możemy odsapnąć. Gęś nie żyje, Kat załatwił to błyskawicznie. Zamierzamy od razu ją upiec, żeby nikt nic nie zauważył. Przynoszę z baraku garnki i drewno, po czym włączymy do małej opuszczonej szopy, którą wyszukaliśmy kiedyś i wykorzystujemy do takich celów. Szczelnie zasłaniamy jedyne okienko. W środku znajduje się prowizoryczne palenisko: żelazna płyta położona na ceglach. Rozpalamy ogień.

Kat skubie gęś i ją przyrządza. Pióra starannie składamy na boku. Zamierzamy zrobić sobie z nich dwie małe poduszki z napisem: „Spoczywaj w pokoju pod ogniem huraganowym!”

Artyleryjski ogień z frontu otacza swym bzyczeniem nasz azyl. Po naszych twarzach ślizga się migotliwy blask, cienie tańczą na ścianie. Od czasu do czasu głuchy huk, wtedy szopa dygocze. Bomby lotnicze. Raz słyszymy stłumione okrzyki. Pewnie został trafiony któryś z baraków.

Warczą samoloty; coraz głośniejszy terkot karabinów maszynowych. Od nas jednak nie wydobywa się najmniejsze światło, które byłoby widać.

Siedzimy tak naprzeciw siebie, Kat i ja, dwaj żołnierze w znoszonych mundurach, piekący gęś w środku nocy. Niewiele rozmawiamy, ale łączy nas delikatniejsze uczucie, niż według mnie mogłoby łączyć kochanków. Jesteśmy dwojgiem ludzi, dwiema maleńkimi iskrami życia, a na zewnątrz jest noc i krąg śmierci. Siedzimy na ich skraju, zagrożeni, ale i bezpieczni, po rękach ścieka nam tłuszcz, jesteśmy sobie bliscy sercem, a czas jest jak pomieszczenie: zalane migoczącym łagodnym ogniem, światła i cienie uczuć wędrują tam i z powrotem. Co on wie o mnie – co ja wiem o nim, dawniej moje i jego myśli nie byłyby do siebie podobne – teraz siedzimy nad gęsią i czujemy swoje życie, i jesteśmy sobie tak bliscy, że nie potrafimy o tym mówić.

Pieczenie gęsi trwa długo, choć jest młoda i tłusta. Dlatego się zmieniamy. Jeden ją polewa, a w tym czasie drugi śpi. Stopniowo rozchodzi się wspaniały zapach.

Odgłosy z zewnątrz łączą się w pasmo, w sen, który jednak nie całkiem traci pamięć. W półśnie widzę, jak Kat podnosi i opuszcza łyżkę, lubię go, jego ramiona, jego kanciastą, zgarbioną sylwetkę – a równocześnie widzę za nim lasy i gwiazdy, jakiś miły głos wypowiada uspokajające słowa, uspokajające mnie, małego żołnierza w wielkich buciorach, który taszczy pas i chlebak i idzie leżącą przed nim drogą pod wysokim niebem, który szybko zapomina i bardzo rzadko bywa smutny, który zawsze idzie dalej pod wielkim nocnym niebem.

Mały żołnierz i miły głos, gdyby go teraz pogłaskać, możliwe, że już by tego nie zrozumiał, ów żołnierz w wielkich buciorach i z zasypanym sercem, który maszeruje, bo nosi buty, i zapomniał wszystkiego oprócz maszerowania. Czy na horyzoncie nie widać kwiatów i krajobrazu tak cichego, że jemu, temu żołnierzowi, chce się płakać? Czy nie stoją tam obrazy, których nie stracił, bo nigdy ich nie posiadał, mające, a mimo to dla niego minione? Czy nie stoi tam jego dwadzieścia lat?

Czy mam mokrą twarz i gdzie ja jestem? Kat stoi przede mną, jego ogromny schylony cień pada na mnie jak ojczyzna. Mówi coś cicho, uśmiecha się i wraca do paleniska.

– Gotowe – powiada po chwili.

– Tak, Kat.

Otrząsam się. Pośrodku pomieszczenia błyszczy brązowa pieczona gęś. Wyciągamy rozkładane widelce i scyzoryki i każdy odcina sobie udko. Do tego jemy komisiński, który maczamy w sosie. Jemy powoli, długo się delektując.

– Smakuje, Kat?

– Bardzo! Tobie też?

– Bardzo, Kat.

Jesteśmy braćmi i podsuwamy sobie nawzajem najlepsze kąski. Potem ja palę papierosa, a Kat cygaro. Dużo jeszcze zostało.

– Co byś powiedział, Kat, gdybyśmy wzięli kawałek dla Kroppa i Tjadena?

– Nie ma sprawy – odpowiada. Odcinamy porcję i starannie zawijamy ją w papier gazetowy. Resztę zamierzamy właściwie zabrać do baraku, ale Kat śmieje się i mówi tylko: – Tjaden.

Rozumiem, musimy wziąć wszystko. Wyruszamy więc do prowizorycznego aresztu, żeby ich obudzić. Wcześniej zbieramy pióra.

Kropp i Tjaden uznają nas w pierwszej chwili za fatamorganę. Potem spomiędzy ich zębów dobiega tylko chrzęst. Tjaden trzyma obiema rękami w ustach skrzydełko niczym harmonijkę ustną i przeżuwa. Pije tłuszcz z garnka i mlaska.

– Nigdy wam tego nie zapomnę!

Idziemy do naszego baraku. Znowu jest wysokie niebo z gwiazdami i wstający świt, a ja idę pod tym niebem, żołnierz w wielkich buciorach i z pełnym żołądkiem, mały żołnierz o wczesnym poranku – a obok mnie, pochylony i kanciasty, idzie Kat, mój kolega.

Kontury baraku zbliżają się do nas w porannej szarówce niczym czarny, dobry sen.

1. Chodzi o „Pocałuj mnie w d...” z *Götza von Berlichingen* Goethego (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

VI

Przebąkują coś o ofensywie. Idziemy na front dwa dni wcześniej niż zwykle. Po drodze mijamy podziurawioną pociskami szkołę. Przy dłuższym boku budynku stoi podwójny wysoki mur z nowiuteńkich, jasnych niepolerowanych trumien. Jeszcze pachną żywicą sosnową i lasem. Jest ich co najmniej sto.

– Dobrze już zadbano o ofensywę – zauważa ze zdziwieniem Müller.

– One są dla nas – warczy Detering.

– Nie pleć bzdur – strofuje go Kat.

– Ciesz się, jeśli dostaniesz jeszcze trumnę – śmieje się Tjaden.

– Tobie pod taką żalosną postać dadzą najwyżej pałatkę, pilnuj się!

Również inni przerzucają się żartami, takimi, po których robi się nieswojo, co zresztą mamy robić. Te trumny naprawdę są dla nas. W takich sprawach organizacja działa bez zarzutu.

Na przedniej linii wszędzie jakieś wrzenie. Pierwszej nocy próbujemy się zorientować. Ponieważ jest dosyć cicho, słyszymy transporty przetaczające się za linią frontu wroga, bez przerwy, aż po świt. Kat mówi, że nie odjeżdżają, tylko przywożą wojsko, wojsko, amunicję i działa.

Angielska artyleria została wzmocniona, słyszymy to od razu. Na prawo od fermy stoją co najmniej cztery nowe baterie dział 20,5 mm, a za kikutami topoli zbudowano stanowiska miotaczy min. Poza tym doszło sporo tych małych francuskich bydlaków z zapalnikiem uderzeniowym.

Panuje przygnębiająca atmosfera. Dwie godziny po zejściu do schronów zaczyna w nas strzelać własna artyleria. To trzeci raz w ciągu czterech tygodni. Gdyby to były jeszcze błędy w celowaniu, nikt by słowa nie powiedział, ale wzięło się to stąd, że lufy są zbyt mocno wyrobione, często mają taki rozrzut, że pociski spadają na nasz odcinek. Skutkiem tego mamy tej nocy dwóch rannych.

Front jest klatką, w której nerwowo trzeba czekać na to, co się wydarzy. Leżymy pod siatką trajektorii granatów i żyjemy w napięciu niepewności. Nad nami wisi przypadek. Kiedy nadlatuje pocisk, mogę się skulić, to wszystko; gdzie uderzy, nie wiem tego dokładnie ani nie mam na to wpływu.

To przypadek sprawia, że obojętniejemy. Kilka miesięcy temu siedziałem w schronie i grałem w skata; po chwili wstałem i wyszedłem odwiedzić znajomych w innym schronie. Kiedy wróciłem, z tego pierwszego nie było już co oglądać, został trafiony i zmieciony z powierzchni ziemi przez ciężki pocisk. Wróciłem do drugiego akurat w samą porę, żeby pomóc go odkopywać. Bo ten tymczasem został zasypany.

Tak samo przypadkiem, jak bywam trafiany, ostaję się przy życiu. W zabezpieczonym od bomb schronie mogę zostać zmiażdżony, a przetrwać bez draśnięcia dziesięć godzin

huraganowego ognia w nieosłoniętym polu. Każdy żołnierz pozostaje przy życiu tylko dzięki tysiącowi przypadków. I każdy żołnierz wierzy i ufa w wypadek.

Musimy uważać na swój chleb. Szczury rozmnożyły się ostatnimi czasy, odkąd w okopach nie można utrzymać porządku. Detering twierdzi, że to najpewniejsza oznaka zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Tutejsze szczury są szczególnie wstrętne, bo bardzo duże. To gatunek nazywany szczurami trupimi. Mają obrzydliwe, złośliwe, nagie pyski, człowiekowi może zrobić się niedobrze na widok ich długich łysych ogonów.

Nie wydają się tak naprawdę głodne. Prawie każdemu nadgryzły chleb. Kropp zawinął swój w pałatkę i wsadził pod głowę, ale nie może spać, bo biegają mu po twarzy, żeby się dostać do chleba. Detering chciał być sprytny: przymocował do sufitu cienki drut, a na nim powiesił swój węzelek z chlebem. Kiedy w nocy włączył latarkę, zobaczył, że drut kołysze się tam i z powrotem, a na chlebie siedzi jak w siodle tłusty szczur.

W końcu postanawiamy z nimi skończyć. Starannie wykrawamy nadgryzione przez zwierzęta części chleba; całego chleba nie możemy w żadnym razie wyrzucić, bo wtedy rano nie mielibyśmy co jeść.

Odkrojone kromki kładziemy na podłodze pośrodku pomieszczenia. Każdy bierze saperkę i kładzie się gotów do zadania ciosu. Detering, Kropp i Kat trzymają w pogotowiu latarki.

Po paru minutach słyszymy pierwsze szurania i szarpania. Odgłosy nasilają się, teraz słyszać wiele małych łapek. Wtedy

rozbłyskują latarki i zaczynamy walić w czarną gromadę, która z sykiem pierzcha na wszystkie strony. Rezultat jest zadowalający. Wyrzucamy łopatkami części szczurów poza brzeg okopu i na powrót zaciągamy czaty.

Jeszcze kilka razy powtarzamy z powodzeniem ten numer. Potem zwierzęta coś zauważyły albo poczuły krew. Przestały przychodzić. Mimo to następnego dnia zabierają z podłogi resztkę chleba.

Na sąsiednim odcinku napadły na dwa duże koty i psa, zagryzły je i częściowo pożarły.

Następnego dnia jest ser edamski. Każdy dostaje prawie ćwiartkę sera. To z jednej strony dobrze, bo edamski jest smaczny – a z drugiej niedobrze, bo grube czerwone kule były dla nas zawsze zapowiedzią ciężkich tarapatów. Złe przeczucie wzmagają się, kiedy przydzielają także wódkę. Na razie pijemy ją, ale nie jest nam przy tym wesoło.

W ciągu dnia urządzamy zawody, strzelając do szczurów, i wałkonimy się. Mamy coraz większe zapasy naboju i granatów ręcznych. Bagnety sprawdzamy sami. Są bowiem i takie, ząbkowane po tępej stronie, które mogą być używane jako piła. Gdyby tamci złapali kogoś z takim „brudnym bagnetem”, nie byłoby dla niego ratunku. Na sąsiednim odcinku odnaleziono naszych ludzi, którym obcięto nosy i wykluto oczy za pomocą takiej broni. Potem wypełniono im usta i nos trocinami i w ten sposób ich uduszono.

Niektórzy rekruci mają jeszcze bagnety tego rodzaju; odbieramy je im i załatwiamy inne.

Bagnet stracił jednak na znaczeniu. Jeśli chodzi o szturm, stało się teraz modne atakować czasem, będąc uzbrojonym tylko w granaty ręczne i saperkę. Ostrze saperki to lepsza i bardziej wszechstronna broń, saperkę nie tylko można wbić komuś pod brodę, lecz przede wszystkim uderza się nią z większą siłą, zwłaszcza przy trafieniu z ukosa między ramię i szyję rozcina się tułów bez trudu aż do piersi. Bagnet przy pchnięciu utyka często w ciele i żeby go wyciągnąć, trzeba mocno weprzeć się nogą w brzuch przeciwnika, a tymczasem samemu można łatwo otrzymać cios. W dodatku ta broń czasami się łamie.

W nocy puszczają gaz. Oczekujemy natarcia i leżymy w maskach, gotowi je zerwać, gdy tylko pojawi się pierwszy cień.

Poranek świta i nic się nie wydarzyło. Tylko ciągle to denerwujące dudnienie po tamtej stronie. Pociągi, pociągi, ciężarówki, ciężarówki, co oni tam koncentrują? Nasza artyleria strzela bez przerwy w tamtym kierunku, ale odgłosy nie ustają, nie ustają.

Mamy zmęczone twarze i omijamy się wzrokiem.

– Będzie jak nad Sommą, wtedy mieliśmy po czymś takim siedem dni i nocy huraganowego ognia – mówi ponuro Kat.

Odkąd jesteśmy tutaj, zupełnie opuściło go poczucie humoru, a to zły objaw, bo Kat to stary wyga frontowy, który ma nosa. Tylko Tjaden cieszy się, że są porządne porcje i rum, uważa nawet, że równie spokojnie wrócimy, że w ogóle nic się nie stanie.

Prawie na to wygląda. Mija dzień za dniem. Nocą siedzę w dziurze na czujce. Nade mną wzbijają się w górę rakiety świetlne ze spadochronami. Jestem ostrożny i cały napięty, serce mi bije. Co rusz zerkam na zegarek z fosforyzującym cyferblatem;

wskazówka nie chce posuwać się do przodu. Powieki mi ciążyą, ruszam palcami nóg w butach, żeby nie zasnąć. Do momentu, gdy zostaję zluzowany, nie dzieje się nic – tylko ciągle to dudnienie u tamtych. Stopniowo wszyscy się uspokajamy i wciąż gramy w skata i w durnia. Może będziemy mieć szczęście.

W ciągu dnia całe niebo zasłaniają balony na uwięzi. Podobno tamci podczas natarcia mają teraz używać czołgów i samolotów szturmowych. Nas interesuje jednak o wiele bardziej to, co opowiadają o nowych miotaczach ognia.

Budzimy się w środku nocy. Ziemia dudni. Nad nami ciężki ogień. Wciskamy się w kąty schronu. Rozpoznajemy pociski wszelkiego kalibru.

Każdy chwyta swoje rzeczy i co chwila upewnia się, że jeszcze są. Schron się trzęsie, noc pełna jest ryków i błyskawic. Przez kilka sekund patrzymy na siebie w rozbłysku światła i kręcimy głowami o bladych twarzach i zaciśniętych wargach.

Każdy czuje własnym ciałem, jak ciężkie pociski zrywają osłonę okopu, jak przeszywają przedpiersie i rwą na strzępy najwyższe betonowe kłocze. Kiedy pocisk ląduje wewnątrz okopu, odczuwamy to jako bardziej głucho i wściekle uderzenie, które przypomina cios łapą prychającego drapieżnika. Rano paru rekrutów jest już zielonych na twarzy i rzyga. Są jeszcze zbyt niedoświadczeni.

Do chodnika powoli sączy się obrzydliwe szare światło, sprawiając, że błyski eksplozji wydają się bledsze. Wstał już ranek. Teraz z ogniem artyleryjskim mieszają się eksplodujące miny. Żaden inny pocisk nie powoduje wstrząsu o równie szalonej sile. Tam, gdzie spadają, powstaje masowy grób.

Zmiennicy wychodzą na czaty, dotychczasowi obserwatorzy wtaczają się do środka, pochłapani błotem, rozdygotani. Jeden kładzie się bez słowa w kącie i je, drugi, rezerwista, płacze; dwa razy przeleciał nad umocnieniem okopu wyrzucony podmuchem eksplozji, nic mu się nie stało, przeżył tylko szok nerwowy.

Rekruci zerkają w jego stronę. Coś takiego szybko staje się zaraźliwe, musimy uważać, bo niejednemu zaczynają latać wargi. Dobrze, że już dnieje, może natarcie nastąpi przed południem.

Ogień nie słabnie. Pociski padają zresztą za nami. Jak daleko okiem sięgnąć, tryskają fontanny błota i żelaza. Ostrzeliwany jest bardzo szeroki pas.

Natarcie nie następuje, ale bombardowanie trwa. Powoli głuchniemy. Już prawie nikt się nie odzywa. Zresztą i tak nie można by się zrozumieć.

Nasz okop prawie zniknął. W wielu miejscach sięga zaledwie pół metra w górę, jest poprzerrywany dziurami, lejami i kopczykami ziemi. Tuż przed naszym chodnikiem wybucha granat. Natychmiast robi się ciemno. Zostaliśmy zasypani i musimy się odkopać. Po godzinie wejście jest odgruzowane, a my trochę spokojniejsi, bo mieliśmy pracę.

Schodzi do nas dowódca naszej kompanii i opowiada, że zmiotło dwa schrony. Rekruci uspokajają się na jego widok. Mówi, że dziś wieczorem ma być próba dostarczenia jedzenia.

Brzmi to pocieszająco. Nikt o tym nie pomyślał prócz Tjadena. A więc znowu idzie do nas coś z zewnątrz – jeśli ma być dowiezione jedzenie, to nie może być tak źle, myślą rekruci. Nie protestujemy, wiemy, że jedzenie jest równie ważne jak amunicja i choćby dlatego musi być dostarczane.

Dostawa się jednak nie udaje. Wyrusza druga sztafeta. Także ona zawraca. W końcu na Kata kolej, ale nawet on zjawia się z powrotem z pustymi rękami. Nikt nie może przejść, żaden psi ogon nie jest dostatecznie wąski na taki ogień.

Zaciskamy pasa i żujemy każdy kęs trzy razy dłużej. Mimo to żołądka nie da się oszukać, szybko jesteśmy znów głodni jak cholera. Piętkę zostawiam sobie na później, miękisz zjadam, skórka zostaje w chlebaku; od czasu do czasu żuję ją trochę.

Noc jest nie do zniesienia. Nie możemy spać, wpatrujemy się przed siebie i drzemiemy. Tjaden żałuje, że zmarnują się nadgryzione kawałki chleba, które zostawiliśmy szczurom. Spokojnie mogliśmy je zachować na później. Każdy by je teraz zjadł. Brakuje nam też wody, ale jeszcze nie tak bardzo.

Nad ranem, jeszcze po ciemku, powstaje zamieszanie. Przez wejście wpada stado uciekających szczurów i wspina się po ścianach. Latarkami oświetlamy pomieszczenie. Wszyscy krzyczą i przeklinają, i zaczynają tłuc gryzonie. W tym wybuchu wyładowuje się wściekłość i zwątpienie wielu godzin. Twarze mamy wykrzywione, ręce zadają ciosy, zwierzęta piszczą, nie możemy przestać, niewiele brakowało, żebyśmy skoczyli sobie do gardeł.

Po wybuchu emocji leżymy wyczerpani i czekamy znowu. To cud, że nasz schron nie ma jeszcze strat. To jeden z niewielu wykopanych głęboko korytarzy, jakie się ostały.

Wczołguje się do nas podoficer, który ma dla nas chleb. Trzem ludziom udało się jednak przedrzeć w nocy i przynieść trochę prowiantu. Opowiadali, że nieprzyjacielski ogień o niesłabnącej

sile sięga stanowisk artyleryjskich. Nie wiadomo, skąd tamci mają tyle dział.

Musimy czekać, czekać. W południe jeden z rekrutów dostał ataku, z czym liczyłem się już od pewnego czasu. Obserwowałem go długo i widziałem, jak niespokojnie porusza zębami, zaciska i zamyka pięści. Ten zaszczuty wzrok i wyskakujące z orbit oczy znamy aż za dobrze. W ostatnich godzinach tylko pozornie się uspokoił. Zapadł się w sobie niczym spróchniałe drzewo.

Teraz wstaje, niepostrzeżenie przeczołguje się przez schron, zatrzymuje na chwilę, po czym przesuwa się w stronę wyjścia. Obracam się na drugi bok i pytam:

- Dokąd się wybierasz?
- Zaraz wracam – odpowiada i chce mnie ominąć.
- Poczekaj jeszcze trochę, ogień już słabnie.

Nasłuchuje, jego oczy na chwilę stają się klarowne. Potem jednak znowu pojawia się w nich mętny blask, jak u wściekłego psa, i próbuje bez słowa mnie odepchnąć.

- Chwileczkę, kolego – wołam.

Mój okrzyk zwraca uwagę Kata. W momencie gdy rekrut mnie odpycha, Kat chwyta go za bary i teraz obaj go trzymamy.

Ten natychmiast zaczyna szaleć.

- Puśćcie mnie, wypuśćcie mnie, chcę stąd wyjść!

Nikogo nie słucha, bije wokół rękami, usta ma mokre, tryskają z nich słowa, na wpół połknięte, bezsensowne słowa. To napad lęku przed zasypaniem, ma wrażenie, że dusi się w schronie, zna tylko jeden pęd: chce się stąd wydostać. Gdyby pozwolić mu wyjść, pobiegłby gdzieś bez żadnej osłony. Nie on pierwszy.

Ponieważ strasznie jest rozsierzony i przewraca już dziko oczami, nie ma rady, musimy go stłuc, żeby nabrał rozumu. Robimy to szybko i bezlitośnie i osiągamy tyle, że na razie się uspokaja. Inni pobledli, obserwując, co się dzieje; oby podziało to odstraszająco. Ten huraganowy ogień to za wiele dla tych biedaków; prosto z magazynu rekrutów trafili w to bagno, w którym nawet starzec mógłby posiwieć.

Po tym, co się stało, duszne powietrze działa nam na nerwy jeszcze bardziej. Siedzimy w swoim grobie i czekamy tylko, kiedy zostaniemy przysypani.

Nagle potworne wycie i błysk, schron trzęsie się w posadach trafiony pociskiem, na szczęście lekkim, któremu oparły się betonowe kłocce. Słysząc potworny metaliczny szczęk, ściany się kołyszają, fruwią karabiny, hełmy, ziemia, błoto i kurz. Do środka wdziera się dym o zapachu siarki. Gdybyśmy siedzieli nie w schronie, tylko w jednej z tych lekkich budowli, żaden z nas już by nie żył.

I tak uderzenie pocisku narobiło wystarczająco dużo złego. Rekrut, którym zajmowaliśmy się poprzednio, zaczyna znowu szaleć, a dwóch innych przyłącza się do niego. Jeden się wyrwał i uciekł. Z trudem udaje nam się powstrzymać dwóch pozostałych. Rzucam się w pogoń za uciekającym i zastanawiam się, czy nie strzelić mu w nogi – wtem słyszę świst nadlatującego pocisku, rzucam się na ziemię, a gdy wstaję, ściana okopu utkana jest gorącymi odłamkami, płatami ciała i strzępami mundurów. Opuszczam się z powrotem na dno okopu.

Pierwszy rekrut chyba rzeczywiście zwariował. Kiedy się go nie trzyma, wali głową w ścianę jak kozioł. W nocy będziemy musieli

spróbować odstawić go na tyły. Na razie wiążemy go, ale niezbyt mocno, żeby w razie ataku można go było natychmiast rozwiązać.

Kat proponuje, żeby zagrać w skata – co robić, może wtedy będzie łatwiej. Ale nic z tego grania nie wychodzi, wsłuchujemy się w każde bliższe uderzenie, mylimy się w liczeniu sztychów albo nie dodajemy do koloru. Musimy dać temu spokój. Siedzimy jakby w potężnie huczącym kotle, w który biją ze wszystkich stron.

Jeszcze jedna noc. Jesteśmy już otepiali od napięcia. To śmiertelne napięcie, które łaskocze nas wzdłuż stosu pacierzowego niczym wyszczerbiony nóż. Nogi nie chcą nas słuchać, ręce drżą, ciało jest cienką skórą okrywającą z trudem tłumione szaleństwo, okrywającą niekończący się ryk, który zaraz wybuchnie z niepohamowaną siłą. Nie mamy już ciała ani mięśni, nie możemy już patrzeć na siebie, ze strachu przed czymś nieobliczalnym. Zaciskamy więc wargi – to przejdzie – to przejdzie – może jakoś się uratujemy.

Wtem pociski przestają uderzać w pobliżu. Ostrzał trwa nadal, ale jakby cofnięty, naszego okopu nie sięga. Chwytny granaty ręczne, rzucamy je przed schron i wyskakujemy na zewnątrz. Huraganowy ogień ucichł, za to mamy teraz za sobą ciężki ogień zaporowy. Zaczął się atak.

Nikt by nie uwierzył, że na tej rozrytej pustyni mogą być jeszcze ludzie, teraz jednak wynurzają się wszędzie z okopów stalowe hełmy, a pięćdziesiąt metrów od nas ustawiono już karabin maszynowy, który zaraz zaczyna szczekać.

Zasieki są wprawdzie porwane, ale powstrzymają wroga jeszcze przez jakiś czas. Widzimy, jak zbliżają się szturmujący. Strzela nasza artyleria. Terkoczą karabiny maszynowe, trzaskają karabiny. Tamci zbliżają się powoli. Haie i Kropp zaczynają od granatów ręcznych. Rzucają najszybciej, jak potrafią, koledzy podają im trzonki z wyciągniętymi sznureczkami. Haie rzuca na sześćdziesiąt metrów, Kropp na pięćdziesiąt, to sprawdzone i ważne. Tamci, biegnąc, niewiele mogą wskórać, dopóki nie zbliżą się na trzydzieści metrów.

Widzimy wykrzywione twarze, płaskie hełmy, to Francuzi. Kiedy docierają do resztek zasieków, mają już widoczne straty. Karabin maszynowy obok nas skosił cały szereg; potem broń kilka razy się zacina i tamci podchodzą bliżej.

Widzę, jak jeden z nich pada na zasieki z twarzą zwróconą do góry. Ciało osuwa się, ręce zawisają, jakby chciał się modlić. Potem całe ciało ląduje na ziemi, tylko odstrzelone ręce z kikutami ramion wiszą wśród drutów.

W chwili gdy się wycofujemy, z przodu podnoszą się znad ziemi trzy twarze. Pod jednym z hełmów ciemna spiczasta bródka i dwoje oczu, utkwionych we mnie. Podnoszę rękę, ale nie potrafię rzucić granatu w te dziwne oczy, przez jedną zwariowaną sekundę cała bitwa wiruje wokół mnie jak cyrk i tylko tych dwoje oczu się nie rusza, a potem po tamtej stronie wysuwa się głowa, ręka, ruch – i mój granat leci tam, wpada w środek.

Biegniemy z powrotem, ściągamy zerwane zasieki do okopu i rzucamy za siebie odbezpieczone granaty, które zapewniają nam odwrót ogniowy. Z najbliższego stanowiska strzelają karabiny maszynowe.

Staliśmy się niebezpiecznymi zwierzętami. Nie walczymy, bronimy się przed zniszczeniem. Rzucamy granaty nie w ludzi, co my w tej chwili o tym wiemy, tam pędzi teraz za nami w hełmach wieloręka śmierć, po raz pierwszy od trzech dni możemy jej patrzeć w oczy, po raz pierwszy od trzech dni możemy się przed nią bronić, jest w nas szalona wściekłość, już nie leżymy bezsilnie, czekając na szafocie, potrafimy niszczyć i zabijać, żeby się uratować, żeby się uratować i zemścić.

Chowamy się za każdym załomem, za każdym stojakiem z drutem kolczastym i przed odskoczeniem rzucamy nadchodzącym pod nogi wiązki granatów. Huk eksplozji przenika z mocą do naszych ramion, do naszych nóg, schyleni jak koty biegniemy zalewani przez tę falę, która nas niesie, która wzbudza w nas okrucieństwo, czyni nas rozbójnikami, mordercami, jeśli o mnie chodzi, nawet diabłami, falę, która zwielokrotnia naszą siłę i przemienia ją w strach, wściekłość i żądzę życia, która szuka dla nas ratunku i go wywalcza. Gdyby twój ojciec zbliżał się z tamtymi, nie zawahałbyś się rzucić mu granatu w pierś!

Okopy z pierwszej linii zostały oddane wrogowi. Czy to są jeszcze okopy? Są zryte pociskami, zniszczone – to tylko fragmenty okopów, dziury w ziemi połączone korytarzami, gniazda lejów, nic więcej. Ale straty tamtych rosną. Nie liczyli się z tak silnym oporem.

Robi się południe. Słońce pali, pot gryzie nas w oczy, ocieramy go rękawem, czasem zmieszany jest z krwią. Pojawia się pierwszy okop zachowany w trochę lepszym stanie. Jest zajęty

i przygotowany do przeciwnatarcia, przyjmuje nas. Nasza artyleria rozpoczyna potężny ostrzał i zabezpiecza wypad.

Linie atakującego wroga zatrzymują się. Nie są w stanie posuwać się dalej. Natarcie zostaje rozbite przez naszą artylerię. My czyhamy. Ogień przeskakuje sto metrów dalej, wtedy robimy wypad. Gefrajtrowi obok mnie pocisk urywa głowę. Żołnierz biegnie jeszcze kilka kroków, podczas gdy krew tryska mu z szyi jak fontanna.

Właściwie nie dochodzi do walki wręcz, tamci muszą się wycofać. Docieramy znowu do resztek swoich okopów i po ich sforsowaniu ruszamy dalej za wrogiem.

Och, to zawracanie! Dotarliśmy do bezpiecznej drugiej linii obrony, chciałby człowiek przeczołgać się na drugą stronę i zniknąć – a tu trzeba się obrócić i znowu zanurzyć w potworność. Gdybyśmy w tym momencie nie działali jak automaty, już byśmy nie wstali, leżelibyśmy dalej, wyczerpani, bezwolni. Ale ponownie jesteśmy ciągnięci z innymi do przodu, bezwolni, a zarazem szalenie dzicy i wściekli, chcemy zabijać, bo tamci to teraz nasi śmiertelni wrogowie, ich karabiny i granaty wymierzone są w nas, jeśli ich nie zniszczymy, oni zniszczą nas!

Brunatna ziemia, popękana, rozdarta brunatna ziemia, połyskująca tłustawo w promieniach słońca, stanowi tło niezmordowanych tępych automatycznych działań, nasze zdyszane oddechy przypominają skrzypienie sprężyn, wargi mamy wysuszone, w głowie chaos większy niż po całonocnym piciu – zataczając się, przemy naprzód, a w nasze poprzekłuwane, podziurawione dusze wwierca się z dręczącą siłą obraz brunatnej ziemi razem z tłustawym słońcem i drgającymi oraz martwymi

żołnierzami, którzy leżą na niej, jakby musiało tak być, którzy próbują chwycić nas za nogi i krzyczą, kiedy przeskakujemy nad nimi.

Utraciliśmy wszelkie uczucia, jakie żywiliśmy do siebie, prawie już się nie znamy, kiedy obraz drugiego wpada w nasze zaszczute spojrzenie. Jesteśmy umarłymi bez czucia, którzy dzięki jakiemuś trikowi lub niebezpiecznym czarom potrafią jeszcze chodzić i zabijać.

Jakiś młody Francuz pozostaje w tyle, doganiamy go, podnosi rękę, w jednej trzyma jeszcze rewolwer – nie wiadomo, czy chce strzelić, czy się poddać – jeden cios saperką rozplątał mu twarz. Drugi Francuz to widzi i próbuje dalej uciekać, bagniet z sykiem przeszywa mu plecy. Żołnierz podskakuje, rozkłada ręce, usta w trakcie krzyku szeroko otwarte, zatacza się w przód z bagnietem drgającym w plecach. Trzeci odrzuca karabin, przykuca, oczy zakrywa dłońmi. Pozostaje razem z paroma innymi jeńcami do niesienia rannych.

Podczas tego pościgu wpadamy nagle w środek pozycji nieprzyjacielskich.

Jesteśmy tak blisko cofających się przeciwników, że udaje nam się tam dotrzeć prawie równocześnie z nimi. Dzięki temu mamy niewielkie straty. Gdzieś ujada karabin maszynowy, ale zostaje uciszony granatem ręcznym. Tych kilka sekund wystarczyło jednak, żebyśmy mieli po swojej stronie pięć postrzałów w brzuch. Kat robi kolbą miazgę z twarzy jednemu z Francuzów obsługujących karabin maszynowy, którzy nie zostali ranni. Pozostałych zakłuwamy bagnietami, nim zdążyli wyciągnąć

granaty. Tacy jesteśmy spragnieni, że potem wypijamy wodę z chłodnicy.

Wszędzie szczękają cęgi do drutu, spadają z łoskotem deski lądujące na zasiekach, wąskimi przejściami przeskakujemy do okopów. Haie wbija wielkiemu Francuzowi saperkę w szyję i ciska pierwszy granat; chowamy się na kilka sekund za przedpiersiem i już prosty fragment okopu przed nami jest pusty. Następny granat leci z sykiem za róg i otwiera nam drogę, przebiegając, wrzucamy wiązki granatów do schronów, ziemia się rusza, huk, dym i jęki, potykamy się o śliskie strzepy wnętrzości, miękkie części ciał, wdeptuję w rozerwany brzuch, na którym leży nowe czyste oficerskie kepi.

Bój zamiera. Urywa się kontakt z wrogiem. Ponieważ nie możemy się tu długo zatrzymać, mamy wycofać się pod osłoną artylerii na swoje pozycje. Kiedy dowiadujemy się tego, ledwo zdążamy w największym pośpiechu wpaść do najbliższych schronów, żeby złapać parę konserw, które akurat rzuciły nam się w oczy, przede wszystkim puszki z wołowiną i masło.

Wracamy pomyślnie. Na razie nie ma następnych ataków ze strony wroga. Przeszło godzinę leżymy, dyszymy i odpoczywamy, zanim ktoś zabiera głos. Jesteśmy tak mocno wypompowani, że mimo dotkliwego głodu nie myślimy o konserwach. Stopniowo stajemy się z powrotem czymś w rodzaju ludzi.

Wołowina konserwowa od tamtych słynna jest na całym froncie. Czasem nawet bywa głównym powodem naszego zaskakującego wypadu, bo u nas wyżywienie jest na ogół kiepskie; ciągle chodzimy głodni.

W sumie capnęliśmy pięć puszek. Ludzie po tamtej stronie są porządnie prowiantowani, oni jedzą rarytasy, gdy porównać ich z nami, głodomorami wcinającymi marmoladę z buraków, tam mięso wszędzie się wala, wystarczy wyciągnąć rękę. Poza tym Haie zabrał cienką francuską bułkę pszenną i wsadził za pas jak saperkę. Na jednym końcu bagietka jest trochę zakrwawiona, ale to da się odkroić.

To szczęście, że mamy teraz coś dobrego do jedzenia i możemy się wzmocnić; jeszcze przydadzą nam się siły. Jedzenie do syta jest równie cenne jak dobry schron; dlatego tak go łakniemy, bo może nam uratować życie.

Tjaden zdobył ponadto dwie manierki z koniakiem. Puszczamy je w obieg.

Zaczyna się wieczorne błogosławieństwo. Przychodzi noc, z lejów wznoszą się mgły. Wygląda to tak, jakby te dziury w ziemi wypełniały jakieś upiorne tajemnice. Białe opary pełzają trwożliwie wkoło, zanim odważą się wyslizgnąć poza brzeg. Potem długie smugi snują się od leja do leja.

Jest chłodno. Stoję na posterunku i wpatruję się w ciemność. Czuję się słabo, jak zawsze po ataku, i dlatego ciężko mi być sam na sam z własnymi myślami. Właściwie to nie myśli, to wspomnienia nawiedzają mnie teraz w mojej słabości i wprawiają w dziwny nastrój.

Rakiety świetlne ze spadochronami wzbijają się w górę – a ja mam przed oczami pewien obraz, letni wieczór, jestem w krużganku na tyłach katedry i patrzę na wysokopienne róże, kwitnące pośrodku małego ogrodu, w którym grzebani są

kanonicy. Dokoła stoją kamienne stacje różańcowe. Nie ma nikogo – wielka cisza otacza ten kwitnący czworokąt, słońce rozgrzewa grube szare kamienie, kładę dłoń na jednym z nich i czuję ciepło. Zielona wieża katedry nad prawym rogiem krytego łupkiem dachu wznosi się w matowy, miękki wieczorny błękit. Między oświetlonymi słońcem kolumnkami biegnących wokół ogrodu krużganków panuje chłodny mrok, właściwy jedynie kościołom, a ja stoję tam i myślę, że w wieku dwudziestu lat będę już znał owe wywołujące zamęt sprawy, które poznajemy dzięki kobietom.

Obraz jest zaskakująco bliski i budzi we mnie wzruszenie przed rozplynięciem się w rozbłysku następnej kuli świetlnej.

Chwytam w dłonie i poprawiam karabin. Lufa jest wilgotna, obejmuję ją mocno i ocieram tę wilgoć palcami.

Pośród łąk za naszym miastem rósł nad strumieniem rząd starych topoli. Widać je było z daleka i choć stały tylko po jednej stronie, nazywano je topolową aleją. Już jako dzieci lubiliśmy tam bywać, przyciągały nas w niewyjaśniony sposób, spędzaliśmy przy nich całe dnie, wsłuchując się w cichy szum. Siedzieliśmy pod nimi nad brzegiem strumienia i spuszczaaliśmy stopy w jasne, śpieszne fale. Czysta woń wody i melodia wiatru w topolach opanowały naszą wyobraźnię. Bardzośmy je lubili, a obraz tamtych dni, zanim się oddali, przyprawia mnie do dziś o bicie serca.

To dziwne, że wszystkie nachodzące nas wspomnienia mają dwie właściwości. Zawsze wypełnia je cisza, to jest w nich najsilniejsze, i nawet gdy w rzeczywistości wcale nie były aż tak ciche, to takie się wydają. Są to zjawiska bezgłośnie, przemawiają do mnie za pomocą spojrzeń i gestów, bez słowa i w milczeniu –

a ich milczenie wywołuje wstrząs, zmuszający mnie do złapania się za rękaw i uchwycenia karabinu, żebym nie rozpuścił się w tym rozluźnieniu i kuszeniu, w którym me ciało chciałoby się rozprzestrzenić i łagodnie rozplynać ku cichym mocom ukrytym za rzeczami.

Są takie ciche, bo dla nas to zupełnie niepojęte. Na froncie nie ma ciszy, a przekleństwo frontu sięga tak daleko, że nigdy nie jesteśmy poza nim. Nawet w odległych magazynach i kwaterach odpoczynkowych przez cały czas mamy w uszach brzęczenie i stłumiony łoskot wystrzałów. Nigdy nie odjeżdżamy tak daleko, żeby tego nie słyszeć. W tych dniach jednak było to nie do zniesienia.

Cisza jest powodem tego, że obrazy dawnego życia wzbudzają nie tyle pragnienia, ile smutek – niesamowitą, straszną melancholię. One były – ale nie wracają. Minęły, są innym światem, który dla nas się skończył. Na placach koszarowych wywoływały buntownicze, dzikie pożądanie, wtedy były jeszcze związane z nami, my należeliśmy do nich, a one do nas, choć byliśmy rozdzieleni. Pojawiały się w żołnierskich pieśniach, śpiewanych przez nas, gdy maszerowaliśmy między zorzą poranną a konturem lasu na ćwiczenia terenowe, były gwałtownym wspomnieniem, które trwało w nas i z nas wychodziło.

Tu, w okopach, jednak się nam zgubiło. Już nie wypływa z nas – jesteśmy martwi, a ono stoi daleko na horyzoncie, jest zjawą, zagadkowym odbiciem, które nas nawiedza, którego się boimy i które kochamy bez nadziei. Wspomnienie jest silne – jak silne jest nasze pożądanie – lecz nieosiągalne, wiemy o tym.

Wspomnienie jest równie daremne jak czekanie na to, że zostanie się generałem.

A nawet gdyby nam zwrócono ten krajobraz naszej młodości, nie bardzo byśmy wiedzieli, co z nim zrobić. Delikatne tajemne siły, które przechodziły z niego w nas, nie mogą się odrodzić. Bylibyśmy w nim i w nim byśmy krążyli; wspominalibyśmy go i kochali, i byli poruszeni jego widokiem. Przeżywalibyśmy jednak to samo, co podczas zamyślenia nad zdjęciem martwego kolegi; to jego rysy, to jego twarz, a dni, któreśmy z nim spędzili, zyskują w naszych wspomnieniach złudne życie; ale to nie on sam.

Nie będziemy już z tym krajobrazem związani tak, jak byliśmy kiedyś. Tym, co nas przyciągało, nie było poznanie jego piękna i nastroju, tylko to, co wspólne, takie samo odczuwanie braterstwa z rzeczami i zdarzeniami naszego życia, wciąż oddzielające nas od świata rodziców i czyniące go trochę niezrozumiałym; zawsze bowiem byliśmy mu tkliwie oddani i straceni, a to, co najmniejsze, kończyło się dla nas nieodmiennie na drodze nieskończoności. Może był to tylko przywilej naszej młodości – nie dostrzegaliśmy jeszcze żadnych okręgów i nigdzie nie przyznawaliśmy, że istnieje jakiś kres; oczekiwanie krwi, które w nas było, łączyło nas w jedno z biegiem naszych dni.

Dziś poruszałibyśmy się wśród krajobrazu naszej młodości jak turyści. Sparzyliśmy się faktami, znamy różnice jak handlarze i konieczności jak rzeźnicy. Nie jesteśmy już beztroscy – jesteśmy potwornie obojętni. Bylibyśmy tam, ale czybyśmy żyli?

Jesteśmy opuszczeni jak dzieci i doświadczeni jak starcy, jesteśmy grubiańscy, smutni i powierzchowni – sądzę, że jesteśmy straceni.

Marzną mi ręce, po skórze chodzą dreszcze, a noc przecież jest ciepła. Tylko mgła jest chłodna, ta niesamowita mgła, która podpełza do zmarłych przed nami i wysysa resztkę życia, która się w nich ukryła. Jutro będą bladzi i pozieleniali, a krew ścięta w ich żyłach będzie czarna.

Rakiety świetlne ze spadochronami nadal wzbijają się w górę i rzucają bezlitosne światło na znieruchomiały krajobraz, pełen kraterów i zimnego światła jak księżyc. Krew pod moją skórą przenosi w górę, do myśli, strach i niepokój. Słabnące myśli drżą, pragną ciepła i życia. Nie mogą wytrzymać bez pocieszenia i złudzeń, mącą się przed nagim obrazem rozpacz.

Kiedy słyszę szcęk naczyń kuchennych, natychmiast budzi się we mnie gwałtowny apetyt na ciepłą strawę, jedzenie dobrze by mi zrobiło i uspokoiło mnie trochę. Z trudem się opanowuję i czekam, aż zostanę zmieniony.

Potem schodzę do schronu, gdzie zostawiono dla mnie kubek kaszy. Kasza, ugotowana z tłuszczem, smakuje mi, jem powoli. Zachowuję się jednak cicho, choć inni są w lepszych humorach, bo ogień już zasnął.

Dni mijają, każda godzina jest niepojęta i oczywista. Ataki następują na przemian z kontratakami, a na polu pokrytym lejami między liniami okopów gromadzą się powoli zabici. Udaje nam się ściągnąć większość rannych leżących niezbyt daleko. Niektórzy muszą jednak długo leżeć i słyszymy, jak umierają.

Jednego szukamy bez rezultatu przez dwa dni. Pewnie leży na brzuchu i nie może się obrócić. W przeciwnym razie nie sposób

wyjaśnić, czemuśmy go nie znaleźli; trudno ustalić kierunek tylko wtedy, gdy ktoś woła z ustami tuż przy ziemi.

Ten musiał paskudnie oberwać. To jedna z ran, które nie są na tyle poważne, żeby szybko osłabiły organizm do tego stopnia, by człowiek półprzytomny czekał na śmierć, ale także nie aż tak lekkie, żeby mógł znosić bóle z perspektywą wyzdrowienia. Zdaniem Kata ma zmiażdżoną miednicę albo dostał postrzał w kręgosłup. Pierś nie jest chyba uszkodzona, w przeciwnym razie nie miałby tyle siły do krzyczenia. Gdyby był ranny gdzie indziej, na pewno by się sam poruszał.

Ranny powoli chrypie. Głos ma tak nieszczęśliwe brzmienie, że mógłby pochodzić zewsząd. Pierwszej nocy ludzie od nas wychodzą trzy razy. Kiedy wydaje im się, że mają kierunek, i już się tam czołgają, przy następnym razie, gdy nasłuchują, głos rozbrzmiewa znowu z całkiem innej strony.

Aż do zmroku szukamy daremnie. W ciągu dnia obszukujemy teren za pomocą lornetek; ani śladu. Drugiego dnia ranny cichnie; można się domyślić, że ma suche wargi i usta.

Dowódca naszej kompanii obiecał temu, kto go znajdzie, urlop specjalny i trzy dni dodatkowo. To potężna zachęta, ale i bez niej zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy; to wołanie jest bowiem okropne. Kat i Kropp wychodzą nawet po południu jeszcze raz na przedpole. Albert traci przy okazji odstrzelony płatek ucha. Ofiara jest daremna, wracają bez rannego.

W dodatku można wyraźnie zrozumieć, co tamten krzyczy. Najpierw tylko bez przerwy wołał o pomoc – drugiej nocy ma pewnie lekką gorączkę, bo rozmawia z żoną i dziećmi, często słyszymy imię Elise. Dzisiaj już tylko płacze. Wieczorem głos

gaśnie i przechodzi w chrypienie. Ale ranny pojękuje cicho jeszcze przez całą noc. Słyszymy wszystko dokładnie, bo wiatr wieje w stronę naszego okopu. Rano, gdy sądzimy, że jego cierpienia dawno się skończyły, jeszcze raz dobiega do nas bulgoczące rżenie.

Dni są gorące, a zabici leżą niepogrzebani. Nie możemy ich wszystkich zabrać z pola walki, nie wiemy, co z nimi zrobić. Grzebią ich granaty. Niektórym brzuchy wzdymają się jak balony. Syczą, czkają i ruszają się. Gaz w nich hałasuje.

Niebo jest błękitne i bezchmurne. Wieczorem robi się duszno i żar bije od ziemi. Kiedy wiatr wieje w naszą stronę, przynosi odór krwi, ciężki i obrzydliwie słodkawy, ten śmiertelny oddech lejów, który wydaje się zmieszany z chloroformu i woni rozkładu i przyprawia nas o mdłości i wymioty.

Noce są teraz spokojne, rozpoczyna się więc polowanie na miedziane pierścienie wiodące granatów i jedwabne spadochrony francuskich pocisków świetlnych. Dlaczego pierścienie wiodące są tak poszukiwane, nikt tak naprawdę nie wie. Zbieracze twierdzą po prostu, że są cenne. Niektórzy zgromadzili ich tyle, że gdy odchodzimy stamtąd, uginają się pod ich ciężarem.

Haie podaje przynajmniej powód: zamierza je posłać narzeczonej zamiast podwiązek. Z tego powodu wybucha naturalnie wśród Fryzyjczyków niepohamowana wesołość; klepią się po kolanach, to ci dopiero żart, do kroćset, ten Haie to nie zapomniał języka w gębie. Zwłaszcza Tjaden nie potrafi się opanować; trzyma w ręku największy pierścień i co chwila wkłada weń nogę, żeby pokazać, ile jeszcze zostaje miejsca.

– Haie, chłopie, ale ona musi mieć nogi... – jego myśli wspinają się trochę wyżej – i tyłek też musi mieć jak... jak słońca.

Rozbawił się w najlepsze i nie może przestać.

– Z taką chciałbym się kiedyś zabawić w klepanie szynek, och, ty w mordę...

Haie promienieje, bo o jego narzeczonej wyrażają się z takim uznaniem, i zadowolony z siebie krótko dodaje:

– Rzeczywiście jest dobrze zbudowana!

Jedwabne spadochrony przydają się do bardziej praktycznych celów. Z trzech lub czterech wychodzi bluzka, w zależności od obwodu piersi. Kropp i ja przeznaczamy je na chusteczki do nosa. Pozostali wysyłają do domu. Gdyby kobiety mogły zobaczyć, z jakim narażeniem życia zdobywane są nieraz te cienkie szmatki, nieźle by się wystraszyły.

Kat zaskakuje znienacka Tjadena, jak z niezmałym spokojem próbuje odbić młotkiem pierścienie z niewypału. U każdego innego pocisk by eksplodował, ale Tjaden zawsze ma szczęście.

Przez całe przedpołudnie dwa motyle pląsają przed naszym okopem. To cytrynki, mają czerwono nakrapiane żółte skrzydła. Ciekawe, co je tu zagnało; jak okiem sięgnąć, nie ma tu żadnej rośliny ani kwiatu. Odpoczywają na zębach leżącej na ziemi czaszki. Równie bez troski jak one są ptaki, które dawno przyzwyczyły się do wojny. Co rano między liniami frontu wzlatają w niebo skowronki. Rok wcześniej mogliśmy nawet obserwować, jak wysiadują jaja, z których wykluły się potem młode.

W okopie mamy spokój od szczurów. Są na przedpolu – wiemy, w jakim celu. Obrastają w tłuszcz; odstrzelujemy je, gdziekolwiek zobaczymy któregoś. W nocy słyszymy znowu dudnienie po tamtej stronie. W ciągu dnia mamy tylko normalny ostrzał, dzięki czemu możemy naprawić okopy. Nie brak też urozmaïcenia, dbają o nie lotnicy. Codziennie odbywa się wiele walk, które mają swoją publiczność.

Tolerujemy maszyny bojowe, ale samolotów obserwacyjnych nienawidzimy jak zarazy; to one naprowadzają na nas ogień artyleryjski. Parę minut po ich pojawieniu się spadają szrapnele i granaty. Po takim ataku tracimy jednego dnia jedenastu ludzi, w tym pięciu sanitariuszy. Z dwóch zostaje taka miazga, że według Tjadena można by ich zeskrobać łyżką ze ściany okopu i pochować w garnku. Innemu pocisk urywa podbrzusze razem z nogami. Martwy opiera się piersią o ścianę okopu, twarz ma żółtą jak cytryna, wśród brody żarzy się jeszcze papieros. Żarzy się, dopóki z sykiem nie zgaśnie na wargach.

Na razie układamy poległych w dużym leju. Do tej pory ułożyliśmy już trzy warstwy jedna na drugiej.

Nagle ogień zaczyna bębnić od nowa. Wkrótce potem znów zastygamy w bezruchu i w napięciu beczynn timer czekamy.

Atak, kontratak, natarcie, przeciwnatarcie – to słowa, a ileż obejmują! Tracimy wielu ludzi, najwięcej rekrutów. Na nasz odcinek znów wstawiają rezerwy. To jeden z nowych pułków, prawie sami młodzi ludzie z ostatnio powołanych roczników. Mają ogromne braki w wyszkoleniu wojskowym, przed wyruszeniem na front mogli trochę poćwiczyć tylko teoretycznie. Wiedzą

wprawdzie, co to jest granat ręczny, ale nie bardzo mają pojęcie o kryciu się, a przede wszystkim nie potrafią szybko znaleźć osłony. Nierówność terenu musi mieć co najmniej pół metra, żeby ją zobaczyli.

Choć bardzo potrzebujemy wzmocnienia, z rekrutami mamy chyba więcej roboty, aniżeli jest z nich pożytku. Na tym trudnym odcinku są bezradni i podczas ataku padają jak muchy. Dzisiejsza wojna pozycyjna wymaga wiedzy i doświadczenia, trzeba posiadać znajomość terenu, trzeba umieć rozpoznać na ucho każdy pocisk, jego rodzaj i sposób rażenia, trzeba umieć z góry określić, gdzie uderzy, jaki będzie miał rozprysk i gdzie schronić się przed odłamkami.

Ci młodzi rezerwiści naturalnie nie mają jeszcze pojęcia o tym wszystkim. Gina, bo ledwo potrafią odróżnić szrapnel od granatu, śmierć kosi ludzi, bo wsłuchują się lękliwie w wycie niegroźnych wielkich, uderzających gdzieś daleko z tyłu „węglarek”, a nie słyszą brzęczącego cicho gwizdania rozpryskujących się płasko małych cholerstw. Zbijają się w gromadki jak owce, zamiast rozbiec się na wszystkie strony, a potem, co gorsza, lotnicy wybijają rannych jak zające.

Błade twarze w kolorze brukwi, biedne zaciśnięte palce dłoni, żałosna dzielność tych biedaków, którzy mimo to idą do przodu i atakują, ci dzielni biedacy, do tego stopnia są zastraszeni, że nie ośmielają się głośno krzyczeć i z rozerwanymi piersiami, brzuchami, rękami i nogami jęczą cicho, przyzywając matkę, i milkną natychmiast, kiedy na nich spojrzeć!

Ich martwe, pokryte meszkiem, spiczaste twarze przerażają brakiem wyrazu niczym zmarłe dzieci.

Ściska człowieka za gardło, kiedy na nich patrzy, jak podrywają się, biegną i padają. Chciałoby się ich stłuc za to, że są tacy głupi, a potem wziąć ich na ręce i wynieść stąd, gdzie nie mają czego szukać. Noszą szare kurtki i spodnie oraz buty, ale na większość z nich mundur jest za duży, wisi na nich, ramiona są za wąskie, ciała nazbyt mikre, nie było mundurów uszytych na tę dziecięcą miarę.

Na jednego starego żołnierza przypada pięciu do dziesięciu rekrutów.

Niespodziewany atak gazowy zbiera krwawe żniwo. Wielu nie zdążyło nawet przeczuć, co ich czeka. Znajdujemy cały schron pełen sinych głów z poczerniałymi wargami. W jednym z lejów za wcześnie zdjęli maski; nie wiedzieli, że przy ziemi gaz utrzymuje się najdłużej; kiedy zobaczyli u góry innych bez masek, zerwali swoje i zdążyli łyknąć wystarczająco dużo, żeby spalić sobie płuca. Ich stan jest beznadziejny, zadławiają się na śmierć krwotokami i napadami duszności.

W jednym z okopów stykam się nagle oko w oko z Himmelstosse. Kulimy się obaj w tym samym schronie. Wszyscy leżą bez tchu obok siebie i czekają, aż zacznie się natarcie.

Choć bardzo jestem wzburzony, kiedy wybiegam, przychodzi mi nagle do głowy, że już nie zobaczę Himmelstossa. Szybko wskakuję z powrotem do okopu i znajduję go: leży w kącie z małym draśnięciem i udaje rannego. Ma wyraz twarzy zbitego psa. Dostał napadu lęku, wszak on też jest tutaj nowy. Do

szaleństwa doprowadza mnie jednak myśl, że młodziutcy rezerwiści są na zewnątrz, a on chowa się tutaj.

– Wyłaż! – wrzeszczę na niego.

Nie rusza się, wargi mu drżą, wąsik się trzęsie.

– Wyłaż! – powtarzam.

Podciąga kolana do piersi, wciska się w ścianę i obnaża zęby niczym kundel.

Chwytam go za ramię, chcąc poderwać w górę. Wydaje jakiś skrzekliwy dźwięk. Puszczają mi nerwy. Zaciskam dłonie na jego szyi, potrząsam nim jak workiem tak mocno, że głowa lata mu bezwładnie, i krzyczę mu prosto w twarz:

– Ty łotrze, wyjdiesz wreszcie – ty psie, ty rakarzu, chcesz się dekować? – Drętwieje ze strachu, walę jego głową o ścianę. – Ty bydlaku. – Kopię go w żebra. – Ty świnió. – Popycham go przed siebie, głową wprzód poza okop.

Właśnie przechodzi nasza nowa fala ataku. Jest w niej jakiś porucznik, który na nasz widok woła:

– Naprzód, naprzód, dołączyć, dołączyć!

I to, czego nie mogły sprawić moje ciosy, działały teraz te słowa. Himmelstoss okazuje posłuszeństwo przełożonemu, budzi się, rozgląda dookoła i dołącza do ataku.

Podążam za nim, widzę, jak skacze. Znów jest energicznym Himmelstossem z placu koszarowego, dogonił nawet porucznika i wysforował się na czoło.

Ogień huraganowy, ogień zaporowy, ogień powstrzymujący, miny, gaz, czołgi, karabiny maszynowe, granaty ręczne – to tylko słowa, słowa, ale obejmujące grozę świata.

Nasze twarze są zeskorupiałe, nasze myślenie spustoszone, jesteśmy śmiertelnie zmęczeni; kiedy ruszamy do ataku, niektórych trzeba bić pięściami, żeby się obudzili i przyłączyli do pozostałych; oczy są zaczerwienione, dłonie pokaleczone, kolana krwawią, łokcie poobijane.

Mijają tygodnie – miesiące – lata? To tylko dni. Widzimy, jak czas znika obok nas w bezbarwnych twarzach umierających, wlewamy w siebie łyżkami pożywienie, biegniemy, rzucamy, strzelamy, zabijamy, leżymy byle gdzie, jesteśmy słabi i ośpiali, i tylko to nas trzyma, że są jeszcze słabsi, jeszcze bardziej ośpiali, jeszcze bardziej bezradni, szeroko rozwartymi oczami wpatrujący się w nas jak w bogów, którym czasami udaje się uniknąć śmierci.

Podczas nielicznych godzin spokoju udzielamy im pouczeń.

– Tam, widzisz, jak w powietrzu coś się chybocze? To mina nadlatuje! Leż, nie podnoś się, przeleci nad nami. Jeśli jednak tak leci, to wiej! Bo można przed nią uciec.

Nadstawiamy uszu, żeby wychwycić podstępne brzęczenie małych pocisków, które ledwo słyszeć, a oni mają je wyłowić z huku niczym bzyczenie komarów. Mówimy im, że są groźniejsze od dużych, które słyszeć znacznie wcześniej. Pokazujemy, jak chować się przed lotnikami, jak udawać trupa, kiedy zmiecie nas atak wroga, że trzeba wyciągnąć zawleczkę z granatu, żeby eksplodował pół sekundy przed uderzeniem; uczymy ich, żeby przed granatami z zapalnikiem uderzeniowym wskakiwali błyskawicznie do lejów, demonstrujemy, jak zlikwidować okop wroga wiązką granatów ręcznych, wyjaśniamy różnicę czasu zapłonu między granatami wroga i naszymi, zwracamy im uwagę

na dźwięk granatów gazowych i pokazujemy sztuczki, które mogą uratować ich od śmierci.

Słuchają pilnie i uważnie – ale kiedy znowu się zaczyna, w zdenerwowaniu i tak robią przeważnie na opak.

Haie Westhus zostaje zabrany z przedpola z rozerwanymi plecami; przy każdym oddechu płuca pulsują, rozciągając ranę. Mogę tylko przytrzymać go za rękę.

– Już po wszystkim, Paul – jęczy, gryząc się z bólu w ramiona.

Widzimy ludzi, którzy żyją, mimo że nie mają czaszki; widzimy żołnierzy, którzy chodzą, mimo że urwało im obie stopy; jakoś docierają na potrzaskanych kikutach nóg do następnej dziury; jeden gefrajter czołga się na rękach dwa kilometry, wlokąc za sobą nogi ze zmiażdżonymi pociskiem kolanami; inny, idąc do punktu opatrunkowego, trzyma w rękach wypływające z brzucha jelita; widzimy ludzi bez ust, bez dolnej szczęki, bez twarzy; odnajdujemy kogoś, kto przez dwie godziny zaciskał zębami tętnicę ramienia, żeby się nie wykrwawić, wschodzi słońce, nastaje noc, gwiżdżą granaty, życie się skończyło.

Mimo przewagi wroga udaje się utrzymać skrawek zrytej pociskami ziemi, na którym leżymy, oddaliśmy tylko kilkaset metrów terenu. Na każdy metr przypada wszakże jeden poległy.

Zostajemy zluzowani. Koła obracają się pod nami, stoimy otępiali, ale przykucamy, gdy z przodu dobiega okrzyk: „Uwaga – drut!” Było lato, kiedyśmy tędy przejeżdżali, drzewa były jeszcze zielone, teraz wyglądają już jesiennie, a noc jest szara i wilgotna. Wozy zatrzymują się, wysiadamy, straszna zbieranina, resztką pozostała z wielu nazwisk. Po bokach, w ciemności, stoją ludzie,

wywołują numery pułków i kompanii. Przy każdym wywołaniu oddziela się gromadka, wąła, szczupła gromadka brudnych, bladych żołnierzy, okropnie mała grupka i okropnie mała resztką.

W tym momencie ktoś wywołuje numer naszej kompanii, to, jak słyszę, dowódca kompanii, a więc wyszedł cało, rękę ma na temblaku. Podchodzimy do niego, rozpoznaję Kata i Alberta, stajemy razem, opieramy się o siebie i patrzymy jeden na drugiego.

I jeszcze raz, i jeszcze raz słyszymy wywoływany nasz numer. Długo może wołać, nie słysząc go w lazaretach i w lejach.

Jeszcze raz:

– Druga kompania tutaj!

A potem ciszej:

– Nie ma nikogo więcej z drugiej kompanii?

Milczy chwilę. Głos ma trochę ochrypły, kiedy pyta:

– To wszyscy? – Po czym rozkazuje: – Odlicz!

Poranek jest szary, było jeszcze lato, kiedyśmy stąd wychodzili, i było nas stu pięćdziesięciu. Teraz marzniemy, jest jesień, liście szeleszczą, podfruwają zmęczone głosy:

– Raz – dwa – trzy – cztery – i tak do trzydziestu dwóch, a potem milkną.

Milczenie trwa długo, dopóki głos nie zadaje pytania:

– Jeszcze ktoś? – Odczekuje chwilę, po czym rozkazuje cicho: – Drużynami... – urywa jednak, bo może tylko dokończyć: – Druga kompania... – mówi z wysiłkiem – druga kompania – dowolnym krokiem marsz!

Kolumna, krótka kolumna wyrusza po omacku w poranek.

Trzydziestu dwóch ludzi.

VII

Wycofują nas dalej niż zwykle, do polowego magazynu rekrutów, żeby można nas było tam przeformować. Nasza kompania potrzebuje uzupełnienia w liczbie ponad stu ludzi.

Na razie w czasie wolnym od służby włączymy się po okolicy. Dwa dni później przychodzi do nas Himmelstoss. Odkąd trafił do okopów, przestał się na ludzi wydzierać. Proponuje, żebyśmy zawarli rozejm. Ja jestem gotów, bo widziałem, jak wynosił z pola walki Haiego Westhusa, któremu wyrwało kawał pleców. Ponieważ poza tym gada naprawdę rozsądnie, nie mamy nic przeciwko temu, żeby zaprosił nas do kantyny. Tylko Tjaden jest nieufny i odnosi się do niego z rezerwą.

Ale i jego udaje się pozyskać, bo Himmelstoss mówi, że ma zastępować wyjeżdżającego na urlop kucharza. Na dowód tego natychmiast wydaje nam dwa funty cukru i pół funta masła specjalnie dla Tjadena. Dbą nawet o to, żeby na następne trzy dni odkomenderowano nas do kuchni do obierania kartofli i brukwi. Jedzenie, jakie nam tam serwuje, to wyborowy wikt oficerski.

Dzięki temu mamy aktualnie znowu obie rzeczy, jakich żołnierz potrzebuje do szczęścia: dobre jedzenie i spokój. To mało, kiedy się nad tym zastanowić. Jeszcze przed paroma laty okropnie byśmy

sobą gardzili. Teraz jesteśmy prawie zadowoleni. Wszystko jest kwestią przyzwyczajenia, również okopy.

Z powodu tego przyzwyczajenia pozornie tak szybko zapominamy. Przedwczoraj byliśmy jeszcze w ogniu walki, dzisiaj wygłupiamy się i szwendamy po okolicy, jutro wracamy do okopów. W rzeczywistości niczego nie zapominamy. Dopóki musimy być tutaj, w polu, dni frontowe, kiedy minęły, zapadają w nas niczym kamienie, ponieważ są za ciężkie, żeby natychmiast móc się nad nimi zastanawiać. Gdybyśmy to robili, potem by nas zabiły; zauważyłem już bowiem, że groza daje się znieść, dopóki po prostu się schylamy – uśmierca zaś, kiedy zaczynamy się nad nią zastanawiać.

Podobnie jak stajemy się zwierzętami, kiedy idziemy do przodu, bo tylko dzięki temu możemy przeżyć, tak stajemy się powierzchownymi żartownisiami i mazgajami, kiedy daje się nam spokój. Za nic nie potrafimy inaczej, to po prostu jakiś przymus. Chcemy żyć za wszelką cenę; nie wolno nam więc obarczać się uczuciami, które może i prezentują się dekoracyjnie w czasach pokoju, ale tutaj są nie na miejscu. Kemmerich nie żyje, Haie Westhus umiera, z ciałem Hansa Kramera będą mieli kłopot w dniu Sądu Ostatecznego, bo trzeba będzie pozbierać wszystkie kawałki, na jakie się rozprysło po trafieniu pociskiem, Martens nie ma nóg, Meyer nie żyje, Marx nie żyje, Beyer nie żyje, Hämmerling nie żyje, stu dwudziestu ludzi leży gdzieś zastrzelonych, to nieprzyjemna sprawa, ale co nas to jeszcze obchodzi, my żyjemy. Gdybyśmy mogli ich uratować, to co innego, wtedy byłoby obojętne, czy sami byśmy przy tym zginęli, zabralibyśmy się do rzeczy; bo kiedy chcemy, to potrafimy się

cholernie sprężyć; strachliwość jest nam raczej obca – znamy za to lęk przed śmiercią, ale to co innego, to odczucie cielesne.

Nasi koledzy jednak nie żyją, nie możemy im pomóc, oni mają spokój – kto wie, co nas jeszcze czeka; chcemy się rzucić na wyro i spać albo zreć, ile się zmieści w żołądku, i chlać, i palić, żeby godziny nie były takie puste. Życie jest krótkie.

Groza frontowa opada, kiedy człowiek odwraca się do niej plecami, radzimy sobie z nią za pomocą podłych, prostackich dowcipów; gdy ktoś umiera, mówimy, że uderzył kopytami w kalendarz – i tak o wszystkim, to ratuje nas przed szaleństwem; dopóki traktujemy to w ten sposób, stawiamy opór.

Ale nie zapominamy! Doniesienia gazet wojennych o świetnych humorach w oddziałach, które organizują potańcówki, ledwo wycofały się z huraganowego ognia nieprzyjaciela, to wielka bzdura. My nie robimy tego, bo mamy humor, ale mamy humor, bo w przeciwnym razie byśmy się wykończyli. Cała sprawa i tak nie potrwa już zbyt długo, z każdym miesiącem humor jest bardziej gorzki.

A ja wiem, że wszystko to, co teraz, dopóki jesteśmy na wojnie, zapada w nas niczym kamień, przebudzi się po wojnie i dopiero wtedy zacznie się rozprawa na śmierć i życie.

Powrócą jeszcze raz dni, tygodnie, lata spędzone tu, na froncie, a wówczas powstaną z martwych nasi koledzy i będą maszerować z nami, w naszych głowach zapanuje jasność, będziemy mieć cel i będziemy tak maszerować, nasi martwi koledzy obok nas, lata na froncie za nami – ale przeciwko komu, przeciwko komu?

W tej okolicy bawił jakiś czas temu teatr frontowy. Na płocie są jeszcze przyklejone kolorowe plakaty informujące o przedstawieniach. Kropp i ja stajemy przed nimi i szeroko otwieramy oczy. Nie możemy pojąć, że istnieje jeszcze coś takiego. Na plakacie jest dziewczyna w jasnej letniej sukience z czerwonym lakierowanym paskiem na biodrach. Jedną ręką opiera się o poręcz, w drugiej trzyma słomkowy kapelusz. Ma na nogach białe pończochy i białe pantofle na wysokim obcasie, zgrabne pantofelki z klamerką. Za nią lśni błękitne morze z kilkoma grzywami fal, z boku wcina się w ląd jasna zatoka. Dziewczyna jest wyjątkowo piękna, o wąskim nosie, czerwonych wargach i długich nogach, niewyobrażalnie czysta i zadbana, na pewno kąpie się dwa razy dziennie i nigdy nie ma brudu za paznokciami. Co najwyżej może czasem trochę piasku z plaży.

Obok niej stoi mężczyzna w białych spodniach, niebieskiej marynarce i czapce żeglarskiej, ale on interesuje nas znacznie mniej.

Dziewczyna na płocie to dla nas prawdziwy cud. Całkiem zapomnieliśmy, że istnieje coś takiego, także teraz właściwie nie dowierzamy własnym oczom. W każdym razie od lat nie widzieliśmy niczego w tym rodzaju, nawet w przybliżeniu tak pogodnego, pięknego i szczęśliwego. To jest pokój, taki musi być pokój, odczuwamy ogarnięci podnieceniem.

– Spójrz tylko na te lekkie buciki, nie uszłaby w nich nawet kilometra – mówię i w tej samej chwili przyłapuję się na tym, że jestem strasznie naiwny, bo to przecież głupota na widok takiej dziewczyny myśleć o maszerowaniu.

– Ile może mieć lat? – pyta Kropp.

– Najwyżej dwadzieścia dwa – szacuję.
– Niemożliwe, wtedy byłaby starsza od nas. Powiadam ci, że ma nie więcej niż siedemnaście!

Dostajemy gęziej skórki.

– To byłoby coś, nie uważasz, Albercie?

Kiwa głową.

– W domu też mam białe spodnie.

– Spodnie jak spodnie – mówię – ale taka dziewczyna...

Przyglądamy się sobie nawzajem, od stóp do głów. Nie ma na czym zaczepić oka, na każdym z nas wyblakły, pocerowany, brudny mundur. Jakiegokolwiek porównania nie mają najmniejszego sensu.

Dlatego na początek zdrapujemy z płotu młodego człowieka w białych spodniach, ostrożnie, żeby nie uszkodzić dziewczyny. To już coś. Potem Kropp proponuje:

– Moglibyśmy się poddać odwszaniu.

Niezupełnie się z nim zgadzam, bo cierpi na tym ubranie, a wszy ma się znowu po dwóch godzinach. Kiedy jednak ponownie pogrążamy się w kontemplacji plakatu, oświadczam, że jestem gotów to zrobić. Idę nawet jeszcze dalej.

– Moglibyśmy też zapytać, czy nie wydano by nam czystych koszul.

– Onuce byłyby jeszcze lepsze – podsuwa z jakiegoś powodu Albert.

– Mogą być też onuce. Przy okazji rozejrzyjmy się trochę.

Akurat przyplątują się Leer i Tjaden, dostrzegają plakat i rozmowa błyskawicznie przybiera świński ton. Leer w naszej klasie jako pierwszy miał romans z kobietą i opowiadał o tym

podniecające szczegóły. Na swój sposób zachwyca się plakatem, a Tjaden gorliwie mu przytakuje.

Nie napawa nas to szczególnym obrzydzeniem. Kto nie świntuszy, ten nie jest żołnierzem; tyle że w tym momencie nam to nie odpowiada, dlatego kierujemy się w bok i maszerujemy do odwszalni z uczuciem, jakby to był elegancki salon mody męskiej.

Domy, w których mamy kwaterę, stoją blisko kanału. Po drugiej stronie kanału znajdują się stawy otoczone topolowymi zagajnikami; po drugiej stronie są też kobiety.

Domy po naszej stronie opróżniono. Po tamtej natomiast od czasu do czasu widuje się jeszcze mieszkańców.

Kiedy wieczorem pływamy w stawie, pojawiają się trzy kobiety. Idą powoli wzdłuż brzegu i nie odwracają oczu, mimo że nie mamy na sobie kąpielówek.

Leer coś do nich woła. Ze śmiechem zatrzymują się, żeby się nam przyglądać. Łamaną francuszczyzną rzucamy im jakieś zdania, które przychodzą nam akurat do głowy, groch z kapustą, w pośpiechu, żeby nie odeszły. Nie są to specjalnie wyszukane słowa, ale skąd mielibyśmy takie znać.

Jest wśród nich szczupła, śniada. Widać jej lśniące zęby, kiedy się śmieje. Przy wykonywaniu szybkich ruchów spódnica owija się jej luźno wokół nóg. Choć woda zimna, jesteśmy bardzo rozochoceni, staramy się zainteresować kobiety, żeby zostały. Próbujemy żarcików, one odpowiadają, tyle że nie rozumiemy; śmiejemy się więc i machamy. Tjaden ma więcej oleju w głowie. Biegnie do domu, przynosi komiśniak i trzyma go potem nad głową.

Chleb wywołuje niebywały efekt. Kobiety dają nam znaki głowami i rękami, żebyśmy przyszli do nich. Ale nam nie wolno. Wychodzenie na drugi brzeg jest zabronione. Wszędzie przy mostach stoją wartownicy. Bez przepustki nie da się nic zrobić. Dlatego tłumaczymy im, żeby one przyszły do nas, ale kręcą głowami i pokazują mosty. Ich też nie przepuszczą.

Zawracają, powoli ruszają w górę kanału, cały czas wzdłuż brzegu. Odprowadzamy je, płynąc wpław. Po kilkuset metrach skręcają i wskazują stojący z boku dom, który wygląda zza drzew i krzaków. Leer pyta, czy tam mieszkają.

Śmieją się – tak, to ich dom.

Wołamy do nich, że przyjdziemy, kiedy wartownicy nie będą mogli nas widzieć. W nocy. Tej nocy.

Wznoszą ręce, składają dłonie, pochylają nad nimi twarze i zamykają oczy. Zrozumiały. Ta szczupła, śniada wykonuje taneczne podskoki. Blondynka szczebiocze:

– Chleb – dobry.

Gorliwie potwierdzamy, że go przyniesiemy. A poza tym inne piękne rzeczy, przewracamy oczyma i pokazujemy rękami. Leer omal się nie utopił, kiedy chciał zademonstrować „kawalek kielbasy”. Gdyby było trzeba, obiecalibyśmy im cały magazyn prowiantowy. Odchodząc, odwracają się jeszcze wiele razy. Wspinamy się na brzeg po naszej stronie i obserwujemy, czy rzeczywiście wchodzi do tego domu, bo możliwe przecież, że nas nabierają. Potem płyniemy z powrotem.

Bez przepustki nikomu nie wolno przejść przez most, dlatego w nocy po prostu przepłyniemy na drugą stronę. Ogarnia nas podniecenie, które już nas nie opuszcza. Nie możemy wytrzymać

na miejscu, idziemy więc do kantyny. Jest akurat piwo i trunek przypominający poncz.

Pijemy poncz i opowiadamy sobie zmyślane przeżycia. Każdy chętnie wierzy drugiemu i niecierpliwie czeka, żeby zablagować jeszcze mocniej. Ręce mamy niespokojne, bez opamiętania palimy papierosy, dopóki Kropp nie podsuwa:

– Właściwie moglibyśmy im też zanieść kilka papierosów.

Wkładamy je zatem do czapek, żeby były na później.

Niebo przybiera kolor zielony jak niedojrzałe jabłko. Jest nas czterech, ale iść może tylko trzech; dlatego musimy się pozbyć Tjadena; fundujemy mu rum i poncz, dopóki się nie zatacza. Kiedy się ściemnia, ruszamy w stronę swoich kwater, prowadząc Tjadena w środku. Jesteśmy rozpaleni, wypełnia nas żądza przygód. Dla mnie ma być ta szczupła, śniada, tak się umówiliśmy, rozdzielając kobiety.

Tjaden zwala się na siennik i zaczyna chrapać. Raz budzi się i uśmiecha do nas tak chytrze, że wystraszeni podejrzewamy już, że tylko udawał i postaviliśmy mu poncz na próżno. Zaraz jednak opada z powrotem na posłanie i śpi dalej.

Każdy z nas trzech ma już przygotowany cały bochenek komiśniaka, który zawija w gazetę. Do tego dodajemy papierosy, a ponadto trzy solidne porcje wątrobianej, którą dostaliśmy dzisiaj. To naprawdę porządny prezent.

Na razie chowamy te rzeczy do butów; buty musimy bowiem zabrać z sobą, bo po tamtej stronie łatwo nadepnąć na jakieś druty lub skorupy. Ponieważ wcześniej musimy pływać, potem możemy się obyć bez ubrań. Jest zresztą ciemno i niedaleko.

W końcu ruszamy z butami w rękę. Szybko wślizgujemy się do wody, kładziemy na plecach i płynąc, trzymamy nad głowami buty wraz z zawartością.

Po drugiej stronie wspinamy się ostrożnie na wysoki brzeg, wydajemy paczuszki i wzuwamy buty. Rzeczy wciskamy pod pachę. I tak, mokrzy, nadzy, ubrani tylko w buty, ruszamy biegiem. Natychmiast odnajdujemy dom. Ciemny dom wśród zarośli. Leer potknął się o korzeń i rozharatał sobie łokieć.

– Nic nie szkodzi – mówi pogodnie.

Przed oknami umieszczone są okiennice. Ukradkiem okrążamy dom i próbujemy zajrzeć do środka przez szpary. Po chwili zaczynamy się niecierpliwić. Nagle Kropp rzuca z wahaniem:

– A jeśli jest u nich jakiś major?

– To po prostu damy dyla. – Leer się uśmiecha. – A numer naszego pułku może przeczytać tutaj – dodaje, klepiąc się w pośladek.

Drzwi domu są otwarte. Nasze buty powodują spory hałas. Wewnątrz otwierają się drzwi jakiegoś pokoju, przez które pada światło, przestraszona kobieta wydaje stłumiony okrzyk.

– Pst, pst – *camérade* – *bon ami* – zapewniamy i zaklinającym gestem unosimy swoje paczki.

W tym momencie pojawiają się także dwie pozostałe, drzwi otwierają się na oścież i stajemy w pełnym świetle. Kobiety rozpoznają nas i wszystkie trzy wybuchają niepohamowanym śmiechem na widok naszych strojów. Stojąc w drzwiach, wprost skręcają i pokładają się ze śmiechu. Ależ elastycznie się poruszają!

– *Un moment.*

Znikają wewnątrz budynku i rzucają nam jakieś ciuchy, w które prowizorycznie się odziewamy. Teraz możemy wejść. W pokoju pali się mała lampa, jest ciepło i unosi się słaby zapach perfum. Rozpakowujemy paczki i wręczamy im swoje prezenty. Kobietom rozbłyskują oczy, widać, że są głodne.

Przez chwilę wszyscy czujemy się trochę skrępowani. Leer wykonuje gest jedzenia. Wtedy na powrót budzi się w nich życie, kobiety przynoszą talerze i noże i rzucają się na wiktuały. Jedząc wątrobianą, podnoszą wpierw każdy plasterek i podziwiają, a my siedzimy obok i pęczniejemy z dumy.

Zasypują nas słowami w swoim języku – niewiele rozumiemy, ale słyszymy, że to życzliwe słowa. Może zresztą wyglądamy bardzo młodo. Ta szczupła, śniada, przejeżdża mi dłonią po włosach i mówi to, co wszystkie francuskie kobiety zawsze mówią:

– *La guerre – grand malheur – pauvres garçons.*

Przytrzymuję jej rękę i wciskam usta w jej dłoń. Palce obejmują moją twarz. Tuż nad sobą widzę jej podniecające oczy, łagodny brąz skóry i czerwone wargi. Usta wypowiadają słowa, których nie rozumiem. Niezupełnie też rozumiem oczy, mówią więcej, niżesmy się spodziewali, idąc tutaj.

Obok są pokoje. Przechodząc, widzę Leera, który obejmuje mocno blondynkę i śmieje się głośno. On już to przecież zna. Ale ja – ja jestem wydany na pastwę czegoś odległego, cichego i burzliwego i temu czemuś się powierzam. Moje pragnienia są dziwną mieszaniną pożądania i pogrążania się. Kręci mi się w głowie, ale tutaj nie ma się czego uchwycić. Buty zostawiliśmy za drzwiami, dano nam za to pantofle domowe i nie ma już teraz niczego, co by mi przypominało żołnierską pewność siebie

i zuchwałość: karabinu ani pasa, munduru ani czapki. Rzucam się więc w tę niepewność, niech się dzieje, co chce – bo mimo wszystko się boję.

Szczupła i śniada porusza brwiami, kiedy się zastanawia, ale jej brwi są nieruchome, kiedy mówi. Czasami też dźwięk nie do końca staje się słowem, zamiera wtedy lub przeskakuje nade mną półgotowy; łuk, trajektoria, kometa. Co ja o tym wiedziałem – co o tym wiem? Słowa tego obcego języka, którego prawie nie rozumiem, usypiają mnie i wprowadzają w ciszę, w której pokój rozplywa się w brązie i słabym blasku, tylko oblicze nade mną żyje i jest wyraźnie widoczne.

Jakże zmienna jest twarz, jeszcze przed godziną była obca, a teraz skłania się do czułości, która nie wypływa z niej, tylko z jakby jaśniejących w niej pospołu nocy, świata i krwi. Pod dotknięciem tej jasności przedmioty w pomieszczeniu zmieniają się i nabierają szczególnego charakteru, niemal wciąż napęlnia mnie widok własnej jasnej skóry, kiedy spoczywa na niej blask lampy, a chłodna brązowa dłoń przesuwana się po niej.

Jakże inne jest to wszystko od spraw załatwianych w wojskowych burdelach, z których wolno nam korzystać i gdzie stoi się w długiej kolejce. Nie chcę o nich myśleć, lecz mimo woli przychodzą mi do głowy i ze strachem stwierdzam, że czegoś takiego nie można się już pewnie nigdy pozbyć.

Zaraz jednak czuję wargi tej szczupłej śniadej i przywieram do nich mocno, zamykam oczy i w ten sposób chciałbym wszystko wymazać, wojnę i jej grozę, i nikczemność, żeby obudzić się młodym i szczęśliwym; myślę o dziewczynie z plakatu i przez moment wierzę, że moje życie będzie zależeć od tego, czy ją

zdobędę. I tym mocniej wtulam się w ramiona, które mnie obejmują, może zdarzy się cud.

Potem jakoś wszyscy spotykamy się w komplecie. Leer jest bardzo rezolutny. Żegnamy się serdecznie i wzuwamy buty. Nocne powietrze chłodzi nasze gorące ciała. Szumią topole sterczące wysoko w ciemności. Księżyc stoi na niebie i w wodzie kanału. Nie biegniemy, idziemy obok siebie długimi krokami.

– To było warte komiśniaka! – mówi Leer.

Nie mogę się zdecydować, czy się odzywać, nawet się nie cieszę.

Wtem słyszymy kroki i chowamy się za krzakiem.

Kroki zbliżają się i mijają nas w bardzo małej odległości. Naszym oczom ukazuje się nagi żołnierz, w butach, dokładnie tak jak my, pod pachą trzyma paczkę i pędzi galopem przed siebie. To Tjaden w pełnym biegu. Już zniknął.

Wybuchamy śmiechem. Jutro będzie psioczył.

Niezauważenie docieramy do swoich sienników.

Wzywają mnie do kancelarii. Dowódca kompanii wręcza mi kartę urlopową i bilet i życzy szczęśliwej podróży. Sprawdzam, ile dostałem dni. Siedemnaście – czternaście dni urlop, trzy na podróż. To za mało, pytam więc, czy nie mógłbym dostać pięciu dni na podróż. Bertinck pokazuje mi, żebym spojrzał na swoją kartę, i wtedy widzę, że nie wracam od razu na front. Po urlopie mam się jeszcze zgłosić na kurs na poligonie „Heidelager”.

Inni mi zazdroszczą. Kat udziela dobrych rad, jak skutecznie się zadekować.

– Jak będziesz sprytny, zaczepisz się tam na dłużej.

Właściwie wolałbym wyjechać dopiero za osiem dni, bo tak długo jeszcze tu zostajemy, a tu jest przecież dobrze.

Naturalnie muszę postawić w kantynie. Wszyscy jesteście trochę podpici. Wpadam w smętny nastrój; nie będzie mnie sześć tygodni, to naturalnie wielkie szczęście, ale jak to będzie, kiedy tu wrócę? Czy jeszcze wszystkich zastanę? Haiego i Kemmericha już nie ma – kto będzie następny?

Kiedy pijemy, przyglądam się kolejno jednemu po drugim. Albert siedzi obok mnie i pali, jest w dobrym humorze, zawsze byliśmy razem; naprzeciwko usiadł Kat, który ma opadające barki, szeroki kciuk i spokojny głos; Müller z wystającymi zębami i o szczekliwym śmiechu; Tjaden o mysich oczach; Leer, który zapuścił brodę i wygląda, jakby miał czterdzieści lat.

Nad naszymi głowami unosi się gęsty dym. Kim byłby żołnierz bez tytoniu! Kantyna jest azylem, piwo to coś więcej niż napój, to znak, że można bezpiecznie wyprostować i wyciągnąć kości. Robimy to zresztą porządnie, wyciągamy nogi daleko przed siebie i od czasu do czasu spluwamy sobie, że aż miło. Jakże inne wydaje się to wszystko człowiekowi, kiedy następnego dnia wyjeżdża!

W nocy wybieramy się jeszcze raz na drugą stronę kanału. Trochę się boję powiedzieć szczupłej śniadej, że wyjeżdżam i że gdy wrócę, na pewno będziemy gdzieś dalej, a więc że już się nie zobaczymy. Ona tylko kiwa głową i nie daje poznać po sobie zbyt wiele. W pierwszej chwili nie rozumiem tego, potem do mnie dociera. Leer ma jednak rację: gdybym poszedł na front, znów mówiłaby o mnie *pauvre garçon*, ale urlopowicz – o kimś takim nie chce słyszeć, taki ktoś nie jest zbyt interesujący. Niech idzie do

diabła ze swoim nuceniem i gadaniną. Człowiek wierzy w cuda, a potem okazuje się, że to był tylko komiśniak.

Następnego ranka, po odwszaniu, maszeruję na przystanek kolei polowej. Odprowadzają mnie Albert i Kat. Na miejscu dowiadujemy się, że odjazd nastąpi pewnie dopiero za parę godzin. Obaj muszą wracać, mają służbę. Żegnamy się.

– Powodzenia, Kat; powodzenia, Albercie.

Odchodząc, machają mi jeszcze kilka razy. Ich postacie stają się coraz mniejsze. Dobrze znam każdy ich krok, każdy ruch, choćby po tym poznałbym ich z daleka. A potem znikają.

Siadam na swoim tornistrze i czekam.

Nagle wypełnia mnie szalona niecierpliwość, żeby się wreszcie stąd wydostać.

Leżę na niejednym dworcu, stoję przed niejednym kotłem z zupą, siedzę na niejednej desce, potem jednak krajobraz za oknem staje się przygnębiający, niesamowity i znany. W zapadającym zmierzchu przesuwają się za oknami pociągów razem z wioskami, w których słomiane dachy sprawiają wrażenie czapek wciągniętych na bielone wapnem fachwerkowe domy, z łąkami zboża połyskującymi niczym masa perłowa w ukośnie padających promieniach słońca, z sadami i stodołami, i starymi lipami.

Nazwy stacji stają się pojęciami, które wprawiają w drżenie moje serce. Pociąg dudni i dudni, stoję przy oknie, trzymając się drewnianych ram. Te nazwy stanowią granicę mej młodości.

Płaskie łąki, pola, zagrody; na tle nieba pojedynczy zaprzęg jedzie drogą przebiegającą równoległą do horyzontu. Szlaban, za którym czekają chłopcy, machające dziewczęta, dzieci bawiące się

przy nasypie kolejowym, drogi wiodące w głąb kraju, równe drogi, bez artylerii.

Jest wieczór i gdyby pociąg nie dudnił, musiałbym pewnie krzyczeć. Rozciągająca się równina jest naprawdę rozległa, w niewyraźnej sieni dala pojawiają się sylwetki pierwszych gór. Rozpoznaję charakterystyczną linię Dolbenbergu, ten ząbkowany grzbiet, który nagle urywa się w najwyższym miejscu lasu. Zaraz powinno pojawić się miasto.

Teraz czerwonożłote światło rozlewa się po świecie, pociąg stuka, biorąc zakręt i jeszcze jeden – a w tym świetle stoją w oddali topole, nierzeczywiste, rozwiane i ciemne, jedna za drugą w długim rzędzie utworzonym z cienia, światła i tęsknoty.

Mijane pole obraca się powoli wraz z nimi; pociąg je objeżdża, zmniejszają się odstęp między drzewami, które stają się zwartym blokiem, przez chwilę widzę tylko jedno na przedzie, potem pozostałe z powrotem wysuwają się zza niego; jeszcze długo widać tylko je na tle nieba, dopóki nie zasłonią ich pierwsze domy.

Przejazd kolejowy. Stoję przy oknie, nie mogę się oderwać. Inni przygotowują swoje rzeczy przed wysiadaniem. Wypowiadam na głos nazwę ulicy, którą przecinamy – Bremer Strasse – Bremer Strasse.

Na dole są rowerzyści, wozy, ludzie, to szara ulica i szary tunel – który bierze mnie w objęcia, jakby był moją matką.

A potem pociąg staje i pojawia się dworzec ze swoim hałasem, okrzykami i tablicami. Pakuję tornister, umocowuję haki, biorę do ręki karabin i niepewnym krokiem schodzę na peron.

Rozglądam się dokoła: nie znam nikogo ze śpieszących się tutaj ludzi. Siostra Czerwonego Krzyża proponuje mi coś do picia.

Odwracam się od niej, bo uśmiecha się zbyt głupkowato, taka przejęta ważnością swojej osoby: Patrzcie tylko, daję żołnierzowi kawy. Mówi do mnie „kolego”, tego mi tylko brakowało.

Przed dworcem natomiast, nieopodal ulicy, szumi rzeka, sycząc, wyskakuje spieniona ze śluz pod Mühlenbrücke. Stoi nad nią stara czworokątna wieża strażnicza, a przed nią wielka kolorowa lipa, z tyłu widać już wieczór.

Tutaj siedzieliśmy, i to często – jak dawno temu to było – przechodziliśmy przez ten most i wdychaliśmy chłodny, zgniły zapach spiętrzonej wody; pochylaliśmy się nad spokojnym nurtem po tej stronie śluzy, gdzie przy filarach mostu wisiały splątane zielone glony i wodorosty – a po drugiej stronie w upalne dni cieszyliśmy oczy tryskającą pianą i gadaliśmy o nauczycielach.

Przechodzę przez most, patrzę w prawo i w lewo; w rzece nadal jest pełno glonów, a woda nadal spada jasnym łukiem; w budynku wieży stoją jak wtedy nad białą bielizną prasowaczki z obnażonymi ramionami; gorąca para buchająca z żelazek wypływa przez otwarte okna. Apatyczne psy szwendają się w wąskiej ulicy, przed drzwiami domów stoją ludzie i oglądają się za mną, kiedy ich mijam brudny i obładowany.

W tej cukierni jedliśmy nieraz lody i wprawialiśmy się w paleniu papierosów. Przy tej ulicy, która przesuwą się obok mnie, znam każdy dom, sklep towarów kolonialnych, drogeria, piekarnia. I w końcu stoję przed brązowymi drzwiami z wytartą klamką, i ciężko mi podnieść rękę. Otwieram je; wita mnie dziwny chłód, przez co moje oczy tracą pewność siebie.

Pod moimi butami skrzypią schody. U góry trzaskają otwierane drzwi, ktoś wygląda przez balustradę. To drzwi od kuchni, smażą

tam akurat placki ziemniaczane, pachnie nimi w całym domu, no jasne, przecież dziś sobota, to pewnie moja siostra się wychyla. Na chwilę ogarnia mnie wstyd, spuszczam więc głowę, po czym zdejmuję hełm i spoglądam w górę. Tak, to moja starsza siostra.

– Paul – woła – Paul!

Kiwam głową, mój tornister uderza o balustradę, karabin jest taki ciężki.

Siostra otwiera gwałtownie inne drzwi i woła:

– Mamo, mamó, Paul przyjechał.

Nie jestem w stanie iść dalej. Mamo, mamó, Paul przyjechał.

Opieram się o ścianę, zaciskam palce na hełmie i karabinie. Zaciskam palce najmocniej, jak się da, ale nie potrafię zrobić ani kroku dalej, schody rozpływają mi się przed oczami, przygniatałabym sobie kolbą stopy i z wściekłości zaciskam zęby, ale jestem bezsilny wobec tego jednego słowa, które wypowiedziała moja siostra, nie ma na nie sposobu, na siłę próbuję się uśmiechnąć i coś powiedzieć, lecz nie mogę słowa wydusić, stoję więc na schodach, nieszczęśliwy i bezradny, potwornie odrętwiały, bronię się, ale łzy same spływają mi po twarzy.

Siostra wraca do balustrady i pyta:

– Co z tobą?

Wtedy biorę się w garść i ledwo podnosząc nogi, wchodzę na górę, wkraczam do korytarza. Karabin opieram w kącie, tornister stawiam pod ścianą, na nim kładę hełm. Muszę się też pozbyć pasa z oporządzeniem. A potem mówię wściekły:

– Dajże mi wreszcie jakąś chusteczkę!

Daje mi z szafy chusteczkę, ocieram nią twarz. Na ścianie nade mną wisi oszklona gablota z kolorowymi motylami, które dawniej

zbierałem.

W tym momencie słyszę głos matki dobiegający z sypialni.

– To mama nie na nogach? – pytam siostrę.

– Nie, jest chora – odpowiada.

Wchodzę do niej, podaję jej rękę i mówię najspokojniej, jak umiem:

– No to jestem, mamó.

Matka leży przez chwilę bez słowa w półmroku, po czym pyta mnie z lękiem, a ja czuję, jak obmacuje mnie wzrokiem:

– Jesteś ranny?

– Nie, mam urlop.

Matka jest bardzo blada. Wolę nie zapalać światła.

– A ja tutaj leżę i płaczę – mówi – zamiast się cieszyć.

– Jesteś chora, mamó? – pytam.

– Trochę dziś wstanę – odpowiada i zwraca się do mojej siostry, która co rusz musi zaglądać na chwilę do kuchni, żeby nie przypaliły jej się placki: – Otwórz też słoik konfitur z czerwonych borówek. Przecież je lubisz, prawda? – zwraca się do mnie.

– Tak, mamó, dawno ich nie jadłem.

– Jakbyśmy przeczuwały, że przyjedziesz – śmieje się siostra – akurat twoje ulubione jedzenie, mało, że placki ziemniaczane, to teraz nawet z czerwonymi borówkami.

– W końcu jest sobota – odpowiadam.

– Usiądź przy mnie – mówi matka.

Przygląda mi się. Dłonie ma blade i niezdrowe z wyglądu, i szczupłe w porównaniu z moimi. Zamieniamy tylko parę słów i jestem jej wdzięczny, że o nic nie pyta. Co zresztą miałbym powiedzieć: Wszystko, co możliwe, już się wydarzyło. Ja

wydostałem się cały i siedzę przy niej. A w kuchni stoi moja siostra i przygotowuje kolację, podśpiewując.

– Mój kochany chłopiec – mówi cicho matka.

W rodzinie nigdy nie odnosiliśmy się do siebie z przesadną czułością, to niezwykajne wśród biednych ludzi, którzy muszą dużo pracować i mają prawdziwe zmartwienia. Oni zresztą nie rozumieją tego w ten sposób, nie lubią zapewniać często o czymś, co i tak wiedzą. Kiedy matka mówi do mnie „kochany chłopiec”, znaczy to tyle samo, ile nie wiadomo jak wielkie słowa w ustach innej. Wiem z całą pewnością, że słoik konfitur z czerwonych borówek jest od miesiący ostatni i że matka zachowała go dla mnie tak samo jak twardawy już herbatnik, który mi teraz daje. Na pewno przy jakiejś okazji odłożyła od razu kilka dla mnie.

Siedzę przy jej łóżku, a za oknem błyszczą brązem i złotem kasztany w ogródku gospody naprzeciwko. Powoli uspokajam oddech i mówię sobie: Jesteś w domu, jesteś w domu. Nie opuszcza mnie jednak onieśmienie, nie potrafię się jeszcze odnaleźć. Jest tutaj moja matka, jest siostra, jest moja gabłota z motylami i mahoniowe pianino – tylko ja jeszcze nie całkiem tutaj jestem. Dzieli mnie od nich krok i jakaś zasłona.

Dlatego wstaję teraz, przynoszę do łóżka swój tornister i wypakowuję, co przywiozłem: cały ser edamski, który załatwił mi Kat, dwa komiśniaki, trzy czwarte funta masła, dwie puszki wątrobianej, funt smalcu i woreczek ryżu.

– Na pewno wam się to przyda.

Kiwają głowami.

– Tu pewnie trudno dostać coś takiego? – dopytuję się.

– Owszem, niewiele jest. A wy na froncie macie dosyć?

Uśmiecham się i wskazuję przywiezione rzeczy.

– Tyle to może nie zawsze, ale z grubsza wystarcza.

Erna wynosi wiktuały. Matka bierze mnie nagle za rękę i zacinając się, pyta:

– Bardzo źle było na froncie, Paul?

Mamo, co mam ci odpowiedzieć! Nie zrozumiesz, nigdy nie pojmiesz tego. I tak ma być. Pytasz, czy było źle. – Mamo. – Potrząsam głową i mówię:

– Nie, mamo, nie tak bardzo. Przecież jest nas tam wielu, więc nie jest tak źle.

– Tak, ale ostatnio był tutaj Heinrich Bredemeyer i on opowiadał, że na froncie jest strasznie, że gaz i cała reszta.

To moja matka tak mówi. Mówi: gaz i cała reszta. Nie wie, co mówi, przemawia przez nią tylko strach o mnie. Czy mam jej opowiedzieć, że kiedyś znaleźliśmy trzy nieprzyjacielskie okopy, gdzie ludzie zastygli w bezruchu, jakby piorunem rażeni? Na przedpiersiach, w schronach, tam gdzie akurat byli, stali i leżeli ludzie o sinych twarzach, martwi.

– Ach, mamo – odpowiadam – mówi się tyle różnych rzeczy. Bredemeyer też tylko gada, co mu ślina na język przyniesie. Sama widzisz, że jestem cały i gruby.

W trosce matki odnajduję swój spokój. Teraz już mogę chodzić po pokoju, mówić i opowiadać bez obawy, że nagle będę musiał oprzeć się o ścianę, bo świat robi się miękki jak guma, a żyły kruche jak hubka.

Matka postanawia wstać, na czas, gdy się ubiera, idę do siostry do kuchni.

– Co jej jest? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Leży już od paru miesięcy, ale nie pozwalała ci o tym napisać. Było u niej kilku lekarzy. Jeden powiedział, że to chyba znowu rak.

Idę do komendy powiatowej, żeby się zameldować. Powoli wędruję ulicami. Tu i ówdzie ktoś mnie zagaduje. Nie zatrzymuję się długo, bo nie mam ochoty tyle mówić.

Kiedy w drodze powrotnej wychodzę z koszar, słyszę, jak ktoś woła na mnie donośnym głosem. Odwracam się zamyślony i stoję naprzeciwko jakiegoś majora, który wyjeżdża na mnie z gębą:

– Nie potraficie oddawać honorów?

– Przepraszam, panie majorze – mówię zmieszany – nie widziałem pana.

Ten wrzeszczy jednak na mnie jeszcze głośniej:

– Nie potraficie się też rozsądnie wyrażać?

Najchętniej uderzyłbym go w twarz, ale opanowuję się, bo wtedy byłoby po moim urlopie, stoję na baczność i mówię:

– Nie widziałem pana majora.

– No to łaskawie uważajcie! – obsztorcowuje mnie. – Jak się nazywacie?

Melduję się.

Jego czerwona, nalana twarz nadal wyraża oburzenie.

– Jednostka?

Przepisowo podaję. Wciąż jeszcze nie ma dosyć.

– Gdzie stoicie?

Ale teraz ja mam dosyć i mówię:

– Między Langemark i Bixschoote.

– Jak to? – pyta trochę zaskoczony.

Wyjaśniam mu, że przed godziną przyjechałem na urlop. Liczę na to, że teraz się odczepi, ale jestem w błędzie. Wścieka się jeszcze bardziej.

– Wprowadzanie tutaj frontowych zwyczajów pewnie by wam pasowało, co? Nie ma tak dobrze! Tutaj, dzięki Bogu, panuje porządek! – I komenderuje: – W tył zwrot, dwadzieścia kroków marsz!

Czuję w sobie głuchą wściekłość. Nic jednak nie mogę mu zrobić, jeśli zechce, może natychmiast kazać mnie aresztować. Cofam się więc pędem, po czym ruszam przed siebie i sześć metrów przed nim sprężyste oddaję mu honory, maszerując, rękę opuszczam dopiero po minięciu go, sześć metrów za nim.

Znów przywołuje mnie do siebie i już łaskawie oznajmia, że jeszcze raz okaże pobłażliwość. Wyprężony na baczność wyrażam podziękowanie.

– Odmaszerować! – komenderuje.

Trzaskam obcasami, robiąc w tył zwrot, i odchodzę.

Psuje mi to humor na cały wieczór. Po powrocie do domu rzucam mundur w kąt, tak czy owak zamierzałem to zrobić. Potem wyciągam z szafy i wkładam cywilne ciuchy.

To dla mnie zupełnie niezwykle doświadczenie. Ubranie wydaje się za ciasne i przykrótkie, urosłem w wojsku. Kołnierz i krawat sprawiają mi kłopoty. W końcu siostra zawiązuje mi węzeł. Jakie lekkie jest takie ubranie, człowiek ma wrażenie, jakby był w samych kalesonach i koszuli.

Przeglądam się w lustrze. Dziwny to widok. Z lustra patrzy na mnie ze zdziwieniem ogorzały, trochę wyrośnięty konfirmant.

Matka jest zadowolona, że noszę cywilne ubranie; dzięki temu jestem jej bliższy. Ale ojciec wolałby, żebym włożył mundur, chciałby wybrać się ze mną w uniformie do swoich znajomych.

Tyle że ja nie chcę.

Przyjemnie jest gdzieś posiedzieć, na przykład w ogródku gospody naprzeciwko pod kasztanami, obok kręgielni. Liście spadają na stół i na ziemię, to pierwsze, jeszcze nieliczne. Przede mną stoi szklanka piwa, pić nauczyłem się w wojsku. Szklanka jest opróżniona do połowy, czeka mnie więc jeszcze kilka dobrych, chłodnych łyków, a poza tym, jeśli zechcę, mogę zamówić drugie i trzecie. Nie ma żadnego apelu ani huraganowego ognia, dzieci właściciela gospody bawią się w kręgielni, a pies kładzie mi łeb na kolanach. Niebo jest błękitne, między liśćmi kasztanów wznosi się zielona wieża kościoła św. Małgorzaty.

Dobrze mi tu, to lubię. Ale z ludźmi nie mogę dojść do ładu. Jedyną osobą, która o nic nie pyta, jest matka. Z ojcem to już co innego. Chciałby, żebym mu opowiedział coś o froncie, uważam jego życzenia za wzruszające i głupie, tak naprawdę nic mnie już z nim nie łączy. Najchętniej ciągle by tylko czegoś słuchał. Stwierdzam, że nie wie, że o czymś takim nie da się opowiedzieć; chętnie zresztą wyświadczyłbym mu tę przysługę, ale wiąże się to dla mnie z pewnym ryzykiem, jeśli ubiorę te sprawy w słowa, obawiam się, że rozrosną się do ogromnych rozmiarów i nie da się ich już okiełznać. Dokąd byśmy zaszli, gdyby wszystko, co dzieje się na froncie, było dla nas zupełnie jasne?

Ograniczam się więc do opowiedzenia mu paru wesołych historyjek. Ojciec pyta mnie jednak, czy brałem też udział

w walce na bagnety. Mówię, że nie, wstaję i wychodzę.

Nie poprawia mi to jednak nastroju. Kilka razy wzdrygam się ze strachu, bo pisk tramwaju przypomina odgłos nadlatujących granatów, wtem ktoś klepie mnie po ramieniu. To mój nauczyciel niemieckiego, który zasypuje mnie zwyczajowymi pytaniami.

– No, jak tam na froncie? Okropnie, okropnie, prawda? Tak, jest strasznie, ale musimy wytrzymać. Na froncie macie przynajmniej, jak słyszałem, dobre wyżywienie, dobrze pan wygląda, Paul, krzepko. Tutaj naturalnie jest dużo gorzej, to zresztą zupełnie naturalne i oczywiste, że to, co najlepsze, zawsze dla naszych żołnierzy!

Zaciąga mnie do swojego stolika. Gotują mi tam wspaniałe powitanie, jakiś dyrektor podaje mi rękę i mówi:

– A więc przyjechał pan z frontu? Jaki tam duch panuje? Doskonały, prawda, doskonały?

Oświadczam, że każdy chętnie wróciłby do domu.

Dyrektor wybucha grzmiącym śmiechem.

– Wierzę! Ale najpierw musicie dać łupnia Francuzom! Pali pan? Proszę, niech pan zapali. Kelner, proszę przynieść piwo także dla naszego młodego wojaka.

Niestety, przyjąłem cygaro, dlatego muszę zostać. Wszyscy wprost ociekają życzliwością, nie można powiedzieć. Mimo to jestem rozdrażniony i kurzę najszybciej, jak potrafię. Żeby przynajmniej coś robić, jednym haustem wlewam w siebie szklanę piwa. Natychmiast zamawiają mi drugą; ludzie wiedzą, co winni są żołnierzowi. Dyskutują o tym, co powinniśmy anektować. Dyrektor z zegarkiem na żelaznym łańcuszku najbardziej chciałby mieć: całą Belgię, francuskie zagłębie

węglowe i dużą część Rosji. Szczegółowo uzasadnia, dlaczego musimy to mieć, i obstaje przy swoim tak nieugięcie, że w końcu inni ustępują. Potem zaczyna wyjaśniać, gdzie na froncie francuskim należy przystąpić do przełamania, a w tym czasie zwraca się do mnie:

– Ruszcież się trochę do przodu na tym froncie, a nie ciągle tylko ta wasza wojna pozycyjna. Wyrzucicie zabojadów, to będzie pokój.

Odpowiadam, że naszym zdaniem przełamanie frontu jest niemożliwe. Tamci mają za duże rezerwy. Poza tym wojna jest jednak inna, niż ludzie sobie wyobrażają.

Tonem wyższości odpięra moje zastrzeżenie i dowodzi, że nic z tego nie rozumiem.

– Nie ma się co dziwić, to punkt widzenia jednostki – mówi – a chodzi przecież o całość. Pan nie może tego ocenić. Pan widzi tylko swój mały odcinek i dlatego nie ma pan całościowej orientacji. Spełnia pan swój obowiązek, naraża życie, to jest warte najwyższych honorów – każdy z was powinien dostać Krzyż Żelazny – ale przede wszystkim trzeba przełamać nieprzyjacielski front we Flandrii, a potem zwinąć go od góry. – Posapując, ociera brodę. – Trzeba go zwinąć całkowicie, z góry na dół. A potem na Paryż.

Chciałbym wiedzieć, jak sobie to wyobraża, i wlewam w siebie trzecie piwo. Natychmiast poleca przynieść kolejne.

Ale ja postanawiam odejść. Wsuwa mi jeszcze do kieszeni parę cygar i zwalnia mnie z przyjacielskim klapsem.

– Wszystkiego dobrego! Mam nadzieję, że wkrótce usłyszymy o was coś porządnego.

Inaczej wyobrażałem sobie urlop. Rok temu też był inny. Pewnie ja tymczasem się zmieniłem. Dzień dzisiejszy od tamtego dzieli przepaść. Wtedy jeszcze nie znałem wojny, staliśmy na spokojnych odcinkach frontu. Dziś zauważam, że mimowiednie zrobiłem się bardziej uległy. Nie orientuję się już tutaj, to dla mnie obcy świat. Jedni pytają, drudzy nie pytają, i widać po nich, że są z tego dumni; często mówią to nawet z ową miną sugerującą zrozumienie faktu, że nie można o tym mówić. Naprawdę wydaje im się, że to rozumieją.

Najbardziej lubię być sam, gdy nikt mi nie przeszkadza. Bo każda rozmowa sprowadza się do tego samego: jak źle albo jak dobrze się wie, jeden ocenia tak, drugi inaczej – i zawsze szybko przechodzą do tematów, które stanowią ich życie. Dawniej na pewno żyłem tak samo jak oni, ale teraz z tym życiem nic mnie już nie łączy.

Według mnie za dużo gadają. Mają zmartwienia, cele, życzenia, których nie potrafię ujmować tak jak oni. Czasem siedzę z jednym z nich w małym ogródku gospody i próbuję mu wyjaśnić, że to – takie spokojne siedzenie – to właściwie już wszystko. Naturalnie to rozumieją, przyznają mi rację, też tak uważają, ale tylko w słowach, tylko w słowach, w tym rzecz – odczuwają to, ale zawsze tylko w połowie, ich drugie „ja” jest przy innych sprawach, tacy są podzieleni, żaden nie odczuwa tego całym swoim życiem; zresztą ja sam też nie potrafię za bardzo powiedzieć, o co mi chodzi.

Kiedy tak na nich patrzę, w ich pokojach, w ich biurach, w ich zawodach, przyciąga mnie to z nieodpartą siłą, też chciałbym być

w środku i zapomnieć o wojnie; ale od razu mnie też odpycha, to takie ciasne, jak coś takiego może wypełniać życie należałoby to rozbić, w drobny mak, jak to wszystko może być takie teraz, gdy na froncie odłamki świszczą nad lejami i wystrzeliwują w niebo świetliste kule, gdy ściąga się rannych z pola bitwy na pałatkach, a koledzy wciskają się w ściany okopów! Tutaj są inni ludzie, ludzie, których nie za bardzo rozumiem, którym zazdroszczę i którymi gardzę. Mimo woli wracam myślą do Kata, Alberta, Müllera i Tjadena, ciekawe, co robią? Może siedzą w kantynie albo pływają – wkrótce będą musieli znowu ruszyć na przednią linię.

W moim pokoju za stołem stoi brązowa skórzana sofa. Siadam na niej.

Na ścianach przypięte pinezkami ilustracje, których wiele wycinałem dawniej z czasopism. Pomiedzy nimi pocztówki i rysunki, które zachowałem, bo mi się podobały. W kącie stoi mały piecyk żelazny. Na ścianie naprzeciwko regał z moimi książkami.

W tym pokoju mieszkałem, zanim zostałem żołnierzem. Książki dokupowałem sukcesywnie za pieniądze, które zarabiałem na korepetycjach. Wiele z nich w antykwariatach, na przykład całą klasykę, jeden tom kosztował markę i dwadzieścia fenigów, w sztywnej niebieskiej płóciennnej oprawie. Kupowałem pełne wydania, bo byłem skrupulatny, w wypadku dzieł wybranych nie dowierzałem wydawcom, czy rzeczywiście wybrali najlepsze rzeczy autora. Dlatego kupowałem tylko „dzieła wszystkie”. Czytałem je ze szczerym zapalem, lecz większość nie

za bardzo przypadła mi do gustu. Tym bardziej ceniłem inne książki, nowsze, które naturalnie były też znacznie droższe. Niektóre z nich zdobyłem w niezupełnie uczciwy sposób, wypożyczyłem, a potem nie oddałem, bo nie mogłem się z nimi rozstać.

Jedną z półek regału zajmują podręczniki szkolne. Niezbyt je szanowałem, są zaczytane, kartki powyrywane, wiadomo, w jakim celu. A na dole leżą spakowane zeszyty, różne papiery i listy, rysunki i szkice.

Chcę się wczuć w atmosferę tamtych czasów, obecną jeszcze w tym pokoju, natychmiast to sobie uświadamiam, ściany ją zachowały. Kładę ręce na oparciu sofy, żeby mi było wygodnie, podciągam w górę nogi, dzięki temu usadawiam się przytulnie w rogu sofy, poniekąd w jej ramionach. Małe okno jest otwarte, a w nim swojski widok ulicy ze sterczącą wieżą kościelną na końcu. Na stoliku stoi parę kwiatów. Obsadki, ołówki, muszla jako przycisk do papieru, kałamarz – tutaj nic się nie zmieniło.

I tak pewnie będzie, jeżeli będę miał szczęście, kiedy wojna się skończy i wrócę na zawsze. Tak samo będę tutaj siedział, patrzył na swój pokój i czekał.

Jestem podniecony, ale nie chciałbym, bo to niewłaściwe. Chcę znowu zaznać tego niemego zachwyty, uczucia gwałtownego, niedającego się nazwać przyciągania jak dawniej, gdy stawałem przed swoimi książkami. Niech ogarnie mnie znowu powiew pragnień, który podnosił się znad kolorowych grzbietów książek, niech stopi tę tkwiącą gdzieś w moim wnętrzu ciężką, martwą bryłę ołowiu i zbudzi we mnie na powrót niecierpliwość

przyszłości, uskrzydloną radość czerpania ze świata myśli, niech przywróci mi utraconą gotowość mojej młodości.

Siedzę i czekam.

Przypominam sobie, że muszę iść do matki Kemmericha; mógłbym też odwiedzić Mittelstaedta, powinienem znaleźć go w koszarach. Wyglądam przez okno: za skąpaną w słońcu ulicą wylania się rozmyte i lekkie pasmo wzgórz i przekształca w jasny dzień jesienią, gdy siedzę przy ognisku z Katem i z Albertem i wyjadam z łupiny pieczone kartofle.

O tym jednak nie chcę myśleć, wymazuję te wspomnienia. Pokój ma mówić, ma mnie pochwycić i nieść, chcę czuć, że tu jest moje miejsce, i nasłuchiwać, żeby wiedzieć, kiedy przyjdzie mi wrócić na front. Wojna osuwa się w głąb i tonie, kiedy przychodzi fala powrotu do domu, wojna mija i nie zżera nas, i nie ma nad nami żadnej władzy oprócz zewnętrznej!

Patrzę na grzbiety książek stojących obok siebie. Znam je i pamiętam, w jakim porządku je ustawiałem. Proszę je oczami: Mówcie do mnie – przyjmijcie mnie – przyjmij mnie, dawne życie, ty beztroskie, piękne życie – przyjmij mnie znowu.

Czekam, czekam.

Przesuwają się obrazy, ale nie zatrzymują się, to tylko cienie i wspomnienia.

Nic – nic.

Mój niepokój rośnie.

Nagle wzbiera we mnie okropne poczucie obcości. Nie mogę się odnaleźć, jestem wykluczony; choć bardzo proszę i nie żałuję wysiłków, nic się nie rusza, siedzę otępiały i smutny jak skazaniec, a przeszłość się ode mnie odwraca. Równocześnie czuję

strach, że za bardzo ją zaklinam, bo nie wiem, co jeszcze może się wydarzyć. Jestem żołnierzem, tego muszę się trzymać.

Znużony wstaję i wyglądam przez okno. Następnie biorę do ręki jedną z książek i przewracam kartki, próbuję czytać. Odkładam ją jednak i biorę inną. Są w niej miejsca podkreślone. Szukam, kartkuję, wyciągam następne książki. Obok mnie leży już cały stos. Do tego dochodzą, szybciej, inne papiery – kartki, zeszyty, listy.

Stoję przed nimi w milczeniu. Jak przed sądem.

Zniechęcony.

Słowa, słowa, słowa – nie docierają do mnie.

Powoli wstawiam książki z powrotem w powstałe luki.

Minęło.

Po cichu wychodzę z pokoju.

Jeszcze nie rezygnuję. Do swojego pokoju wprowadzie już nie wchodzę, ale pocieszam się tym, że kilka dni to wcale jeszcze nie musi być koniec. Będę miał na to – później – wiele lat. Na razie idę do koszar do Mittelstaedt i tam siedzimy u niego; nie lubię powietrza, jakim jest przesiąknięty jego pokój, ale jestem do niego przyzwyczajony.

Mittelstaedt ma w zanadrzu nowinę, która natychmiast mnie elektryzuje. Mówi, że Kantorka powołano do landszturmu.

– Wyobraź sobie – zaczyna i wyciąga parę dobrych cygar – trafiam tu z lazaretu i z miejsca wpadam na niego. Wyciąga do mnie łapę i skrzeczy: „Patrzcie, Mittelstaedt, jak leci?” Na to ja otwieram szeroko oczy i odpowiadam: „Landszturmisto Kantorek, służba to służba, a wódka to wódka, sami powinniście wiedzieć

o tym najlepiej. Stańcie na baczność, kiedy rozmawiacie z przełożonym”. Szkoda, że nie widziałeś jego twarzy! Skrzyżowanie korniszona i niewypału. Nieśmiało próbował jeszcze raz się zbratać. No to ofuknąłem go już trochę ostrzej. Wtedy wytoczył do boju najcięższą artylerię i spytał poufale: „Może znaleźć panu kogoś, kto pomoże zrobić skróconą maturę?” Chciał mi przypomnieć, kapujesz? Wtenczas wpadłem we wściekłość i ja mu też przypomniałem. „Landszturmisto Kantorek, dwa lata temu prawiliście nam takie komunały, że wylądowaliśmy w komendzie uzupełnień, w tym Josef Behm, który właściwie nie chciał. Zginął trzy miesiące przed tym, zanim zostałby planowo powołany. Gdyby nie wy, żyłby przynajmniej do tego czasu. A teraz: odmaszerować. Jeszcze sobie porozmawiamy”. Bez najmniejszego trudu postarałem się, żeby przydzielono mnie do jego kompanii. W pierwszej kolejności zabrałem go do magazynu i zadbałem o to, żeby dostał piękne wyposażenie. Zaraz go zobaczysz.

Wychodzimy na dziedziniec. Kompania ustawiła się w szyku. Mittelstaedt wydaje komendę „spocznij” i dokonuje przeglądu oddziału.

Wtem dostrzegam Kantorka i zagryzam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ma na sobie jakiś staroświecki mundur z długimi połami w kolorze spłowiałego błękitu. Na plecach i na rękawach naszyto duże ciemne łaty. Mundur musiał należeć wcześniej do jakiegoś olbrzyma. Tym krótsze są wyświechtane czarne spodnie: sięgają do połowy łydki. Za to obuwie jest bardzo obszerne, twarde jak z żelaza, prastare buciory, z zadartymi czubkami, w dodatku sznurowane z boku. Dla równowagi czapka

jest z kolei za mała, jakaś nieprzyzwoicie brudna, nędzna papacha. Wrażenie ogólne godne pożałowania.

Mittelstaedt zatrzymuje się przed nim.

– Landszturmisto Kantorek, czy według was te guziki są wyczyszczone? Chyba nigdy się nie nauczycie. Niedostateczny, Kantorek, niedostateczny.

W duchu zarykuję się z uciechy. Tak samo Kantorek ganił w szkole Mittelstaedta, nawet tym samym tonem: „Niedostateczny, Mittelstaedt, niedostateczny”.

Mittelstaedt w dalszym ciągu wybrzydza.

– Popatrzcie na Boettchera, to jest wzór, od którego możecie się uczyć.

Ledwo dowierzam własnym oczom. Jest też Boettcher, nasz portier szkolny. I on ma być wzorem! Kantorek ciska mi spojrzenie, jakby chciał mnie pożreć. Ja uśmiecham się tylko, patrząc mu niewinnie prosto w oczy, jakbym w ogóle go nie znał.

Wygląda jak skończony idiota w tej swojej papasze i mundurze! A my baliśmy się go panicznie, kiedy tronował na katedrze i przyszpilał jednego z uczniów ołówkiem, odpytując z nieregularnych francuskich czasowników, które potem we Francji i tak nie przydały nam się na nic. Nie minęły nawet dwa lata – a teraz stoi tu landszturmista Kantorek, w jednej chwili odczarowany, z krzywymi nogami i rękami jak ucha garnka, z niedoczyszczonymi guzikami i w śmiesznej postawie, istny żołnierz pokraka. Nie potrafię go już kojarzyć z groźnym wyobrażeniem na katedrze i naprawdę chciałbym wiedzieć, co zrobię, gdy ten żałosny niedojda będzie mógł mnie, starego

żołnierza, zapytać kiedyś znowu: „Bäumer, proszę podać formę imparfait czasownika *aller*”.

Na razie Mittelstaedt każe trochę poćwiczyć posuwanie się tyralierą. Kantorka wyznacza wspaniałomyślnie na dowódcę grupy.

Kryje się za tym jednak szczególna perfidia. Kiedy oddział posuwa się tyralierą, dowódca musi być bowiem zawsze dwadzieścia kroków przed pozostałymi; gdy zaś pada komenda „W tył zwrot – naprzód marsz!”, linia tyraliery wykonuje zwrot, a dowódca, który w ten sposób znajduje się nagle dwadzieścia kroków za linią, musi pędzić naprzód galopem, żeby znaleźć się znowu dwadzieścia kroków przed oddziałem. Daje to w sumie czterdzieści kroków gonienia z wywieszonym językiem. Bo ledwo dociera na swoje miejsce, rozkazuje się po prostu znowu „W tył zwrot – naprzód marsz!”, zmuszając go ponownie do przebiegnięcia czterdziestu kroków w odwrotnym kierunku. W ten sposób oddział za każdym razem wykonuje spokojnie tylko zwrot i parę kroków, podczas gdy jego dowódca gania tam i z powrotem jak fryga. Takie sekowanie to zresztą jedna z wielu wypróbowanych metod Himmelstossa.

Kantorek nie może oczekiwać od Mittelstaedta innego traktowania, bo nie dał mu kiedyś promocji do następnej klasy, i Mittelstaedt byłby strasznym głupcem, gdyby nie skorzystał z dobrej okazji do odwetu przed powrotem na front. Może trochę łatwiej się umiera, kiedy wojsko stwarza człowiekowi taką szansę.

Na razie Kantorek miota się tam i z powrotem jak spłoszona dzika świnia. Po jakimś czasie Mittelstaedt każe zaprzestać i rozpoczyna inne, jakże ważne ćwiczenie, a mianowicie czołganie.

Na kolanach i łokciach, trzymając przepisowo giwerę, Kantorek wlecze tuż obok nas po piasku swoją wspaniałą figurę. Mocno przy tym sapie, a jego sapanie jest muzyką dla naszych uszu.

Mittelstaedt zagrzewa go do wysiłku, pocieszając landszturmistę Kantorka cytatami z nauczyciela Kantorka:

– Landszturmisto Kantorek, mamy szczęście żyć w wielkich czasach, wszyscy musimy się zatem sprężyć i nie możemy poddawać się przeciwnościom.

Kantorek wypluwa kawałek brudnego drewna, który dostał mu się między zęby; mocno się poci.

Mittelstaedt pochyla się nad nim i zaklinającym tonem usilnie prosi:

– I nigdy nie wolno zapominać o wielkich wydarzeniach z powodu jakichś błahostek, landszturmisto Kantorek!

Dziwię się, że Kantorek nie pęknie z hukiem, zwłaszcza że teraz następuje lekcja gimnastyki, podczas której Mittelstaedt przezabawnie go naśladuje, podsadza go za siedzenie spodni przy podciąganiu się na drążku, żeby trzymał podbródek powyżej, a na dodatek sypie mądrymi powiedzonkami. Tak samo Kantorek robił z nim wcześniej.

Potem Mittelstaedt wyznacza mu kolejne zadania.

– Kantorek i Boettcher idą po komiśniak! Weźcie ze sobą ręczny wózek.

Parę minut później obaj wyruszają po chleb z ręcznym wózkiem. Kantorek maszeruje wściekły ze spuszczoną głową. Portier jest dumny, bo ma lekką służbę.

Piekarnia znajduje się na drugim końcu miasta, muszą więc przemierzyć całe miasto tam i z powrotem.

– Robią to już od paru dni. – Mittelstaedt się uśmiecha. – Niektórzy ludzie czekają, żeby ich zobaczyć.

– Pyszna zabawa – mówię. – I nie poskarżył się jeszcze?

– Próbował! Nasz komendant zaśmiewał się do rozpuku, kiedy usłyszał całą historię. Nie cierpi nauczycieli. Poza tym flirtuję z jego córką.

– Obleje cię na maturze.

– Gwiżdżę na to – odpowiada spokojnie Mittelstaedt. – Poza tym jego skarga okazała się bezskuteczna, bo mogłem udowodnić, że przeważnie ma lekką służbę.

– Nie mógłbyś go kiedyś porządnie przeczłgać? – pytam.

– Na to wydaje mi się zbyt głupi – oznajmia dostojnie i wspaniałomyślnie.

Co to jest urlop? – Wahanie, które potem tylko utrudnia wszystko jeszcze bardziej. Już teraz jest w nim domieszka pożegnania. Matka patrzy na mnie w milczeniu; liczy dni, wiem o tym; co rano jest smutna. Znów ubył jeden dzień. Mój tornister schowała, żeby jej nie przypominał.

Godziny biegną szybko, kiedy człowiek rozmyśla. Biorę się w garść i towarzyszę siostrze, kiedy idzie do rzeźni kupić kilka funtów kości. To duży przywilej, bo ludzie już rano ustawiają się po nie w kolejce. Niektórzy mdleją.

Nie mamy szczęścia. Po odstaniu trzech godzin na zmianę kolejka się rozchodzi. Kości się skończyły.

Dobrze, że dostaję wyżywienie jako żołnierz na urlopie. Część przynoszę matce i dzięki temu wszyscy mamy trochę pożywniejszego jedzenia.

Dni są coraz cięższe, oczy matki coraz smutniejsze. Zostały cztery dni. Muszę się wybrać do matki Kemmericha.

Nie sposób tego opisać. Tej rozdygotanej, szlochającej kobiety, która mną potrząsa i krzyczy na mnie:

– To dlaczego ty żyjesz, skoro on jest martwy! – Która oblewa mnie łzami i woła: – Dlaczego w ogóle tam jesteście, takie dzieciaki jak wy... – Która osuwa się na krzesło i płacze: – Widziałeś go? Widziałeś go jeszcze? Jak umarł?

Mówię jej, że dostał strzał w serce i od razu umarł. Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Kłamiesz. Wiem lepiej. Czułam, jak ciężko mu było umierać. Słyszałam jego głos, w nocy czułam jego strach – powiedz prawdę, chcę wiedzieć, muszę to wiedzieć.

– Nie – odpowiadam – byłem przy nim. Zginął na miejscu.

– Powiedz mi – prosi cicho. – Musisz. Wiem, że chcesz mnie w ten sposób pocieszyć, ale czy nie widzisz, że dręczysz mnie bardziej, niż gdybyś powiedział prawdę? Nie zniosę niepewności, powiedz mi, jak było, choćby to była najstraszliwsza prawda. Zawsze będzie lepsza niż to, czego musiałabym się domyślać.

Nigdy jej nie powiem, prędzej dam się posiekać. Współczuję jej, ale wydaje mi się też trochę głupia. Powinna się przecież zadowolić tym, że Kemmerich pozostanie nieżywy bez względu na to, czy ona to wie czy nie wie. Kiedy widziało się tak wiele trupów, nie można zrozumieć tyle bólu z powodu jednego zmarłego. Mówię więc trochę już zniecierpliwiony:

– Umarł na miejscu. W ogóle nic nie czuł. Twarz miał zupełnie spokojną.

Milczy, po czym pyta powoli:

– Możesz przysiąc?

– Tak.

– Na wszystko, co dla ciebie święte?

O Boże, niby co ma być dla mnie święte – u nas to się zmienia bardzo szybko.

– Tak, umarł na miejscu.

– Bo nie wrócisz z wojny, jeśli to nieprawda?

– Nie wrócę, jeśli nie umarł na miejscu.

Wziąłbym też na siebie nie wiadomo co, ale chyba mi uwierzyła. Jęczy i długo płacze. Mam opowiedzieć, jak było, wymyślam więc historyjkę, w którą sam zaczynam już niemal wierzyć.

Kiedy wychodzę, całuje mnie i podarowuje mi jego zdjęcie w mundurze rekruta: Kemmerich opiera się o okrągły stół z nogami wykonanymi z nieokorowanych gałęzi brzozy. W głębi namalowany jest las jako kulisy. Na stole stoi kufel do piwa.

To ostatni wieczór w domu. Wszyscy są milczący. Wczesnie idę do łóżka, obejmuję poduszki, przyciskam je do siebie i kładę na nich głowę. Kto wie, czy kiedyś jeszcze będę spał w takich piernatach!

Później matka przychodzi jeszcze do mojego pokoju. Sądzi, że śpię, więc i ja udaję, że tak jest. Tak trudno jest rozmawiać, czuć we dwoje.

Siedzi prawie do rana, choć ją boli i czasami kuli się z bólu. W końcu nie wytrzymuję, udaję, że się budzę.

– Idź spać, mamu, przeziębisz się tutaj.

– Wystarczająco wyśpię się później.

Siadam na łóżku.

– Nie od razu trafia się na front, mamó. Najpierw muszę iść na cztery tygodnie na szkolenie. Może z tego obozu przyjadę jeszcze na którąś niedzielę.

Milczy przez chwilę, po czym pyta cicho:

– Bardzo się boisz?

– Nie, mamó.

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć, żebyś we Francji miał się na baczności przed kobietami. One tam są złe.

Ach, mamó, mamó! Dla ciebie jestem dzieckiem – dlaczego nie mogę złożyć głowy na twoich kolanach i płakać? Dlaczego muszę być zawsze tym silniejszym i bardziej opanowanym, ja też bym chciał kiedyś sobie popłakać i być pocieszanym, naprawdę jestem niewiele więcej niż dzieckiem, w szafie wiszą jeszcze moje krótkie spodenki – minęło przecież tak mało czasu, dlaczego więc jest już po wszystkim?

Najspokojniej jak potrafię, mówię:

– Tam, gdzie stoimy, nie ma żadnych kobiet, mamó.

– I bądź ostrożny na froncie, Paul.

Ach, mamó, mamó! Dlaczego nie wezmę cię w objęcia, żebyśmy umarli razem. Ależ z nas nieboraki!

– Tak, mamó, postaram się.

– Codziennie będę się za ciebie modlić, Paul.

Ach, mamó, mamó! Wstańmy i odejdźmy stąd, z powrotem przez lata, aż cała ta nędza nie będzie już na nas ciążyć, z powrotem tylko do ciebie i do mnie, mamó!

– Może byś dostał mniej niebezpieczne stanowisko.

– Tak, mamó, może trafię do kuchni, bardzo możliwe.

– Weź je koniecznie, choćby inni gadali.

– Nie dbam o gadanie, mamó.

Wzdycha. Jej twarz połyskuje białó w ciemności.

– A teraz, mamó, musisz iść spać.

Nie odpowiada. Wstaję i okrywam ją swoją kołdrą. Opiera się o moje ramię, boli ją. Odprowadzam ją więc do jej pokoju. Na chwilę zostaję przy niej.

– Ty, mamó, też musisz wyzdrowieć, zanim przyjadę znowu.

– Tak, tak, moje dziecko.

– Nie możecie mi posyłać swoich przydziałów, mamó. Na froncie mamy dość jedzenia. Wam się bardziej przyda.

Jakże biedna leży w swoim łóžku, ona, która mnie kocha ponad wszystko. Gdy chcę już wychodzić, mówi śpiesznie:

– Załatwiłam ci jeszcze dwie pary kalessonów. Dobra wełna. Będzie ci w nich ciepło. Nie zapomnij ich zapakować.

Ach, mamó, wiem, ile stania, biegania i zebrania kosztowały cię te dwie pary kalessonów! Ach, mamó, mamó, jak pojąć, że muszę odejść od ciebie, kto inny oprócz ciebie ma do mnie prawo. Jeszcze tutaj siedzę, a ty tam leżysz, musimy sobie tyle opowiedzieć, lecz nigdy nie będziemy mogli.

– Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, moje dziecko.

W pokoju jest ciemno. Oddech matki wędruje po nim tam i z powrotem. W przerwach słysząc tykanie zegara. Za oknami wieje wiatr. Szumią kasztany.

W korytarzu potykam się o swój tornister; leży już tam spakowany, bo rano muszę wyjść bardzo wcześnie.

Gryzę poduszki, zaciskam palce na żelaznych prętach łóżka. Nigdy nie powinienem był tu przyjeżdżać. Na froncie byłem obojętny i często wyzuty z nadziei – teraz już nigdy nie będę umiał być taki. Byłem żołnierzem, a teraz jestem wyłącznie bólem z powodu siebie, z powodu matki, z powodu wszystkiego, co jest takie rozpaczliwe i nie ma końca.

Nigdy nie powinienem był wyjeżdżać na urlop.

VIII

Jeszcze pamiętam te baraki na poligonie „Heidelager”. To tutaj Himmelstoss wychowywał Tjadena. Poza tym nie znam tu jednak nikogo; wszystko się zmieniło, jak zwykle. Tylko paru ludzi spotkałem wtedy przelotnie.

Służbę odbębniam mechanicznie. Wieczory spędzam prawie zawsze w „domu żołnierza”; są tam wyłożone czasopisma, jednak ich nie czytam, stoi natomiast pianino, na którym lubię pograć. Obsługują dwie dziewczyny, jedna z nich młoda.

Wokół obozu zainstalowane jest wysokie ogrodzenie z drutu. Kiedy wracamy późno z „domu żołnierza”, musimy mieć przepustki. Kto zna się ze strażnikiem, ten przejdzie naturalnie i bez tego.

Między krzakami jałowca a laskami brzoźowymi ćwiczymy codziennie na stepie musztrę kompanijną. To do zniesienia, jeśli nie wymagają od nas niczego więcej. Człowiek biegnie do przodu i rzuca się na ziemię, łodyżki i kwiaty wyginają się tam i z powrotem w zdyszonym oddechu. Jasny piasek, widziany z tak bliska, jest czysty jak w laboratorium, utworzony z wielu drobniutkich ziarenek. Osobliwie człowieka kusi, żeby zanurzyć w nim rękę.

Najpiękniejsze jednak są lasy ze swoimi brzozaami na skraju. Co chwilę zmieniają barwę. Teraz pnie błyszczą najjaśniejszą bielą, a pomiędzy nimi jedwabście i powiewnie unosi się pastelowa zieleń liści; w następnym momencie wszystko przechodzi w opalizujący błękit, który nasuwa się srebrzyście od brzegu i tu i ówdzie wypiera zieleń, lecz natychmiast w jednym miejscu się ściemnia i przeobraża niemal w czerń, gdy jakaś chmura zasłania słońce. Ten cień niczym duch obiega blade teraz pnie i przeskakuje nad wrzosowiskiem po horyzont – a tymczasem brzozy stoją już niczym odświeżone flagi z białymi drążkami na tle czerwonożółtych płomieni ich zmieniającego barwy listowia.

Patrząc na tę grę najdelikatniejszych światel i przezroczystych cieni, zatracam się tak bardzo, że prawie nie słyszę komend – kiedy człowiek jest sam, zaczyna obserwować i kochać przyrodę. A ja mam tutaj niewiele kontaktów, nie szukam ich też ponad normalną miarę. Za słabo się znamy, żeby robić razem cokolwiek więcej, niż trochę pogadać i wieczorem zagrać w oczko albo w durnia.

Obok naszych baraków znajduje się duży obóz jeniecki dla Rosjan. Jest oddzielony od nas drutami, mimo to jeńcom udaje się przechodzić na naszą stronę. Są bardzo nieśmiali i bojaźliwi, choć większość z nich nosi brody i jest wysokiego wzrostu; dlatego wyglądają jak zbite, pokorne bernardyny.

Krążą ukradkiem między naszymi barakami i zaglądają do kubłów w poszukiwaniu jadalnych odpadków. Można sobie wyobrazić, co w nich znajdują. Jedzenie jest już u nas skąpe, a przede wszystkim kiepskie, dostajemy gotowaną brukiew krojoną na sześć części i jeszcze brudne kikuty korzeni marchwi;

podgnięte kartofle to dla nas wielki rarytas, a największym przysmakiem jest zupa ryżowa, w której powinny pływać drobno pokrojone ścięgnięta wołowe. Są one jednak pokrojone tak drobno, że nie można ich znaleźć.

Mimo to zjada się naturalnie wszystko. Gdy ktoś czasem jest naprawdę tak bogaty, że nie musi wymiatać do czysta, zaraz znajdzie się dziesięciu innych, którzy chętnie dokończą za niego. Zmywa się i wylewa do kubłów tylko te resztki, do których nie można dostać się łyżką. Oprócz tego trafiają się czasem obierki brukwi, spleśniałe skórki chleba i wszelkiego rodzaju śmieci.

Ta rzadka, mętna, brudna zawiesina jest celem jeńców. Czerpią ją chciwie z cuchnących kubłów i wynoszą pod bluzami.

To dziwne uczucie widzieć tych wrogów całkiem z bliska. Mają twarze, które zmuszają do zastanowienia, pocziwe chłopskie twarze, szerokie czoła, szerokie nosy, szerokie wargi, szerokie dłonie, wełniste włosy. Należałoby ich używać do orki, koszenia i zrywania jabłek. Wyglądają jeszcze dobroduszniej niż nasi fryzjyscy chłopci.

Smutno jest obserwować ich ruchy, ich zebranie o trochę jedzenia. Wszyscy są bardzo osłabieni, bo dostają tylko tyle, żeby nie umrzeć z głodu. My sami od dawna nie otrzymujemy jedzenia do syta. Cierpią na czerwonkę, niektórzy z zalęknionym wzrokiem wyciągają ze spodni i pokazują ukradkiem pokrwawione różki koszul. Plecy i karki mają zgarbione, kolana zgięte, pochylają głowy i spoglądają z ukosa w górę, kiedy wyciągają rękę i zebrzą za pomocą paru znanych słów – zebrzą tymi miękkimi cichymi basami, które przywodzą na myśl ciepłe piece i izby w ojczyźnie.

Niektórzy traktują ich kopniakami i powalają na ziemię, ale takich jest niewielu. Większość nie robi im krzywdy, przechodzi obok nich obojętnie. Czasem jednak, gdy wyglądają szczególnie nędznie, ogarnia człowieka z tego powodu wściekłość i wymierza im kopniaka. Gdyby przynajmniej nie patrzyli tak – ileż rozpacz może tkwić w dwóch tak małych otworach, że można je zakryć nawet kciukiem: w oczach.

Wieczorem przychodzą do baraków i handlują. Wymieniają wszystko, co mają, na chleb. Niekiedy im się udaje, bo mają dobre buty, a nasze są kiepskie. Skóra, z której wykonano ich wysokie buty z cholewkami, jest cudownie miękka, niczym jucht. Chłopscy synowie u nas, którzy dostają z domu paczki z tłustymi produktami, mogą sobie na nie pozwolić. Cena pary butów to mniej więcej dwa do trzech komiśniaków lub jeden komiśniak i mniejsza twarda metka.

Prawie wszyscy Rosjanie już dawno jednak wyzbyli się wartościowych rzeczy, które mieli. Ponieważ żałosne łachmany, które noszą, nie nadają się do wymiany, próbują nam wcisnąć rzeźby i przedmioty ozdobne wykonane z odłamków granatów i miedzianych części pierścieni wiodących. Rzeczy te przynoszą im naturalnie niewiele, choć kosztowały niemało trudu – idą już za parę kromek chleba. Podczas handlu nasi chłopci są sprytni i wytrwali. Tak długo trzymają Rosjaninowi pod samym nosem kawałek chleba lub kiełbasy, aż ten robi się bledy z oskomy, przewraca oczami i w końcu jest mu wszystko jedno. Oni natomiast pakują swoją zdobycz z całą ceremonialnością, do jakiej są zdolni, wyjmują gruby scyzoryk, odkrawają sobie powoli i z nabożeństwem kromkę chleba ze swoich zapasów, a do tego

przy każdym kęsie pogryzają twardą dobrą kiełbasę i napychają się, żeby nagrodzić samych siebie. Obserwowanie ich przy takim podwieczorku jest okropnie denerwujące, chciałoby się grzmocić pięściami po tych twardych chłopskich łbach. Rzadko się z kimś dzielią. Znamy się zresztą za mało.

Podczas wart często bywam u Rosjan. Po ciemku widać ich postacie poruszające się niczym chore bociany lub inne duże ptaki. Podchodzą do samego ogrodzenia i przykładają twarze do drutów, palce zaciskają na oczkach. Czasem wielu tak stoi jeden obok drugiego. W ten sposób oddychają wiatrem, który nadciąga od strony wrzosowiska i lasów.

Rzadko coś mówią, a i wtedy wypowiadają tylko pojedyncze słowa. W stosunku do siebie są bardziej ludzcy i, wydaje mi się wręcz, bardziej braterscy niż my tutaj. Ale może tylko dlatego, że czują się nieszczęśliwsi od nas. A przecież dla nich wojna się skończyła. Tyle że czekanie na biegunkę to też nie jest życie.

Landszturmiści, którzy ich pilnują, opowiadają, że na początku byli bardziej zwawi. Łączyły ich, jak to bywa w obozach, bliskie stosunki i podobno nieraz dochodziło na tym tle do bójek na pięści i noże. Teraz zupełnie otępieli i zobojętnieli, większość z nich przestała się nawet onanizować, tacy są słabi, choć w innych obozach bywa z tym często tak źle, że robią to zbiorowo, całymi barakami.

Stoją przy ogrodzeniu; czasem któryś odchodzi chwiejnym krokiem, ale zaraz pojawia się na jego miejscu w rzędzie ktoś inny. Większość zachowuje się cicho, tylko nieliczni zebrzą choćby o ustnik wypalonego papierosa.

Widzę ich ciemne postacie. Brody powiewające na wietrze. Nic o nich nie wiem oprócz tego, że są jeńcami, i akurat to jest dla mnie wstrząsem. Ich życie jest bezimienne i bez winy – gdybym wiedział o nich więcej, jak się nazywają, jak żyją, czego oczekują, co ich gnębi, mój wstrząs miałby cel i mógłby się przekształcić we współczucie. Teraz jednak, kiedy na nich patrzę, odczuwam tylko ból cierpiącego stworzenia, straszny smutek życia i brak litości u ludzi.

Jeden rozkaz uczynił z tych cichych postaci naszych wrogów, jeden rozkaz mógłby przemienić ich w przyjaciół. Paru ludzi, których nikt z nas nie zna, podpisuje przy stoliku jakieś pismo i potem latami naszym głównym celem jest coś, co zwykle spotyka się z pogardą i najsurowszą karą ze strony świata. Kto potrafiłby jeszcze dostrzec jakieś różnice, patrząc na tych cichych ludzi o dziecięcych twarzach i brodach jak u apostołów! Każdy podoficer dla rekruta i każdy nauczyciel dla ucznia jest gorszym wrogiem niż oni dla nas. A mimo to strzelalibyśmy znowu do nich, a oni do nas, gdyby byli wolni.

Ze strachem uświadamiam sobie, że nie mogę posunąć się dalej w swoich rozmyślaniach. Ta droga prowadzi ku przepaści. Jeszcze nie pora na to, nie chcę jednak tracić owej myśli, chcę ją zachować, zamknąć, dopóki wojna się nie skończy. Serce mi bije: czy to jest ten cel, to coś wielkiego, неповtarzalnego, o czym myślałem w okopach, czego szukałem jako możliwości istnienia po katastrofie wszelkich ludzkich uczuć, czy to zadanie na późniejsze życie, godne lat grozy?

Wyjmuję papierosy, każdy łamię na dwie części i częstuję Rosjan. Kłaniają mi się w pas i zapalają. Teraz na niektórych

twarzach żarzą się czerwone punkty. Pocieszają mnie, bo wyglądają jak małe okienka w ciemnych wiejskich domach, zdradzające, że za nimi znajdują się pokoje, miejsca schronienia.

Dni mijają. W jeden z mglistych poranków chowają kolejnego Rosjanina; teraz prawie codziennie któryś umiera. Akurat mam wartę, kiedy go grzebią. Jeńcy śpiewają jakiś chorał, śpiewają na głosy, a brzmi to tak, jakby prawie nie były to już głosy, jakby to były organy stojące gdzieś w oddali na wrzosowisku.

Pogrzeb szybko dobiega końca.

Wieczorem znowu stoją przy ogrodzeniu, gdzie owiewa ich wiatr nadciągający od lasków brzozowych. Gwiazdy są zimne.

Znam już niektórych z nich, tych mówiących całkiem nieźle po niemiecku. Jest wśród nich muzyk, który mówi, że był skrzypkiem w Berlinie. Kiedy dowiaduje się, że trochę gram na pianinie, przynosi swoje skrzypce i gra. Inni siadają na ziemi i opierają się plecami o ogrodzenie. A on stoi i gra, często ma przy tym na twarzy wyraz zatracenia, jaki miewają skrzypkowie, gdy zamykają oczy, to znowu kołysze instrumentem w rytmie melodii i uśmiecha się do mnie.

Pewnie gra piosenki ludowe, inni nucą bowiem do wtóru. Przypominają ciemne pagórki, które nucą melodie ukryte głęboko pod ziemią. Głos skrzypiec, jasny i samotny, stoi ponad nimi niczym szczupła dziewczyna. Głosy śpiewaków milkną, skrzypce pozostają – cienko zawodząc pośród nocy, jakby marzły, trzeba stanąć tuż przy nich, w pomieszczeniu byłoby pewnie lepiej słyszeć – na zewnątrz ogarnia człowieka smutek, kiedy błakają się takie samotne.

Nie dostaję przepustki na niedzielę, bo przecież dopiero co miałem dłuższy urlop. Dlatego w ostatnią niedzielę przed wyjazdem odwiedzają mnie ojciec i starsza siostra. Przez cały dzień siedzimy w „domu żołnierza”. No bo dokąd mielibyśmy pójść, skoro do baraku nie chcemy. W południe robimy sobie spacer na wrzosowisko.

Godziny wloką się niemiłosiernie; nie wiemy, o czym mówić. Rozmawiamy więc o chorobie matki. Wiadomo na pewno, że to rak, matka leży już w szpitalu i wkrótce będzie operowana. Lekarze mają nadzieję, że wyzdrowieje, ale nie słyszeliśmy jeszcze, żeby kiedykolwiek udało się wyleczyć raka.

– A gdzie leży? – pytam.

– W szpitalu św. Luizy.

– W której klasie?

– W trzeciej. Musimy odczekać, bo nie wiemy, jakie będą koszty operacji. Sama chciała leżeć w trzeciej. Mówiła, że wtedy będzie mieć trochę rozrywki. Poza tym jest taniej.

– Ale w takim razie leży z wieloma innymi pacjentami. Byle tylko w nocy mogła spać.

Ojciec kiwa głową. Twarz ma znużoną i pobrużdżoną zmarszczkami. Matka wiele chorowała; wprawdzie chodziła do szpitala tylko wtedy, gdy musiała, jednak kosztowało nas to dużo pieniędzy i na tym właściwie zeszło ojcu życie.

– Gdyby przynajmniej wiadomo było, ile kosztuje operacja – mówi.

– Nie zapytaliście?

– Nie wprost, tak nie można – bo lekarz może być potem niemiły, nie wypada pytać, bo to on ma matkę operować.

Tak, myślę z goryczą, tacy jesteśmy, tacy oni są, biedni ludzie. Nie ośmielają się zapytać o cenę, wolą się zamartwiać z tego powodu; za to tamci, którzy nie mają takiej potrzeby, oni uważają ustalenie wcześniej ceny za coś oczywistego. Wobec nich lekarz nie będzie zresztą niemiły.

– Opatrunki po operacji też są bardzo drogie – dodaje ojciec.

– A kasa chorych nic nie dopłaca? – pytam.

– Matka za długo już choruje.

– Macie w ogóle jakieś pieniądze?

Kręci głową.

– Nie. Ale teraz będę mógł znowu wziąć nadgodziny.

Wiem: będzie stał przy swoim stole do dwunastej w nocy i falcował, kleił i przykrawał. O ósmej wieczorem zje coś z tych mało pożywnych rzeczy, które kupują na kartki. Potem weźmie proszek od bólu głowy i będzie pracował dalej.

Żeby go trochę rozweselić, opowiadam parę historyjek, które akurat przychodzą mi do głowy, dowcipy żołnierskie i temu podobne, o generałach i feldfeblach, których kiedyś udało się nabrać.

Później odprowadzam oboje na dworzec. Wręczają mi słoik marmolady i paczkę placek ziemniaczanych usmażonych dla mnie jeszcze przez mamę.

Potem odjeżdżają, a ja wracam do obozu.

Wieczorem smaruję placki marmoladą i jem kilka, ale mi nie smakują. Wychodzę więc, żeby je dać Rosjanom. Przypominam sobie jednak, że mama sama je usmażyła i że być może, stojąc

przy gorącej kuchni, odczuwała bóle. Odkładam więc paczkę do tornistra i biorę z niej tylko dwa placki dla Rosjan.

IX

Od kilku dni jedziemy. Na niebie pojawiają się pierwsze samoloty. Mijamy pociągi transportowe. Armaty, armaty. Przejmuje nas kolej polowa. Szukam swojego pułku. Nikt nie wie, gdzie w tej chwili stacjonuje. Gdzieś znajduję nocleg, gdzieś odbieram rano prowiant i kilka ogólnych instrukcji i tak wyruszam znowu w drogę ze swoim tornistrem i karabinem.

Kiedy przybywam na miejsce, w zniszczonej miejscowości nie ma już nikogo z naszych. Jak słyszę, staliśmy się lotną dywizją, która może być użyta wszędzie, gdzie sytuacja tego wymaga. Nie nastraja mnie to optymistycznie. Podobno mieliśmy duże straty. Próbuję dowiedzieć się czegoś o Kacie i Albercie, ale nikt nic o nich nie wie.

Szukam więc dalej i błąkam się, jakie dziwne to uczucie. Dwie noce obozuję jak Indianin. W końcu dostaję pewną wiadomość i po południu mogę się zameldować w kancelarii.

Feldfebel zatrzymuje mnie jednak przy sobie. Kompania wróci za dwa dni, nie ma już sensu wysłać mnie za nią.

– Jak było na urlopie? – pyta. – Pewnie pięknie?

– Częściowo – odpowiadam.

– Tak, tak – wzdycha – gdyby nie trzeba było wracać na front.

To zawsze psuje drugą połowę urlopu.

Byczę się, dopóki kompania nie wkracza rano do miejscowości, ludzie są szarzy, brudni, rozdrażnieni i posępni. Zrywam się na nogi i przeciskam między nimi, moje oczy szukają, tam jest Tjaden, tu sapie Müller, są także Kat i Kropp. Rozkładamy obok siebie sienniki. Poczuję się do winy, kiedy na nich patrzę, a przecież nie mam powodu. Przed snem wyciągam resztę placków ziemniaczanych i marmolady, żeby i oni spróbowali.

Dwa zewnętrzne placki nadpleśniały, ale jeszcze dadzą się zjeść. Biorę je dla siebie, a świeższe daję Katowi i Kroppowi.

Kat, przeżuwając, pyta:

– Pewnie od matuli?

Kiwam głową.

– Dobrze – mówi – to czuć w smaku.

Omal się nie rozplakałem. Nie poznaję już samego siebie. Ale na pewno będzie lepiej, gdy znalazłem się już tutaj znowu z Katem i Albertem, i pozostałymi. Tutaj jest moje miejsce.

– Miałeś szczęście – szepcze do mnie Kropp jeszcze przed zaśnięciem. – Podobno wyślą nas do Rosji.

Do Rosji. Tam już nie ma wojny.

W oddali grzmi front. Brzęczą ściany baraków.

Ostre sprzątanie. Jeden apel goni drugi. Sprawdzają nas ze wszystkich stron. To, co rozdarte, wymieniają nam na dobre rzeczy. Przy tej okazji dostaje mi się idealna nowa kurtka, Katowi naturalnie nawet pełny mundur. Pojawia się plotka, że jest pokój, lecz bardziej prawdopodobna jest inna wersja: że zostaniemy przerzuceni do Rosji. Ale na co nam w Rosji lepsze rzeczy?

Wreszcie przeciek: cesarz przyjedzie na inspekcję. To dlatego wszystkie te przeglądy.

Przez osiem dni można by sądzić, że jesteśmy w koszarach rekrutów, tyle pracy i ćwiczeń. Wszyscy są rozdrażnieni i zdenerwowani, bo przesadne pucowanie nie liczy się w naszych oczach, a marsz paradny jeszcze mniej. Akurat takie sprawy irytują żołnierza bardziej niż okopy.

W końcu nadchodzi ten moment. Stoimy na baczność, zjawia się cesarz. Jesteśmy ciekawi, jak też wygląda. Gdy przechodzi wzdłuż frontu, jestem właściwie rozczarowany: na podstawie zdjęć wyobrażałem sobie, że jest wyższy i okazalszej postury, a przede wszystkim obdarzony grzmiącym głosem.

Rozdaje Krzyże Żelazne, zagaduje tego i owego. W końcu odmaszerowujemy.

Potem rozmawiamy. Tjaden się dziwi:

– I to jest ten najwyższy zwierzchnik, jaki istnieje. Przed takim musi stać na baczność każdy, każdy jeden! – Zastanawia się chwilę. – Przed takim to musi chyba stać na baczność nawet Hindenburg, co?

– No pewnie – potwierdza Kat.

Tjaden jeszcze nie skończył. Zastanawia się chwilę i pyta:

– A król też musi stać na baczność przed cesarzem?

Nikt dokładnie nie wie, ale nie sądzimy, żeby tak było. Obaj są już tak wysoko postawieni, że w ich sferach na pewno już nie ma czegoś takiego jak stanie na baczność.

– Ale głupstwa lęgną ci się w głowie – mówi Kat. – Najważniejsze, żebyś ty stał na baczność.

Tjaden jednak wciąż jest zafascynowany. Jego zazwyczaj nietęga wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach.

– Po prostu nijak nie mogę pojąć, że cesarz musi chodzić do latryny tak samo jak ja.

– Tego możesz być pewny – śmieje się Kropp.

– Wariat i trzy to razem siedem – uzupełnia Kat – masz kiełbie we łbie, Tjaden. Najlepiej idź od razu sam do latryny, żeby rozwidniło ci się w głowie i żebyś przestał gadać jak potłuczony.

Tjaden wychodzi.

– Jedno tobym jednak chciał wiedzieć – mówi Albert. – Czy byłaby wojna, gdyby cesarz powiedział „nie”?

– Jestem o tym święcie przekonany – wtrącam – tak czy siak z początku podobno wcale nie chciał wojny.

– Jeśli tylko on jeden nie chciał, to za mało. Może gdyby dwadzieścia, trzydzieści osób w świecie też powiedziało „nie”.

– Pewnie tak – przyznaję – ale one akurat chciały.

– To dziwne, kiedy się nad tym zastanowić – ciągnie Kropp. – Jesteśmy tu przecież po to, żeby bronić ojczyzny. Francuzi też są tu po to, żeby bronić ojczyzny. No to kto ma rację?

– Może obie strony – mówię, choć w to nie wierzę.

– Niby tak – przyznaje Albert, widzę jednak po nim, że chce mnie zapędzić w kozi róg – ale nasi profesorowie i pastorzy, i gazety mówią, że tylko my mamy rację, i miejmy nadzieję, że tak jest; ale francuscy profesorowie i pastorzy, i gazety twierdzą, że tylko oni mają rację – no to jak z tym jest?

– Tego nie wiem – odpowiadam – w każdym razie jest wojna i co miesiąc przyłącza się do niej więcej krajów.

Wraca Tjaden. Nadal jest pobudzony i natychmiast wtrąca się znowu do rozmowy, pytając, jak to właściwie się dzieje, że w ogóle dochodzi do wojny.

– Przeważnie w ten sposób, że jeden kraj ciężko obraża jakiś inny – odpowiada mu tonem lekkiej wyższości Albert.

Tjaden udaje jednak, że do niego nie dociera.

– Kraj? Nie rozumiem. Góra w Niemczech nie może przecież obrazić góry we Francji. Albo rzeka, albo las, albo pole pszenicy.

– Naprawdę jesteś taki głupi czy tylko udajesz? – warczy Kropp. – Pewnie, że nie to mam na myśli. Jeden naród obraża drugi...

– W takim razie nie mam tu czego szukać – odpowiada Tjaden.
– Ja nie czuję się obrażony.

– Pora ci coś wyjaśnić – mówi ze złością Albert. – O ciebie, naiwny wieśniaku, wcale tutaj nie chodzi.

– W takim razie tym bardziej mogę iść do domu – upiera się Tjaden, na co wszyscy wybuchają śmiechem.

– Człowieku, chodzi przecież o naród jako całość, czyli o państwo – woła Müller.

– Państwo, państwo – Tjaden pstryka domyślnie palcami – żandarmeria polowa, policja, podatki, to jest wasze państwo. Jeśli z nim chcesz mieć do czynienia, to ja dziękuję.

– To prawda – mówi Kat – pierwszy raz powiedziałeś coś sensownego, Tjaden, państwo i ojczyzna to naprawdę dwie różne rzeczy.

– Ale przecież tworzą całość – zastanawia się głośno Kropp – bez ojczyzny nie ma państwa.

– Słusznie, ale zważ na to, że prawie wszyscy jesteśmy prostymi ludźmi. A we Francji większość ludzi to też robotnicy, rzemieślnicy lub drobni urzędnicy. No to dlaczego francuski ślusarz albo szewc miałby chcieć na nas napadać? Nie, to tylko rządy. Nigdy nie widziałem Francuza, zanim trafiłem tutaj, a u większości Francuzów podobnie pewnie było jak z nami. Ich tak samo jak nas nikt nie pyta o zdanie.

– To po co w ogóle jest wojna? – pyta Tjaden.

Kat wzrusza ramionami.

– Muszą być ludzie, którym wojna coś daje.

– Ja do nich nie należę – uśmiecha się Tjaden.

– Ani ty, ani nikt tutaj.

– No to kto? – docieka uparcie Tjaden. – Cesarzowi też przecież nic nie daje. On ma wszystko, czego potrzebuje.

– Tak nie mów – odpowiada Kat – bo wojny jeszcze nie miał. A każdy większy cesarz potrzebuje przynajmniej jednej wojny, bo inaczej nie będzie sławny. Sprawdź w swoich podręcznikach.

– Generałowie też stają się sławni dzięki wojnie – dodaje Detering.

– Jeszcze sławniejsi niż cesarze – potwierdza Kat.

– Na pewno stoją za tym ludzie, którzy chcą zarobić na wojnie – mruczy Detering.

– Według mnie to raczej rodzaj gorączki – mówi Albert. – Właściwie nikt jej nie chce, a ona nagle jest. My nie chcieliśmy wojny, tamci twierdzą to samo – a mimo to pół świata bierze w niej udział.

– Po tamtej stronie kłamią jednak więcej niż u nas – odpowiadam. – Pomyślcie o ulotkach znalezionych u jeńców,

gdzie było napisane, że pożeramy belgijskie dzieci. Należałoby powiesić tych, którzy piszą coś takiego. To są prawdziwi winowajcy.

Müller wstaje.

– W każdym razie lepiej, że wojna jest tutaj, a nie w Niemczech. Spójrzcie na te pola pokryte lejami!

– To prawda – zgadza się z nim nawet Tjaden – ale jeszcze lepiej, żeby w ogóle nie było wojny.

I odchodzi dumny, bo dał popalić nam jednorocznikom. A jego opinia faktycznie jest tutaj typowa, co rusz można się z nią spotkać i wtedy nie wiadomo, co sensownego odpowiedzieć, bo wraz z nią kończy się równocześnie zrozumienie dla innych zależności. Patriotyzm prostego żołnierza polega na tym, że on jest tutaj. Ale na tym zarazem koniec, wszystko inne z powodów praktycznych i na gruncie swego nastawienia żołnierz potępia.

Albert ze złością kładzie się w trawie.

– Lepiej o tym wszystkim nie rozmawiać.

– Nic to zresztą nie zmieni – potwierdza Kat.

Na domiar złego musimy zwrócić prawie wszystkie świeżo pobrane rzeczy i dostajemy z powrotem stare. Dobrze dano nam tylko od parady.

Zamiast do Rosji trafiamy znowu na front. Po drodze idziemy przez mizerny las z poszarpanymi pniami drzew i rozoraną ziemią. W niektórych miejscach są potworne dziury.

– Psiakrew, nieźle tutaj waliło – mówię do Kata.

– Miotacze min – odpowiada, po czym pokazuje w górę.

Na gałęziach wiszą zabici. Nagi żołnierz siedzi w rozwidleniu gałęzi, jeszcze w hełmie na głowie, poza tym nie ma na sobie nic. Na drzewie została tylko jego połowa, czyli tułów bez nóg.

– Co tu się stało? – pytam.

– Wyrzuciło go z ubrania – odpowiada warknięciem Tjaden.

– To dziwne – mówi Kat – podobne rzeczy widzieliśmy już parę razy. Kiedy taka mina uderzy, człowieka rzeczywiście wyrzuca z ubrania. To przez ciśnienie powietrza.

Szukam dalej. Rzeczywiście tak jest. W jednym miejscu wiszą tylko strzępy munduru, w innym przylepiona krwawa miazga, która była kiedyś ludzkimi członkami. Na ziemi leży ciało, któremu na jednej nodze został kawałek kalesonów, a na szyi kołnierzyk kurtki mundurowej. Poza tym ciało jest nagie, reszta ubrania wisi w różnych miejscach na drzewie. Brak obu ramion, jakby zostały wykręcone. Jedno z nich odkrywam w krzakach dwadzieścia kroków dalej.

Martwy żołnierz leży twarzą w dół. W miejscu, gdzie zostały urwane ręce, ziemia jest czarna od krwi. Liście pod stopami są rozkopane, jakby umierający jeszcze przebierał nogami.

– To nie żarty, Kat – mówię.

– Odłamek granatu w brzuchu też nie – odpowiada Kat, wzruszając ramionami.

– Tylko nie wymiękać – przestrzega Tjaden.

Cała sprawa wydarzyła się pewnie niezbyt dawno temu, krew jest jeszcze świeża. Ponieważ ludzie, których widzimy, nie żyją, nie zatrzymujemy się, tylko meldujemy o wszystkim w najbliższym punkcie sanitarnym. Ostatecznie nie jesteśmy od tego, nie będziemy wyręczać łapiduchów.

Ma być wysłany patrol, żeby stwierdzić, jak daleko przed nami nieprzyjacielskie pozycje są jeszcze zajęte. Ponieważ byłem na urlopie, czuję się w dziwny sposób zobowiązany wobec innych i dlatego zgłaszam się na ochotnika. Omawiamy plan akcji, przekradamy się między drutami, po czym rozdzielamy się i dalej czołgamy osobno. Po chwili znajduję płaski lej, do którego się zsuwam, a potem wyglądam na zewnątrz.

Teren znajduje się pod umiarkowanym ogniem karabinów maszynowych. Ostrzeliwany ze wszystkich stron, niezbyt mocno, ale wystarczająco, żebym nie wychylał się zanadto.

Rozbłyskuje rakietą świetlna. Teren zamiera w bladej poświacie. Tym czarniejsza wydaje się ciemność, która zapada potem. Wcześniej w okopie opowiadano, że przed nami są czarni. To nic przyjemnego, źle ich widać, poza tym są bardzo zwinni na patrolach. Co dziwne, często są równie nierozsądni; Kat i Kropp zastrzelili kiedyś podczas patrolu taki nieprzyjacielski czarny patrol, bo tamci nie mogli opanować nałogu i palili po drodze papierosy. Kat i Albert musieli tylko wziąć na muszkę żarzące się końce papierosów.

Obok mnie uderza z sykiem mały granat. Nie słyszałem, jak nadlatywał, więc wystraszyłem się nie na żarty. W tym samym momencie ogarnia mnie bezsensowny lęk. Jestem tutaj sam i prawie bezradny w ciemności – może od dawna obserwuje mnie z leja dwoje innych oczu i pod ręką leży gotowy do rzutu granat, aby mnie rozerwać. Próbuję wziąć się w garść. To nie mój pierwszy patrol ani szczególnie niebezpieczny. Ale pierwszy po urlopie, a poza tym teren jest mi jeszcze dosyć obcy.

Uświadamiam sobie, że nie ma sensu się denerwować, że w ciemności prawdopodobnie nic nie czyha, bo w przeciwnym razie nie strzelano by tak płasko.

Na próżno. W dzikim chaosie brzęczą myśli w mojej głowie – słyszę ostrzegający głos matki, widzę Rosjan z rozwianymi brodami opierających się o ogrodzenie, mam jasne, cudowne wyobrażenie kantyny z fotelikami, kina w Valenciennes, z udręką zaglądam w obrzydliwy w mej wyobraźni, szary, bezduszny wylot lufy karabinu, która przesuwą się bezgłośnie za moją głową, ilekroć próbuję ją obrócić: biją na mnie poty ze wszystkich porów skóry.

Nadal leżę w zagłębieniu terenu. Spoglądam na zegarek: upłynęło zaledwie kilka minut. Czoło mam mokre, oczodoły wilgotne od potu, ręce mi drżą i lekko dyszę. To nic innego jak okropny atak strachu, po prostu zwyczajny cholerny strach przed wystawieniem głowy i czołganiem się dalej.

Moje napięcie rozpływa się niczym papka w pragnienie, żeby móc tutaj zostać. Moje członki przywarły do ziemi, daremnie próbuję – nie chcą się oderwać. Przyciskam się do ziemi, nie mogę ruszyć do przodu, postanawiam tutaj zostać.

Natychmiast jednak ogarnia mnie znów tamta fala, fala wstydu, żalu i mimo wszystko także bezpieczeństwa. Podnoszę się trochę, żeby się rozejrzeć. Pieką mnie oczy, wpatruję się w ciemność. Gdy kula świetlna się wzbija, pochylam się z powrotem.

Toczę bezsensowną, chaotyczną walkę, chcę wyskoczyć z leja, a mimo to zsuwam się do niego z powrotem. Mówię sobie: Musisz,

chodzi o twoich kolegów, to nie jakiś głupi rozkaz – i w chwilę później: A co mnie to obchodzi, mam tylko jedno życie.

Wszystko przez ten urlop, usprawiedliwiam się zawzięcie. Sam jednak w to nie wierzę, ogarnia mnie porażająca słabość, podnoszę się powoli i wypycham ręce do przodu, podciągam grzbiet i leżę już do połowy na skraju leja.

Wtem słyszę jakieś podejrzone odgłosy i cofam się wystraszony. Pomimo huku artylerii świetnie je słychać. Nasłuchuję – te odgłosy są za mną. To nasi ludzie idący przez okop. Teraz słyszę też ściszone głosy. Sądząc po tonie głosu, tym, który właśnie mówi, mógłby być Kat.

Przepływa przeze mnie fala niezwykłego ciepła. Ten głos, tych kilka cichych słów, te kroki w okopie za mną wyrywają mnie natychmiast z potwornego osamotnienia wywołanego przez strach przed śmiercią, któremu omal nie uległem. Te głosy są czymś więcej niż moje życie, czymś więcej niż matczyna troska i strach, są dla mnie czymś najsilniejszym i dają największą możliwą ochronę: to głosy moich kolegów.

Nie jestem już trzęsącym się strzępem istnienia samotnym pośród ciemności – należę do nich, a oni do mnie, wszyscy tak samo się boimy, tak samo żyjemy, jesteśmy ze sobą związani w prosty, a zarazem trudny sposób. Chciałbym wcisnąć twarz w te głosy, w tych kilka słów, które mnie uratowały i które będą mnie wspierać.

Ostrożnie prześlizguję się nad brzegiem leja i przemykam do przodu. Na czworakach pełzam dalej; idzie mi dobrze, namierzam kierunek, rozglądam się i zapamiętuję obraz ognia

artyleryjskiego, żeby odnaleźć potem drogę powrotną. Następnie staram się dołączyć do pozostałych.

Nadal się boję, ale to rozsądny strach, nadzwyczaj wzmożona ostrożność. Noc jest wietrzna, cienie chwieją się, kiedy rozbłyskują płomienie u wylotów luf. Skutkiem tego widać za mało, a jednocześnie za dużo. Często zamieram w bezruchu, ale wciąż na nic nie natrafiłem. Wysuwam się więc dość daleko do przodu, po czym wracam łukiem. Nie udało mi się dołączyć do pozostałych. Każdy metr bliżej do naszych okopów napełnia mnie ufnością – ale i pobudza do większego pośpiechu. Głupio byłoby oberwać jeszcze teraz.

Wtem przeszywa mnie ponowny lęk. Nie potrafię dokładnie rozpoznać kierunku. Przycupnąwszy cicho w leju, próbuję się zorientować. Niejednokrotnie zdarzało się, że ktoś z ulgą wskakiwał do okopu, a dopiero potem odkrywał, że to niewłaściwy.

Po jakimś czasie znów zaczynam nasłuchiwać. Wciąż jeszcze nie jestem tam, gdzie trzeba. Gmatwanina lejów wydaje mi się teraz tak nieprzejrzysta, że ze zdenerwowania w ogóle już nie wiem, w którą stronę się zwrócić. Może poczołgać się równolegle do okopów, ale to może trwać bez końca. Dlatego obracam się znów w innym kierunku.

Te przekłęte pociski świetlne na spadochronach! Wydaje się, jakby płonęły godzinę, człowiek nie może zrobić ruchu, żeby w następnej chwili wokoło nie zaczęły gwizdać kule.

Nie ma jednak rady, muszę wyjść z leja. Z przerwami czołgam się dalej, pełzam po ziemi, ocierając sobie dłonie do krwi na postrzępionych, ostrych jak brzytwa odłamkach. Czasem mam

wrażenie, że niebo na horyzoncie rozjaśnia się trochę, ale to pewnie przywidzenie. Stopniowo jednak uświadamiam sobie, że czołgam się o życie.

Granat eksploduje z hukiem. Zaraz potem drugi. I już zaczyna się atak ogniowy. Terkoczą karabiny maszynowe. Na razie nie pozostaje mi nic innego, jak nadal leżeć cicho. Wygląda na to, że zaraz rozpocznie się natarcie. Wszędzie wzbijają się rakiety świetlne. Bez przerwy.

Leżę skulony w dużym leju, nogi mam w wodzie aż po brzuch. Jeśli zacznie się natarcie, rzucę się w wodę najdalej, jak to możliwe, twarzą w błoto, ale tak, żeby się nie udusić. Muszę udawać trupa.

Nagle słyszę, że ogień się cofa. Natychmiast ześlizguję się w błoto na dnie leja, hełm zsuwam całkiem na kark, usta wystawiam ponad powierzchnię wody tylko tyle, żeby móc oddychać.

A potem nieruchomieję – słyszać bowiem zbliżający się szczęk, coś ciężko stąpa i człapie – wszystkie nerwy we mnie ściąga lodowaty dreszcz. Zgrzytanie przetacza się nade mną, minął mnie pierwszy oddział. Po głowie kołacze mi się tylko jedna myśl, od której pęka czaszka: A co zrobisz, jeśli ktoś wskoczy do twojego leja? Wydobywam szybko mały sztylet, chwytam go mocno i ukrywam wraz z dłonią z powrotem w błocie. Natychmiast zadam cios, jeśli ktoś wskoczy, taka myśl tłucze mi się po głowie, natychmiast poderżnę mu gardło, żeby nie zdążył krzyknąć, nie da się inaczej, on będzie tak samo przerażony jak ja i choćby ze strachu rzucimy się obaj na siebie, wtedy ja muszę być pierwszy.

Teraz odpowiadają nasze baterie. Blisko mnie uderza pocisk. Doprowadza mnie to do szewskiej pasji, tego by tylko brakowało, żeby trafiła mnie nasza artyleria; przeklinając, czuję błoto zgrzytające między zębami; po tym wybuchu wściekłości mogę tylko jęczeć i prosić.

W moje uszy uderza trzask granatów. Jeśli nasi ludzie przejdą do kontrnatarcia, będę uratowany. Kiedy przyciskam głowę do ziemi, słyszę głuchy grzmot niczym odległe eksplozje górnicze – zaraz jednak podnoszę ją znowu, żeby posłuchać odgłosów w górze.

Terkoczą karabiny maszynowe. Wiem, że nasze zasieki są mocne i prawie nieuszkodzone – część z nich naładowana prądem o wysokim napięciu. Nasila się ogień karabinowy. Nie udaje im się przejść, muszą się wycofać.

Znów wciskam twarz w błoto, nerwy mam napięte do ostateczności. Słyszać postukiwanie i skradanie, szcęk broni. Pośród tego pojedynczy przeraźliwy okrzyk. Są ostrzeliwani, natarcie zostaje odparte.

Zrobiło się jeszcze trochę jaśniej. Mijają mnie śpiesznie. Pierwsi. Przeszli obok. Potem następni. Terkotanie karabinów maszynowych przechodzi w nieprzerwany łańcuch. Właśnie zamierzam się trochę obrócić, gdy jakieś ciało wali się ciężko z głośnym plaśnięciem do mojego leja, ześlizguje się w dół, leży na mnie.

Nic nie myślę, nie podejmuję żadnej decyzji – wściekle dźgam nożem i czuję tylko, jak ciało, drgnąwszy, wiotczeje, a następnie

osuwają się bezwładnie. Kiedy dochodzę do siebie, rękę mam lepką i moką.

Tamten rzezi. Mam wrażenie, że się wydziera, każdy jego oddech jest jak krzyk, huk pioruna – ale to tylko moje żyły, to one tak głośno pulsują. Chciałbym zatkać mu usta, zapchać je ziemią, zadać jeszcze jeden cios, ma być cicho, bo przecież zdradza moją obecność; na tyle już jednak doszedłem do siebie i zarazem ogarnęła mnie nagle taka słabość, że nie potrafię podnieść na niego ręki.

Odczołguję się więc w najodleglejszy kąt i tam zostaję, utkwivszy w nim wzrok, w rękę ściskam nóż, gotów zaatakować go znowu, jeśli się ruszy. Ale on nic już nie zrobi, poznaję to po jego rżeniu.

Widzę go niewyraźnie. Mam tylko jedno pragnienie: odejść stąd. Byle wkrótce, bo potem całkiem się rozwidni; już teraz nie jest łatwo. Ledwo jednak próbuję podnieść głowę, zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. Ogień karabinów maszynowych jest tak gęsty, że zanim zrobię jeden skok, zostanę podziurawiony jak sito.

Na wszelki wypadek próbuję najpierw z hełmem, który wysuwam nieco ponad okop i podnoszę, żeby ustalić wysokość padających pocisków. Chwilę później kula wytrąca mi go z ręki. Ogień ściele się więc bardzo nisko nad ziemią. Nie jestem dostatecznie daleko od nieprzyjacielskich stanowisk, któryś ze snajperów zaraz by mnie ustrzelił, gdybym spróbował uciekać.

Rozwidnia się coraz bardziej. Z palącą niecierpliwością czekam na nasz atak. Dłonie mam pobielełe na kostkach, tak mocno zaciskam palce, tak bardzo błagam, żeby ogień ustał i przyszedli moi koledzy.

Sący się minuta po minucie. Nie znajduję już w sobie odwagi, żeby spojrzeć jeszcze raz na ciemną postać w leju. Z wysiłkiem omijam ją wzrokiem i czekam, czekam. Pociski syczą, tworzą stalową sieć, nieprzerwanie, nieprzerwanie.

Wtem spostrzegam swoją pokrwawioną dłoń i czuję nagły przypływ mdłości. Biorę trochę ziemi i pocieram nią skórę, teraz przynajmniej dłoń jest brudna i nie widać już krwi.

Ogień nie słabnie. Z obu stron jest teraz równie silny. U nas prawdopodobnie już dawno uznano mnie za straconego.

Jest jasny, szary, wczesny dzień. Rzęzenie nadal słychać. Zatykam sobie uszy, ale zaraz z powrotem odrywam palce, bo wówczas nie będę słyszał także innych odgłosów.

Postać naprzeciwko się porusza. Wystraszony zerkam mimo woli w jej stronę. Odtąd moje oczy nie mogą się od niej oderwać, jakby były przyklejone. Leżący mężczyzna ma mały wąsik, głowa opadła mu na bok, jedna ręka lekko zgięta, głowa naciska na nią mocno. Druga ręka, zakrwawiona, spoczywa na piersi.

On nie żyje, mówię sobie, musi być martwy, nic już nie czuje – rzezi przecież tylko jego ciało. Głowa próbuje jednak się podnieść, jęki nasilają się na moment, po czym czoło opada z powrotem na ramię. Mężczyzna nie jest martwy, umiera, ale nie jest martwy. Ruszam w jego kierunku, zatrzymuję się, podpieram rękami, znów ślizgam się odrobinę dalej, czekam – i dalej, przebywam koszmarną drogę długości trzech metrów, straszliwą, długą drogę. W końcu docieram do niego.

Wtedy otwiera oczy. Musiał słyszeć, jak się zbliżam, i spogląda na mnie z wyrazem okropnego przerażenia. Ciało spoczywa

nieruchomo, ale w oczach dostrzegam taką straszną panikę, że przez moment wydaje mi się, iż mają dość siły, żeby porwać ze sobą ciało. Jednym szarpnięciem na odległość kilkuset kilometrów. Ciało leży nieruchomo, zupełnie spokojnie, teraz już bezgłośnie, rzeźenie umilkło, lecz oczy głośno krzyczą, całe życie skupiło się w nich gotowe do ogromnego wysiłku, do ucieczki, w potwornym strachu przed śmiercią, przede mną.

Zginam ręce i opadam na łokcie.

– Nie, nie – szepczę.

Oczy podążają za mną. Nie jestem w stanie wykonać żadnego ruchu, dopóki mnie śledzą.

Wtem jego dłoń leżąca na piersi opada powoli, wprowadzie tylko odrobinę, zsuwa się o kilka centymetrów, ale ten ruch odbiera moc oczom. Pochylam się do przodu, kręcę głową i szepczę znowu:

– Nie, nie, nie.

Unoszę rękę, muszę mu pokazać, że pragnę mu pomóc, i przejeżdżam dłonią po jego czole.

Oczy cofnęły się instynktownie na widok mojej zbliżającej się dłoni, teraz tracą nieruchomy wyraz, rzęsy opadają niżej, napięcie ustępuje. Rozpinam mu kołnierzyk i poprawiam głowę, żeby mu było wygodniej.

Usta ma półotwarte, stara się coś powiedzieć. Ma suche wargi. Nie mogę mu pomóc, bo nie zabrałem manierki. Ale w błocie na dnie leja jest woda. Zsuwam się na dół, wyciągam chusteczkę do nosa, rozpościeram, wciskam w maź i nabieram w stuloną dłoń żółtej wody, która wydostaje się spod spodu.

Połyka ją. Przynoszę znowu. Następnie rozpinam mu kurtkę, chcąc go opatrzyć, jeśli to możliwe. Koniecznie muszę to zrobić,

żeby tamci, gdybym trafił do niewoli, zobaczyli, że chciałem mu pomóc, i mnie nie rozstrzelali. Próbuje się bronić, lecz jego dłoń jest zbyt wiotka, żeby stawiać opór. Koszulę ma polepioną, nie da się jej odsunąć na bok, bo jest zapinana na plecach. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak ją rozciąć.

Szukam noża i odnajduję go. Ale gdy zaczynam rozcinać koszulę, oczy otwierają się jeszcze raz i jest w nich znowu ten krzyk i tak przemożny wyraz szaleństwa, że muszę je zasłonić, zamknąć dłonią i szepnąć:

– Chcę ci przecież pomóc, kolego, *camérade, camérade, camérade...* – powtarzając usilnie to słowo, żeby zrozumiał.

W sumie są trzy rany klute. Zakrywam je gazą ze swoich opatrunków, spod spodu wypływa krew, kiedy zaciskam mocniej, słyszę jego jęk.

To wszystko, co mogę zrobić. Teraz musimy czekać, czekać.

Te godziny. Rzęzenie zaczyna się znowu – jakże wolno człowiek umiera! Bo że nie można go uratować, to wiem. Wprawdzie próbowałem to sobie wyperswadować, lecz w południe myśl ta wobec jego jęków okazała się nietrwała, roztopiła się i została podziurawiona jak sito. Gdybym podczas czołgania się nie zgubił rewolweru, tobym go zastrzelił. Zakłuć nożem nie potrafię.

W południe drzemię na granicy snu i jawy. Głód rozdziera mi wnętrzności, chce mi się płakać, ale nie potrafię zwalczyć w sobie tego uczucia. Wiele razy przynoszę umierającemu wodę i sam też ją piję.

To człowiek, którego zabiłem własnoręcznie, którego widzę wyraźnie, którego umieranie jest moim dziełem. Kat, Kropp

i Müller też już widzieli umierających, kiedy kogoś trafili, wielu ma za sobą takie przeżycia, w walce na bagnety zdarza się to nawet często.

Ale każdy oddech obnaża moje serce. Ten umierający ma dla siebie godziny, ma niewidzialny nóż, którym mnie zabija: czas i moje myśli.

Wiele dałbym za to, żeby pozostał przy życiu. Ciężko jest leżeć i musieć na niego patrzeć, i słyszeć jego jęki.

O trzeciej po południu umiera.

Oddycham z ulgą. Na krótko. Po chwili milczenie wydaje mi się jeszcze trudniejsze do zniesienia niż jęki. Chciałbym, żeby rżenie pojawiło się znowu, z przerwami, ochryple, raz gwizdzące i ciche, a potem znów ochryple i głośne.

To, co robię, nie ma sensu. Ale muszę mieć jakieś zajęcie. Jeszcze raz poprawiam więc zmarłego, żeby leżało mu się wygodniej, mimo że nic już nie czuje. Zamykam mu oczy. Oczy ma brązowe, włosy czarne, po bokach lekko kręcone.

Wargi pod wąsikiem są pełne i miękkie; nos jest trochę krzywy, skóra śniada i nie wygląda teraz na taką bladą jak przedtem, gdy jeszcze żył. Przez chwilę twarz wydaje mi się nawet prawie zdrowa; potem policzki zapadają się szybko jak w jednej z tych obcych martwych twarzy, jakie często widywałem, a wszystkie do siebie podobne.

Jego żona teraz na pewno o nim myśli; nie wie, co się stało. On wygląda na takiego, który często pisał do niej; żona dostanie jeszcze pocztę od niego – jutro, za tydzień – może nawet dopiero za miesiąc jakiś zabłąkany list. Będzie go czytać, a mąż będzie w nim mówił do niej.

Mój stan wciąż się pogarsza, nie potrafię już utrzymać na wodzy swoich myśli. Jak też może wyglądać ta kobieta? Jak tamta śniada, szczupła po drugiej stronie kanału? Czy ona do mnie nie należy? Może teraz wskutek tego należy do mnie! Gdyby Kantorek siedział tu obok mnie! Gdyby matka mnie takim widziała... Ten trup mógłby na pewno żyć jeszcze trzydzieści lat, gdybym lepiej zapamiętał drogę powrotną. Gdyby pobiegł dwa metry dalej na lewo, leżałby teraz w okopie po tamtej stronie i pisał nowy list do żony.

W ten sposób jednak nie posunę się dalej, taki jest bowiem los nas wszystkich; gdyby Kemmerich trzymał nogę dziesięć centymetrów dalej na prawo, gdyby Haie wychylił się pięć centymetrów dalej...

Milczenie się przeciąga. Mówię, muszę mówić. Zwracam się więc do niego i tak mówię:

– Kolego, nie chciałem cię zabić. Gdybyś wskoczył tu jeszcze raz, nie zrobiłbym tego, gdybyś i ty zachował się rozsądnie. Ale ty byłeś wcześniej dla mnie tylko myślą, kombinacją, która żyła w moim mózgu i wywołała decyzję – ja zabiłem tę kombinację. Dopiero teraz widzę, że jesteś człowiekiem jak ja. Myślałem o twoich granatach ręcznych, o twoim bagnecie i twojej broni – teraz widzę twoją żonę i twoją twarz, i to co wspólne. Wybacz mi, kolego! Zawsze widzimy to za późno. Dlaczego nie powtarza się nam ciągle, że jesteście takimi samymi jak my nieborakami, że wasze matki boją się tak samo jak nasze i że znamy ten sam lęk przed śmiercią i to samo umieranie, i ten sam ból. Wybacz mi, kolego, jak mogłeś być moim wrogiem! Gdybyśmy odrzucili tę broń

i te mundury, równie dobrze mógłbyś być moim bratem jak Kat i Albert. Zabierz dwadzieścia z moich lat, kolego, i wstań – weź więcej, bo nie wiem jeszcze, co z nimi począć.

Jest cicho, front uspokoił się, nie licząc terkotu karabinów maszynowych. Kule padają gęsto, ale nie strzela się na oślep, tylko starannie mierząc z każdego kierunku. Nie mogę opuścić swojego leja.

– Napiszę do twojej żony – zapewniam śpiesznie zmarłego – napiszę do niej, niech ode mnie się dowie, opiszę jej to wszystko, co tobie opowiadam, żeby nie cierpiała, chcę jej pomóc, i twoim rodzicom także, i twojemu dziecku.

Jego mundur jest jeszcze na wpół rozpięty. Bez trudu odnajduję portfel. Waham się jednak, czy go otworzyć. W środku jest książeczka wojskowa z jego nazwiskiem. Dopóki nie znam nazwiska, może zdołam go jeszcze zapomnieć, czas wymaże ten obraz. Jego nazwisko jest jednak jak gwóźdź, który wbity we mnie, już nigdy nie da się wyciągnąć. Posiada moc ciągłego przywoływania tego wszystkiego, zawsze będzie mógł wrócić i stanąć przede mną.

Niezdecydowany trzymam portfel w ręku. Ten wyslizguje mi się z dłoni i otwiera. Ze środka wypada kilka zdjęć i listów. Podnoszę je z ziemi i zamierzam włożyć z powrotem do portfela, ale presja, pod którą się znajduję, cała ta moja bardzo niepewna sytuacja, głód, niebezpieczeństwo, te godziny spędzone ze zmarłym wpędziły mnie w desperację, chcę przyspieszyć rozwiązanie, wzmóc i uciąć tę udrękę, to tak jak walnięcie niezdolnie bolącą ręką w drzewo bez względu na to, co się stanie.

Zdjęcia przedstawiają kobietę i małą dziewczynkę, to wąskie amatorskie fotografie zrobione na tle porośniętej bluszczem ściany domu. Obok zdjęć wetknięte listy. Wyciągam je i próbuję czytać. Większości nie rozumiem, trudno odszyfrować pismo, poza tym słabo znam francuski. Ale każde słowo, jakie tłumaczę, wnika w moją pierś jak pocisk – albo jak sztych bagnetem.

Mam zupełny mętlik w głowie. Pojmuję jednak jeszcze tyle, że nigdy nie będzie mi wolno napisać do tych ludzi, jak myślałem przedtem. To niemożliwe. Jeszcze raz oglądam zdjęcia: nie przedstawiają bogatych ludzi. Mógłbym im wysłać anonimowo pieniądze, gdy później coś zarobię. Czepiam się tej myśli, to przynajmniej mały punkt oparcia. Ten zmarły wiąże się z moim życiem, dlatego muszę wszystko uczynić i obiecać wszystko, żeby się uratować; przysięgam na ślepo, że pragnę żyć tylko dla niego i jego rodziny – przemawiam do niego wilgotnymi wargami, a w głębi serca żywię nadzieję, że w ten sposób się wykupię i może jednak wydostanę z tego leja, to taki mały fortel, potem zawsze jeszcze będzie można zobaczyć. Dlatego otwieram książeczkę wojskową i powoli odczytuję: Gérard Duval, zecer.

Ołówkiem zmarłego zapisuję adres na kopercie, lecz potem nagle szybkim ruchem wsuwam wszystko z powrotem do jego kurtki.

Zabiłem drukarza Gérarda Duvala. Muszę zostać drukarzem, myślę zupełnie wytrącony z równowagi, muszę zostać drukarzem, zostać drukarzem...

Po południu jestem już spokojniejszy. Mój strach był nieuzasadniony. Nazwisko przestało mnie peszyć. Atak mija.

– Kolego – mówię do zmarłego po drugiej stronie leja, lecz mówię to opanowanym głosem. – Dzisiaj ty, jutro ja. Jeśli wyjdę z tego cało, będę walczył z tym, co zniszczyło nas obu: tobie zabrało życie – a mnie...? Też życie. Obiecuję ci to, kolego. To nie może się powtórzyć.

Słońce stoi dość nisko. Jestem otępiały z wyczerpania i głodu. Wczorajszy dzień pamiętam jak przez mgłę, nie mam nadziei, że kiedykolwiek uda mi się stąd wydostać. Drzemię więc i nie dociera do mnie nawet, że zapada wieczór. Nadchodzi zmierzch. Teraz wydaje mi się, że szybko. Jeszcze godzina. Gdyby było lato, trzy godziny. Jeszcze godzina.

Nagle zaczynam drżeć, że coś może przeszkodzić. Nie myślę już o zmarłym, który jest mi teraz zupełnie obojętny. Za jednym zamachem pojawia się żądza życia i wobec niej ginie wszystko, co sobie postanowiłem. Żeby w ostatniej chwili nie dopadł mnie pech, paplam mechanicznie:

– Dotrzymam wszystkiego, dotrzymam wszystkiego, co ci obiecałem... – ale już wiem, że tego nie zrobię.

Nagle uzmysławiam sobie, że kiedy zacznę się czołgać w naszą stronę, mogą do mnie strzelać także moi koledzy; nie wiedzą przecież, że to ja. Będę więc wołał najwcześniej, jak się da, żeby mnie rozpoznali. Tak długo będę leżał przed okopem, dopóki mi nie odpowiedzą.

Pierwsza gwiazda. Na froncie nadal spokój. Oddycham z ulgą, lecz wciąż zdenerwowany mówię do siebie:

– Tylko teraz żadnych głupstw, Paul – spokój, spokój, Paul – wtedy będziesz uratowany.

Działa. Kiedy wypowiadam swoje imię, wydaje się, jakby wypowiadał je ktoś inny, i dzięki temu zyskało większą moc.

Narasta ciemność. Moje podniecenie opada, na wszelki wypadek czekam, dopóki nie wzbiją się w górę pierwsze rakiety. Potem wyczołguję się z leja. O martwym Francuzie zapomniałem. Przede mną leży zaczynająca się noc i pole w białej poświacie. Biorę na cel dziurę w ziemi; w chwili gdy światło gaśnie, dopadam do niej, znów ruszam po omacku, docieram do następnej, skulony przemykam dalej.

Zbliżam się. W świetle rakiety widzę, że wśród zasieków coś się poruszyło, zanim zastygło w bezruchu, więc i ja nieruchomieję. Za następnym razem widzę to samo, to pewnie koledzy z naszych okopów. Jestem jednak ostrożny. Dopiero gdy rozpoznaję nasze hełmy, wołam.

Chwilę później słyszę w odpowiedzi swoje imię:

– Paul – Paul!

Znowu wołam. To Kat i Albert, którzy wzięli pałatkę i wyszli mnie szukać.

– Nie jesteś ranny?

– Nie, nie.

Zsuwamy się do okopu. Żądam jedzenia i pochłaniam wszystko. Müller daje mi papierosa. W paru słowach opowiadam, co się wydarzyło. To nic nowego, takie rzeczy zdarzały się już nieraz. Szczególny w całej sprawie jest tylko nocny atak. Ale Kat na froncie rosyjskim leżał już kiedyś dwa dni za liniami wroga, zanim udało mu się przebić.

O martwym drukarzu nie wspominam.

Dopiero następnego ranka nie wytrzymuję. Muszę opowiedzieć Katowi i Albertowi. Obaj uspokajają mnie.

– Absolutnie nie możesz z tym nic zrobić. A co innego chciałeś zrobić. Po to przecież jesteś tutaj!

Kiedy ich słucham, czuję się bezpieczny, pociesza mnie ich bliskość. Co za okropne brednie opowiadałem w tym leju.

– Popatrz tam – mówi Kat, pokazując palcem.

Na przedpiersiach stoi kilku snajperów. Mają karabiny wyborowe z lunetą i obserwują odcinek naprzeciwko nas. Od czasu do czasu pada strzał.

W tym momencie słyszymy okrzyki.

– Ten był celny!

– Widziałeś, jak podskoczył?

Sierżant Oellrich odwraca się z dumą i zapisuje sobie punkt. Prowadzi na dzisiejszej liście strzelców z trzema stwierdzonymi bez zastrzeżeń trafieniami.

– Co ty na to? – pyta Kat.

Kiwam głową.

– Jak tak dalej będzie strzelał, to dziś wieczór będzie miał jednego kolorowego ptaszka więcej w dziurce do guzika – dodaje Kropp.

– Albo zostanie niebawem zastępcą feldfebla – uzupełnia Kat.

Patrzymy po sobie.

– Ja bym tego nie robił – mówię.

– W każdym razie bardzo dobrze, że widzisz to właśnie teraz – odpowiada Kat.

Sierżant Oellrich podchodzi z powrotem do przedpiersia okopu. Lufa jego karabinu przesuwana się tu i tam.

– W takim razie nie musisz już wspominać słowem o swojej sprawie – dodaje Albert, kiwając głową.

Teraz ja sam też już siebie nie rozumiem.

– To dlatego, że musiałem leżeć z nim tak długo – mówię.

Ostatecznie wojna to wojna.

Karabin Oellricha wydaje krótki, suchy trzask.

X

Trafił nam się świetny posterunek. W ośmiu mamy pilnować wioski, którą ewakuowano, bo jest pod zbyt silnym ostrzałem.

Przed wszystkim kazano nam uważać na magazyn urzędu prowiantowego, który nie został jeszcze opróżniony. O wikt mamy dbać sami, biorąc sobie żywność z zapasów. Nadajemy się do tego w sam raz – Kat, Albert, Müller, Tjaden, Leer, Detering, jest cała nasza drużyna. Chociaż nie, Haie nie żyje. Ale to i tak wielkie szczęście, bo wszystkie inne drużyny miały większe straty.

Na mieszkanie wybieramy betonową piwnicę, do której prowadzą z zewnątrz schody. Wejście osłania jeszcze dodatkowo specjalny betonowy mur.

Odtąd rozwijamy wielką działalność. Znowu nadarza się okazja rozprostować nie tylko nogi, ale i duszę. Korzystamy z takich okazji; nasze położenie jest bowiem zbyt rozpaczliwe, żebyśmy mogli długo bawić się w sentymenty. Kiedy robi się całkiem źle, nie będzie to już możliwe. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak być realistami. Być realistami do tego stopnia, że nieraz ogarnia mnie zgroza, gdy na chwilę zabłąka się do mojej głowy myśl z dawnych czasów, czasów przedwojennych. Zresztą nie pozostaje w niej długo.

Swoje położenie musimy brać tak lekko, jak to możliwe, i wykorzystujemy w tym celu każdą okazję. Wówczas bezpośrednio, boleśnie, bez żadnego odstępu sąsiadują ze sobą zgroza i głupota. Żadną miarą nie potrafimy inaczej, rzucamy się głową w przód. Także teraz z wielkim zapalem zabieramy się do tworzenia idylli, naturalnie idylli żarcia i spania.

Na początek wykładamy posadzkę piwnicy materacami, które przywlekliśmy z okolicznych domów. Żołnierski tyłek lubi czasem mieć miękko. Tylko pośrodku pomieszczenia zostawiamy wolne miejsce. Potem przynosimy sobie koce i cudownie miękkie pierzyny. W wiosce jest tego wszystkiego pod dostatkiem. Albert i ja znajdujemy rozkładane mahoniowe łóżko z baldachimem z niebieskiego jedwabiu i koronkową narzutą. Podczas transportu pocimy się jak diabli, ale takiej gratki nie wypada przepuścić, zwłaszcza że za parę dni wioska na pewno zostanie zniszczona.

Kat i ja wybieramy się na mały rekonesans po domach. W krótkim czasie fasujemy tuzin jaj i dwa funty dosyć świeżego masła. Nagle, w jakimś salonie, słyszymy huk i przez ścianę wpada żelazny piec, mija nas i wylatuje metr obok nas przez drugą ścianę. Dwie dziury. Przyleciał tu z domu naprzeciwko, w który uderzył granat.

– Mieliśmy szczęście – uśmiecha się Kat i szukamy dalej.

W pewnej chwili wyteżamy słuch i przyśpieszamy kroku, a zaraz potem stajemy jak urzeczeni: w małym chlewiku tarzają się dwa żywe prosiaki. Przecieramy oczy i przyglądamy się im ostrożnie jeszcze raz: faktycznie nadal tam są. Dotykamy ich – nie ma wątpliwości, to rzeczywiście dwie młode świni.

Będzie prawdziwa uczta. Mniej więcej pięćdziesiąt kroków od naszego mieszkania stoi mały dom, który służył za kwaterę oficerską. Kuchnia wyposażona jest w ogromny piec z dwoma rusztami, patelniami, garnkami i kociołkami. Jest wszystko, a w szopie nawet mnóstwo porąbanego drewna – można by rzec, że nie brakuje nam ptasiego mleka.

Dwóch z nas od rana przeczesuje pola, szukając kartofli, marchwi i zielonego groszku. Postanowiliśmy bowiem poszaleć i gwiździemy na konserwy z magazynu prowiantowego, chcemy mieć świeże rzeczy. W spiżarni leżą już dwa kalafiory.

Prosiaki zostały zaszlachtowane. Kat się tym zajął. Do pieczonego mięsa zamierzamy zrobić placki ziemniaczane. Nie mamy jednak terek do jarzyn. Ale i tutaj na to zaraz znajduje się rada. W blaszanych pokrywkach wybija się gwoździami mnóstwo dziurek i już są tarki. Trzech z nas wkłada grube rękawiczki, żeby chronić palce podczas ucierania, dwóch innych obiera kartofle i robota szybko postępuje.

Kat dogląda prosiaków, marchwi, groszku i kalafiorów. Do kalafiora przygotowuje nawet biały sos. Ja smażę placki, po cztery naraz. Po dziesięciu minutach opanowuję sztukę podrzucania usmażonych z jednej strony placków, które obróciwszy się w powietrzu, lądują z powrotem na patelni. Prosiaki są pieczone w całości. Wszyscy stoją nad nimi jak wkoło ołtarza.

Tymczasem przyszli goście, dwóch radiotelegrafistów, których wspaniałomyślnie zapraszamy na ucztę. Siedzą w salonie, gdzie stoi pianino. Jeden gra, drugi śpiewa *Nad Wezerą*. Śpiewa z uczuciem, lecz z dość silnym akcentem saksońskim. Mimo to

wzruszamy się, stojąc przy kuchni i przygotowując wszystkie te dobre rzeczy.

Stopniowo uświadamiamy sobie, że dostaliśmy się pod silny ostrzał. Obserwatorzy z balonów na uwięzi wypatrzyli dym z naszego komina i skierowali na nas ogień. To te przekłete pociski rozpryskowe, które robią małą dziurkę i sieją dokoła odłamkami na niewielkiej wysokości. Pociski gwizdzą coraz bliżej, ale nie możemy przecież zostawić jedzenia. Ci dranie zaczynają się wstrzeliwać. Parę odłamków wpada przez okno kuchenne. Niedługo pieczone powinno być gotowe. Ale smażenie placków jest teraz utrudnione. Pociski uderzają tak gęsto, że coraz częściej odłamki plaskają o ścianę domu i wpadają przez okna. Ilekroć słyszę nadlatujący z gwizdem pocisk, przykucam z patelnią i plackami w rękę i chowam się za murkiem przyokiennym. Potem natychmiast się podnoszę i smażę dalej.

Saksończycy przestają grać – odłamek utkwiał w pianinie. Także my stopniowo kończymy przygotowania i organizujemy odwrót. Po następnym uderzeniu pocisku dwaj ludzie z garnkami pełnymi jarzyn wybiegają i docierają do naszej piwnicy pięćdziesiąt metrów dalej. Widzimy, jak znikają w środku.

Następny strzał. Wszyscy się kulą, po czym kolejnych dwóch ludzi, każdy z dzbankiem pierwszorzędnej kawy zbożowej, wyskakuje z domu i dobiega do piwnicy przed uderzeniem kolejnego pocisku.

Teraz Kat i Kropp chwytają to, co najważniejsze: wielką patelnię z upieczonymi na brązowy kolor prosiakami. Gwizd pocisku, przykucnięcie i już gnają pięćdziesiąt metrów przez otwarte pole.

Dosmażam ostatnie cztery placki, w tym czasie muszę dwa razy przypaść do ziemi – ale są w końcu cztery placki więcej, a to moja ulubiona potrawa.

Następnie chwytam tacę z wysokim stosem placków i przywieram do ściany za drzwiami budynku. Syk, trzask – puszczam się galopem, obiema rękami przyciskając tacę do piersi. Prawie już jestem u celu, gdy słyszę narastający gwizd, gnam niczym jeleni, chowam się za betonową ścianą, odłamki plaskają o mur, spadam po schodach do piwnicy, łokcie mam poobijane, ale nie przechyliłem tacy, nie straciłem ani jednego placka.

O drugiej zaczynamy obiad. Trwa do szóstej. Do wpół do siódmej pijemy kawę – oficerską kawę z magazynu prowiantowego – i palimy do tego oficerskie cygara i papierosy – również z magazynu prowiantowego. Punktualnie o wpół do siódmej zaczynamy kolację. O godzinie dziesiątej wyrzucamy przed drzwi szkielety prosiaków. Potem jest koniak i rum, także z błogosławionego magazynu prowiantowego, i znów długie, grube cygara z opaskami. Tjaden twierdzi, że brakuje nam tylko jednego: dziewczyn z oficerskiego burdelu.

Późnym wieczorem słyszymy miauczenie. Przed wejściem siedzi mały szary kotek. Wabimy go do środka i karmimy. W związku z tym także nam wraca apetyt. Przeżuwać, kładziemy się spać.

W nocy nie ma jednak spokoju. Jedzenie było za tłuste. Młoda wieprzowina działa pobudzająco na jelita. W piwnicy ciągle ktoś wstaje i wychodzi. Dwóch, trzech ludzi kuca zawsze na zewnątrz ze spuszczonej spodniami i przeklina. Ja sam wychodzę

dziewięć razy. Około czwartej w nocy osiągamy rekord: na zewnątrz kuca wszystkich jedenastu ludzi, czyli warta i goście.

Płonące w nocy domy przypominają pochodnie. Granaty nadlatują z hukiem i uderzają. Szosą pędzą kolumny wozów z amunicją. Po jednej stronie magazynu prowiantowego pojawiła się wielka wyrwa. Mimo fruwających odłamków kierowcy tłoczą się przed budynkiem niczym rój pszczół i kradną chleb. Nie przeszkadzamy im, zachowujemy spokój. Gdybyśmy im coś powiedzieli, najwyżej byśmy oberwali. Dlatego postępujemy inaczej. Oświadczamy, że jesteśmy tutaj wartą, a ponieważ wiemy, o co im chodzi, proponujemy konserwy i wymieniamy je na rzeczy, których nam brakuje. Co za różnica – w krótkim czasie i tak wszystko będzie rumowiskiem. Dla siebie bierzemy z magazynu czekoladę i zajadamy ją całymi tabliczkami. Kat mówi, że to dobre na brzuch, któremu zbyt śpieszno do latryny.

Prawie dwa tygodnie schodzą nam tak na jedzeniu, piciu i bumelowaniu. Nikt nam nie przeszkadza. Wioska znika powoli pod gradem granatów, a my wiemy szczęśliwe życie. Dopóki stoi przynajmniej część magazynu prowiantowego, jest nam wszystko jedno i pragniemy tylko, żeby koniec wojny zastał nas tutaj.

Z Tjadena zrobił się taki światowiec, że pali cygara tylko do połowy. Wyniośle oświadcza, że tak ma w zwyczaju. Także Kat bardzo jest rozochocony. Pierwsze jego zawołanie z rana brzmi:

– Emilu, proszę przynieść kawior i kawę.

W ogóle panuje u nas tak wytworny ton, każdy uważa drugiego za swego ordynansa, mówi do niego per „wy” i wydaje mu polecenia.

– Kropp, swędzi mnie podeszwa, złapcie w końcu tę wesz.

To mówiąc, Leer podaje mu nogę niczym aktorka, na co Albert chwyta go za kończynę i wlecze po schodach na górę.

– Tjaden!

– Co?

– Stańcie wygodnie, Tjaden; swoją drogą, nie mówi się „Co?”, ale „Według rozkazu”. Teraz już wiecie, Tjaden!

W odpowiedzi Tjaden znów z upodobaniem cytuje klasyka, co i tym razem przychodzi mu bez najmniejszych oporów.

Po upływie kolejnych ośmiu dni dostajemy rozkaz: mamy się wycofać. Wspaniały okres dobiega końca. Zabierają nas dwie duże ciężarówki, z czubem zapakowane deskami. Jeszcze wyżej Albert i ja budujemy z niebieskiej jedwabnej narzuty, materaców i dwóch pierzyn w koronkowych poszwach swoje łóże z baldachimem. Za wezgłowiem leżą worki z najlepszym prowiantem dla każdego. Kiedy je czasem obmacujemy, nasze serca radują twarde pęta metki, puszki wątrobianej, konserwy, skrzynki cygar. Każdy z nas ma przy sobie pełny taki worek.

Poza tym Kropp i ja uratowaliśmy dwa fotele obite czerwonym pluszem. Postawiliśmy je na łóżku i wyciągamy się na nich niczym w łoży teatralnej. Jedwab narzuty wzdyma się nad nami jako baldachim. Każdy z nas trzyma w ustach długie cygaro. Tak spoglądamy z góry na okolicę.

Między nami stoi klatka na papugi, którą znaleźliśmy dla kota. Wzięliśmy go z sobą, teraz leży w środku przed swoją miseczką i mruczy.

Samochody toczą się wolno szosą. Śpiewamy. Za nami granaty wzbijają fontanny w zupełnie już opuszczonej wiosce.

Kilka dni później wyruszamy oczyścić jakąś miejscowość. Po drodze spotykamy uciekających mieszkańców, którym kazano opuścić domy. Taszczą swoje mienie na taczkach, w wózkach dziecinnych oraz na grzbietach. Ich postacie są pochylone, twarze zatroskane, pełne rozpaczy, pośpiechu i uległości. Dzieci uczezione matek, czasem starsza dziewczynka prowadzi maluchy, które ciągnięte za ręce idą do przodu, ale wciąż oglądają się za siebie. Niektóre zabrały z sobą nędzne lalki. Wszyscy milczą, kiedy przechodzą obok nas.

Jesteśmy jeszcze w kolumnie marszowej, Francuzi nie będą przecież ostrzeliwać wioski, w której są ich rodacy. Niewiele minut później powietrze wypełnia jednak wycie, ziemia się trzęsie, rozlegają krzyki – granat zmiotł sam koniec kolumny. Rozsypujemy się na boki, rzucamy na ziemię, lecz w tym samym momencie czuję, jak opuszcza mnie napięcie, które podczas ostrzału włącza się zawsze nieświadomie i każe mi robić to, co trzeba. Myśl „jesteś zgubiony” rozbłyskuje we mnie równocześnie z dławiącym potwornym strachem – a w następnej chwili uderzenie pocisku chłoszcze moją lewą nogę jak cios biczem. Słyszę okrzyk Alberta, który jest obok mnie.

– Jazda, Albercie, wstawaj! – ryczę na niego, gdyż leżymy bez żadnej osłony na odkrytym polu.

Zrywa się niepewnie na nogi i rusza biegiem. Biegnę obok niego. Musimy pokonać jakiś wyższy od nas żywopłot. Kropp chwytając się gałęzi, łapie go za nogę, żeby go podsadzić, wydaje okrzyk bólu, dzięki mojej dźwigni przelatuje jednak na drugą

stronę. Jednym skokiem idę w jego ślady i wpadam do stawu po drugiej stronie żywopłotu.

Twarze mamy pełne rzęsy i mułu, ale osłona jest dobra. Dlatego brodzimy dalej, aż woda sięga nam po szyję. Kiedy słyszymy wycie, chowamy się z głową pod wodę.

Po kilkunastu takich zanurzeniach mam tego dosyć. Także Albert jęczy:

- Chodźmy stąd, bo się przewrócę i utopię.
- Gdzie oberwałeś? – pytam.
- Chyba w kolano.
- Możesz chodzić?
- Tak sędzę.
- To ruszajmy.

Docieramy do przydrożnego rowu i schyleni biegniemy wzdłuż niego. Ściga nas ogień. Droga prowadzi w kierunku magazynu amunicji. Jeśli on wybuchnie, nikt nigdy nie odnajdzie nawet guzika po nas. Dlatego zmieniamy plan i biegniemy na przełaj przez pola.

Albert zwalnia coraz bardziej.

- Biegnij sam, ja potem dołączę – mówi i rzuca się na ziemię.

Chwytam go za ramię, podrywam do góry i potrząsam nim.

- Wstawaj, Albercie, jeśli raz się położysz, nie dasz rady się zebrać. Jazda, będę cię podpierał.

W końcu docieramy do małego okopu. Kropp wali się na ziemię i mogę go opatrzyć. Pocisk utkwiał tuż nad kolanem. Potem przyglądam się sobie. Spodnie mam pokrwawione, tak samo ramię. Albert zakłada mi opatrunki na przedziurawione miejsca. On sam nie może już poruszyć nogą, obaj się dziwimy, jak w ogóle

daliśmy radę dotrzeć tutaj. Było to możliwe tylko dzięki strachowi: ucieklibyśmy, nawet gdyby odstrzelono nam stopy – tyle że wtedy na kikutach.

Ja mogę się jeszcze trochę ruszać, więc podczołguję się i przywołuję przejeżdżający wóz drabiniasty, który nas zabiera. Na wozie pełno rannych. Jest przy nich zwykły sanitariusz, który robi nam w pierś zastrzyk przeciwwężcowy.

W lazarecie udaje nam się załatwić, żebyśmy leżeli obok siebie. Na obiad dają cieką zupkę, którą pochłaniamy łapczywie i z pogardą, bo wprawdzie pamiętamy lepsze czasy, lecz przecież jesteśmy głodni.

– Teraz kierunek ojczyzna, Albercie – mówię.

– Miejmy nadzieję – odpowiada. – Gdybym tylko wiedział, co mi jest.

Bóle się nasilają. Opatrunki palą jak ogień. Pijemy i pijemy, jeden kubek wody za drugim.

– Ile nad kolanem jest mój postrzał? – pyta Kropp.

– Co najmniej dziesięć centymetrów, Albercie – odpowiadam. W rzeczywistości są może trzy.

– Postanowiłem sobie – odzywa się po chwili – że jeśli utną mi kość, to skończę ze sobą. Nie chcę chodzić po świecie jako kaleka.

Tak leżymy ze swoimi myślami i czekamy.

Wieczorem zabierają nas do rzeźni. Wystraszony zastanawiam się szybko, co robić; jest rzeczą znaną, że lekarze w lazaretach nie cackają się, tylko amputują. Przy dużym tłoku to łatwiejsze niż skomplikowane łątanie. Przypominam sobie Kemmericha.

W żadnym razie nie dam się chloroformować, choćbym musiał rozbić głowę paru ludziom.

Nie ma jednak takiej potrzeby. Lekarz grzebie w ranie, aż robi mi się ciemno przed oczami.

– Nie róbcie takich ceregieli – beszta mnie i ciacha dalej.

Instrumenty błyszczą w jasnym świetle niczym złośliwe zwierzątka. Ból jest nie do zniesienia. Dwóch pielęgniarzy przytrzymuje mnie za ręce, ale jedną udaje mi się wyszarpnąć i zamierzam właśnie przyfasolić lekarzowi w okulary, kiedy ten zauważy mój ruch i odskakuje.

– Zachloroformujcie tego typka! – krzyczy wściekły.

Wtedy się uspokajam.

– Przepraszam, panie doktorze, będę spokojny, tylko proszę mnie nie chloroformować.

– Niech będzie – pieje lekarz i chwytą z powrotem za swoje instrumenty.

To blondynek, najwyżej trzydzieści lat, ze sznycami korporacyjnymi i odpychającymi okularami w złotej oprawce. Widzę, że teraz mnie szykanuje, bezceremonialnie grzebie w ranie i od czasu do czasu zerka na mnie ponad szklanymi okularów. Zaciskam palce na uchwytach, prędej skonam, niż usłyszysz z moich ust choćby piśnięcie.

Wyłowił z rany i rzuca mi odłamek. Wygląda na zadowolonego z mojego zachowania, bo starannie zakłada mi szynę i mówi:

– A jutro do domu.

Potem pakują mnie w gips. Po powrocie do Kroppa opowiadam mu, że prawdopodobnie już jutro przyjedzie pociąg sanitarny.

– Musimy pogadać z feldfeblem, Albercie, żebyśmy mogli zostać razem.

Udaje mi się wręczyć feldfeblowi z lazaretu dwa z moich cygar z opaską, do których dodaję kilka stosownych słów. Ten obwąchuje cygara i pyta:

– Macie tego więcej?

– Jeszcze dobrą garść – odpowiadam – i mój kolega – wskazuję Kroppa – również. Obaj chętnie byśmy je panu wręczyli przez okno pociągu sanitarnego.

Feldfebel naturalnie chwyta w lot, wacha cygara jeszcze raz i mówi:

– Załatwione.

W nocy nie możemy zmrużyć oka nawet na minutę. W naszej sali umiera siedmiu ludzi. Jeden wyśpiewywał przez godzinę piskliwym tenorkiem jakieś chorały, zanim zaczął rzeźić. Inny przed śmiercią wylazł z łóżka i przyczołgał się pod okno. Teraz leży przed nim, jakby chciał wyjrzeć na świat po raz ostatni.

Nasze nosze stoją na stacji. Czekamy na pociąg. Pada deszcz, a peron nie jest zadaszony. Koce są cienkie. Czekamy już dwie godziny.

Feldfebel troszczy się o nas jak matka. Choć czuję się już bardzo źle, trzymam się naszego planu. Jakby mimochodem pokazuję paczuszki cygar i daję mu jedno tytułem zaliczki. W zamian za to feldfebel przykrywa nas pałatką.

– Ech, stary – rozrzewniam się – a pamiętasz nasze łóżko z baldachimem i kota?

– I fotele klubowe – dodaje Albert.

Tak, fotele klubowe z czerwonego pluszu. Siedzieliśmy w nich wieczorami jak książęta i mieliśmy zamiar wynajmować je później na godziny. Papieros za godzinę. Żylibyśmy sobie beztrosko, a interes by się kręcił.

– Albercie – przypominam sobie – a nasze worki z żarciem.

Ogarnia nas smutek. Przydałyby się nam te rzeczy. Gdyby pociąg jechał dzień później, Kat na pewno by nas odnalazł i przyniósłby nam cały kram.

Przeklęty los. W naszych żołądkach zalega cienka zupka zagęszczana mąką, podłe żarcie lazaretowe, a w workach mamy wieprzowinę w puszkach. Jesteśmy jednak tak osłabieni, że nie potrafimy już nawet denerwować się z tego powodu.

Nosze są zupełnie mokre, kiedy pociąg wjeżdża rano na stację. Feldfebel dba, żebyśmy trafili do tego samego wagonu. Jest tam mnóstwo sióstr Czerwonego Krzyża. Kroppa pakują do łóżka na dole, mnie podnoszą, mam leżeć nad nim.

– Na litość boską – wyrywa mi się nagle.

– Co się stało? – pyta siostra.

Jeszcze raz zerkam na łóżko. Zasłane jest śnieżnobiałym prześcieradłem, niewyobrażalnie czystym, widać na nim jeszcze zagięcia od prasowania. Moja koszula natomiast nie była prana od sześciu tygodni i jest okropnie brudna.

– Nie może pan wejść o własnych siłach? – pyta z z troskaniem.

– Wejść tobym mógł – odpowiadam, oblewając się potem – ale proszę najpierw zabrać pościel.

– A to dlaczego?

I ja czuję się brudny jak świnia. I miałbym się tam położyć?

– Bo przecież się... – Nie kończę.

– Trochę zabrudzi? – pyta zachęcającym tonem. – Nic nie szkodzi, to potem wypierzemy.

– Nie, nie to – denerwuję się. Nie potrafię sprostać takiemu atakowi kultury.

– Za to, że walczyliście w okopach, możemy chyba jeszcze wyprać jedno czy drugie prześcieradło – kontynuuje siostra.

Przyglądam się jej, apetyczna i młoda, czyściutka i elegancka, jak wszystko tutaj, wprost trudno pojąć, że to nie tylko dla oficerów, człowiek czuje się nieswojo, a nawet ma poczucie jakiegoś zagrożenia.

Mimo to baba jest istnym katem, zmusza mnie do powiedzenia wszystkiego.

– To tylko... – urywam, musi się przecież domyślać, co mam na myśli.

– No, co jeszcze?

– Chodzi o wszy – wybucham w końcu.

– One też muszą czasem mieć dobre dni – śmieje się w odpowiedzi.

Teraz jest mi już wszystko jedno. Gramolę się na łóżko i przykrywam.

Czyjaś ręka obmacuje koc. To feldfebel. Zabiera mi cygara i wychodzi.

Godzinę później zauważamy, że jedziemy.

Budzę się w nocy. Także Kropp się rusza. Pociąg toczy się cicho po szynach. To wszystko trudno jeszcze pojąć: łóżko, pociąg, do domu.

– Albercie! – szepczę.

- Tak...
- Wiesz, gdzie tu jest latryna?
- Sądzę, że tam na prawo od drzwi.
- Sprawdzę.

Jest ciemno, wymacuję brzeg łóżka i zamierzam ostrożnie zsunąć się na dół. Moja stopa nie znajduje jednak oparcia, ześlizguję się, gipsowy opatrunek na nodze nie może mi pomóc, z hukiem ląduję na podłodze.

- Psiakrew – mówię.
- Uderzyłeś się? – pyta Kropp.
- Chyba słyszałeś – warczę w odpowiedzi. – O, moja głowa...

W głębi wagonu otwierają się drzwi. Podchodzi siostra ze światłem i mnie spostrzega.

- Wypadł z łóżka.
- Bada mi puls i dotyka dłonią mojego czoła.
- Ale pan nie ma gorączki.
- Nie mam – przyznaję.
- Może miał pan zły sen?
- Coś w tym rodzaju – odpowiadam wymijająco.

Zaraz znowu zacznie się wypytywanie. Patrzy na mnie swymi błyszczącymi oczami, jest czysta i cudowna, tym bardziej więc nie mogę jej powiedzieć, o co mi chodzi.

Pomaga mi wywindować się z powrotem na górę. Może to i dobrze. Kiedy odejdzie, natychmiast muszę spróbować znowu zejść. Gdyby była stara, prędzej mógłbym jej powiedzieć, o co mi chodzi, ale sęk w tym, że siostra jest całkiem młoda, najwyżej dwadzieścia pięć lat, nie da się nic zrobić, nie mogę jej powiedzieć.

I wtedy Albert przychodzi mi z pomocą, on się nie wstydzi, ostatecznie jego to nie dotyczy. Woła za siostrą. Ta się odwraca.

– Siostro, on chciał... – ale Albert też nie wie, jak to wyrazić poprawnie i cenzuralnie. Między sobą na froncie wyrażamy to jednym słowem, ale tutaj, wobec takiej damy... Nagle jednak przypomina sobie, jak się mówiło w szkole, i dopowiada płynnie: – On chciałby wyjść, siostro.

– Ach tak – odpowiada pielęgniarzka – ale w tym celu nie musi przecież wychodzić z łóżka z nogą w gipsie. To co panu podać? – zwraca się do mnie.

Pytanie to wprawia mnie w śmiertelne przerażenie, nie mam bowiem pojęcia, jak fachowo nazywa się te rzeczy. Siostra przychodzi mi z pomocą.

– Duża czy mała potrzeba?

Co za blamaż! Jestem spocony jak mysz.

– No, więc tylko mała – bąkam zmieszany.

Bądź co bądź mam przynajmniej trochę szczęścia.

Dostaję butelkę. Kilka godzin później nie jestem już odosobniony, a do rana przyzwyczajamy się na tyle, że nie wstydzimy się prosić o to, czego potrzebujemy.

Pociąg jedzie powoli. Czasem zatrzymuje się i wyładowują zmarłych. Zatrzymuje się często.

Albert ma gorączkę. Ja czuję się jako tako, ból mi dokucza, ale gorsze jest to, że pod gipsem prawdopodobnie siedzą jeszcze wszy. Swędzi mnie okropnie, a nie mogę się podrapać.

Drzemiemy po całych dniach. Krajobraz wchodzi po cichu przez okna. Trzeciej nocy jesteśmy w Herbesthal. Dowiaduję się od

siostry, że Albert ma być wyładowany na następnej stacji, z powodu gorączki.

– Jak daleko jedzie ten pociąg? – pytam.

– Do Kolonii.

– Albercie, zostaniemy razem – mówię – uważaj.

Podczas następnego obchodu siostry wstrzymuję oddech i się nadymam. Twarz nabrzmiwa mi i czerwienieje. Siostra zatrzymuje się przy mnie.

– Boli pana?

– Tak – jęczę – ni stąd, ni zowąd.

Podaje mi termometr i rusza dalej. Musiałbym nie pobierać nauk u Kata, żeby nie wiedzieć, co należy zrobić. Żołnierskie termometry nie są obliczone na używanie przez doświadczone wojsko. Chodzi tylko o to, żeby słupek rtęci, zatrzymujący się w cienkiej rurce, podniósł się i już nie opadł.

Wtykam termometr pod pachę, ukośnie w dół, i pstrykam w niego wiele razy palcem wskazującym. Następnie potrząsam nim, żeby rtęć poszła w górę. W ten sposób osiągam 37,9 stopnia. Tyle jednak nie wystarczy. Gdy ostrożnie przystawić płonącą zapałkę, dojdzie do 38,7 stopnia.

Kiedy wraca siostra, nadymam się, oddycham parę razy z przerwami, spoglądam na nią nieco tępym wzrokiem, wykonuję kilka niespokojnych ruchów i szepczę:

– Nie mogę już wytrzymać.

Zapisuje mnie na karteczce. Dobrze wiem, że nie zdejmą mi gipsu, jeśli nie będzie to konieczne.

Wyładowują nas razem, Alberta i mnie.

Leżymy w katolickim szpitalu, w tym samym pokoju. To wielkie szczęście, bo katolickie szpitale znane są z dobrej opieki i dobrego jedzenia. Lazaret zajmują w komplecie ranni z naszego pociągu, w tym wiele ciężkich przypadków. Dziś nie trafimy już na badanie, bo jest za mało lekarzy. Korytarzem bez przerwy przejeżdżają płaskie wózki na gumowych kółkach, na każdym leży ktoś wyciągnięty jak długi. Cholerna pozycja – leżeć tak wyciągniętym – dobra, tylko kiedy człowiek śpi.

Noc jest bardzo niespokojna. Nikt nie może spać. Nad ranem zapadamy w lekką drzemkę. Budzę się, kiedy robi się jasno. Drzwi są otwarte, z korytarza słyszę głosy. Także inni się budzą. Jeden z tych, którzy są już od paru dni, wyjaśnia nam, o co chodzi.

– Tu, na górze, siostry modlą się co rano w korytarzu. Nazywają to nabożeństwem porannym. Żebyście wy też coś z tego mieli, drzwi zostawiają otwarte.

Na pewno robią to w dobrej wierze, ale nas bolą kości i głowa.

– Co za bzdury – mówię – akurat gdy człowiekowi udało się trochę zdrzemnąć.

– Tu, na górze, leżą lżejsze przypadki, dlatego tak robią – odpowiada.

Albert pojękuje.

– Cicho tam – wołam rozwścieczony.

Po minucie zjawia się jedna z sióstr. W biało-czarnym stroju wygląda jak elegancki podgrzewacz do kawy.

– Siostro – odzywa się ktoś – proszę jednak zamknąć drzwi.

– Modlimy się, dlatego drzwi są otwarte – pada odpowiedź.

– Ale my chcemy spać.

– Modlitwa jest lepsza od snu. – Siostra uśmiecha się niewinnie. – Zresztą jest już siódma.

Znów rozlega się jęczenie Alberta.

– Zamknąć drzwi! – warczę.

Jest naprawdę zdumiona, czegoś takiego nie potrafi chyba pojąć.

– Przecież modlimy się także za was.

– Wszystko jedno! Zamknąć drzwi!

Znika, zostawiając drzwi otwarte. Znów rozlega się litania. Rozwścieczony mówię:

– Teraz liczę do trzech. Jeśli do tego czasu nie skończą, to czymś rzucę.

– Ja też – oświadczam inny.

Liczę do pięciu. Następnie biorę butelkę, celuję w drzwi i wyrzucam na korytarz. Butelka rozpryskuje się na tysiąc kawałków. Modlitwa się urywa. Pojawia się gromada sióstr, psioczą na nas, ale z umiarem.

– Zamknąć drzwi! – wrzeszczymy.

Wynoszą się z sali. Młoda, która zaglądała poprzednio, wychodzi ostatnia.

– Poganie – szczebiocze, ale zamyka drzwi.

Zwyciężyliśmy.

W południe zjawia się inspektor lazaretu i naciera nam uszu. Straszy uwięzieniem w twierdzy i nie tylko. Tyle że inspektor lazaretu, tak samo jak inspektor urzędu prowiantowego, jest wprawdzie kimś, kto nosi długą szpadę i akselbanty, ale to właściwie urzędnik i dlatego nawet rekrut nie traktuje go

poważnie. Pozwalamy mu zatem gadać. Co więcej może nam się zdarzyć?

– Kto rzucił butelką? – pyta.

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy się nie zgłosić, ktoś mówi:

– Ja!

Podnosi się mężczyzna o potarganej brodzie. Wszyscy są ciekawi, dlaczego się zgłosił.

– Pan?

– Tak jest. Zdenerwowałem się, bo zbudzono nas bez potrzeby, straciłem panowanie nad sobą i nie wiedziałem, co robię – recytuje jak nakręcony.

– Jak się pan nazywa?

– Rezerwista Josef Hamacher.

Inspektor wychodzi.

Wszyscy chcą zaspokoić ciekawość.

– Czemu w ogóle się zgłosiłeś? Przecież to nie ty!

Tamten szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Nie szkodzi. Mam wariackie papiery.

To naturalnie każdy rozumie. Ktoś, kto ma wariackie papiery, może robić, co chce.

– Tak – opowiada – miałem postrzał w głowę i potem wystawiono mi atest, że przejściowo jestem niepoczytalny. Od tej pory mam święty spokój. Nie wolno mnie drażnić. Nic więc mi się nie stanie. Tamten na dole pewnie strasznie się złości. A zgłosiłem się, bo spodobało mi się to rzucanie. Jeśli one jutro znowu otworzą drzwi, to i my będziemy rzucać znowu.

Jesteśmy ogromnie uradowani. Z Josefem Hamacherem w swoim gronie możemy teraz poważać się na wszystko.

Potem przyjeżdżają po nas te bezszelestne płaskie wózki.
Opatrunki są posklejane. Ryczymy jak zwierzęta.

W naszej izbie leży ośmiu ludzi. Najciężej ranny jest Peter o czarnych kędzierzawych włosach – ma skomplikowany postrzał w płuca. Franz Wächter obok niego ma strzaskane kulą ramię, które z początku nie wygląda wcale tak źle. Trzeciej nocy woła nas jednak, żebyśmy zadzwonili na siostrę, bo wydaje mu się, że nasiąka krwią.

Dzwonię co sił. Siostra z nocnego dyżuru się nie zjawia. Wieczorem miała przez nas sporo roboty, bo wszystkim zmieniono opatrunki i dlatego wróciły bóle. Jeden chciał kłaść nogę tak, drugi inaczej, trzeci domagał się wody, czwartemu miała przetrzepać poduszkę; w końcu gruba stara siostra mruknęła coś rozeźlona i trzasnęła drzwiami. Pewnie teraz znowu podejrzewa coś takiego, bo nie przychodzi.

Czekamy. W końcu Franz mówi:

– Zadzwon jeszcze raz.

Tak robię. Siostra w dalszym ciągu się nie zjawia. W naszym skrzydle w nocy dyżuruje tylko jedna siostra, może jest akurat zajęta w innych pokojach.

– Jesteś pewien, Franz, że krwawisz? – pytam. – Bo jak nie, to oberwie nam się znowu.

– Mam mokro. Nie mógłby któryś zapalić światła?

Także to okazuje się niemożliwe. Przełącznik jest przy drzwiach, a nikt nie może wstawać. Trzymam na dzwonku kciuk tak długo, aż przestaję go czuć. Może siostra przysnęła. Mają

przecież bardzo dużo roboty i wszystkie są przepracowane, już w ciągu dnia. Do tego dochodzą te ciągłe modły.

– Mamy rzucać butelkami? – pyta Josef Hamacher, który ma wariackie papiery.

– Skoro nie słyszy dzwonka, tego nie usłyszysz tym bardziej.

Wreszcie drzwi się otwierają. Staje w nich mrukliwa stara. Kiedy zauważa, co się dzieje z Franzem, natychmiast zaczyna jej się śpieszyć i woła:

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Przecież dzwoniliśmy. Tu nikt nie może chodzić.

Franz miał silny krwotok, teraz jest opatrywany. Rano widzimy, że jego twarz stała się bardziej żółta i spiczasta, a przecież wieczorem wyglądał jeszcze na prawie zdrowego. Teraz siostry zaglądają częściej.

Czasami przychodzą także siostry pomocnicze z Czerwonego Krzyża. Są dobroduszne, lecz bywa, że trochę niezgrabne. Podczas zmiany pościeli często sprawiają rannym ból, a potem tak są wystraszone, że zadają jeszcze więcej bólu.

Na zakonnicach można bardziej polegać. One wiedzą, jak zabrać się do rzeczy, ale wolelibyśmy, żeby były trochę weselsze. Niektóre jednak mają poczucie humoru i są wspaniałe. Kto nie wyświadczyłby każdej przysługi siostrze Libertynie, tej cudownej siostrze, która w całym skrzydle roztacza dobry humor, ledwo się pojawi? A takich jest więcej. Skoczylibyśmy za nimi w ogień. Naprawdę nie można się uskarżać, zakonnice traktują tutaj człowieka wprost jak cywila. Natomiast samo wspomnienie lazaretu garnizonowego budzi grozę.

Franz Wächter nie odzyskuje sił. Pewnego dnia zabierają go i już nie wraca do sali. Josef Hamacher wie, co się stało.

– Już go nie zobaczymy. Zanieśli go do kaplicy.

– Do jakiej znowu kaplicy? – pyta Kropp.

– No, do umieralni.

– A to co znowu?

– To taki mały pokój w rogu skrzydła. Jak ktoś ma lada dzień wykitować, to go tam przenoszą. W środku są dwa łóżka. Wszędzie nazywają to tylko umieralnią.

– A dlaczego tam ludzi przenoszą?

– Żeby potem nie mieć tyle roboty. Tak jest zresztą wygodniej, bo pokój jest tuż przy windzie do kostnicy. Możliwe, że także dlatego, żeby nikt nie umierał w salach ogólnych, z powodu innych. Łatwiej też nad takim czuwać, kiedy sam leży.

– A on?

Josef wzrusza ramionami.

– Zazwyczaj niewiele już do niego dociera.

– I każdy o tym wie?

– Ci, co są tutaj dłużej, oczywiście wiedzą.

Po południu na łóżku Franza Wächtera leży już ktoś inny. Kilka dni później zabierają też tego nowego. Josef wykonuje znaczący ruch ręką. Za naszego pobytu przychodzi i odchodzi jeszcze paru innych.

Czasami przy łóżkach siedzą krewni, którzy płaczą albo mówią cicho i z zakłopotaniem. Pewna starsza kobieta za nic nie chce odejść, ale nie może przecież zostać na noc. Następnego ranka zjawia się bardzo wcześnie, ale nie dość wcześnie, bo gdy

podchodzi do łóżka, leży już w nim ktoś inny. Kobieta musi więc przejść do kostnicy, a nam rozdaje jabłka, które przyniosła.

Także mały Peter czuje się gorzej. Jego wykres temperatury źle wygląda i pewnego dnia obok łóżka pojawia się płaski wózek.

– Dokąd? – pyta Peter.

– Do sali opatrunkowej.

Podnoszą go i umieszczają na wózku. Siostra popełnia jednak ten błąd, że zabiera z wieszaka jego mundur i kładzie również na wózku, żeby dwa razy nie chodzić. Peter od razu orientuje się w sytuacji i usiłuje stoczyć się z pojazdu.

– Ja zostaję tutaj!

Przytrzymują go siłą. Mimo przestrzelonego płuca krzyczy cicho:

– Nie chcę do umieralni.

– Przecież idziemy do sali opatrunkowej.

– To na co wam mój mundur? – Nie może już mówić. Ochryplym podnieconym szeptem dodaje: – Zostać tutaj!

Nie odpowiadają, tylko go wywożą. Przed drzwiami próbuje się jeszcze podnieść. Jego czarna kędzierzawa głowa trzęsie się, oczy są pełne łez.

– Ja wrócę! – woła. – Ja wrócę!

Drzwi zamykają się. Wszyscy jesteśmy podenerwowani, ale milczymy. W końcu odzywa się Josef:

– Niejeden już tak mówił. A kiedy człowiek już się tam znajdzie, to jednak nie wytrzymuje.

Mam operację i potem rzygam przez dwa dni. Kości nie chcą się zrosnąć, jak zdradza mi sekretarz ordynatora. U kogoś innego

zrosły się niewłaściwie; wtedy się je łamie. To dopiero nieszczęście.

Wśród nowo przywiezionych pacjentów jest dwóch młodych żołnierzy z platfusem. Podczas wizyty ordynator odkrywa ich i zatrzymuje się przy nich uradowany.

– Pozbędziemy się tego – oświadcza – zrobimy małą operację i będziecie mieć zdrowe stopy. Proszę ich zapisać, siostró.

Po jego wyjściu Josef, który wie wszystko, ostrzega:

– Tylko nie dajcie się zoperować! Stary ma na tym punkcie naukowego bzika. Wziąłby pod nóż każdego, kogo się da. Zoperuje wam platfusa i rzeczywiście będziecie mieć z tym spokój; ale za to będziecie też mieć szpotawe stopy i do końca życia będziecie chodzić o lasce.

– A co można zrobić? – pyta jeden.

– Powiedzieć „nie”! Jesteście tutaj po to, żeby leczyć postrzały, a nie platfusy! W polu też je mieliście, prawda? No właśnie! Teraz jeszcze możecie chodzić, ale kiedy stary weźmie was pod nóż, będziecie kalekami. On potrzebuje królików doświadczalnych, dlatego wojna to dla niego, jak i dla wszystkich lekarzy, wspaniały czas. Popatrzcie sobie na oddział na dole; pełza tam z tuzin ludzi, których operował. Niektórzy są tutaj od czternastego i piętnastego, całe lata. Ani jeden nie potrafi chodzić lepiej niż przedtem, prawie wszyscy chodzą gorzej, większość jest jeszcze w gipsie. Co pół roku łapie ich znowu i łamie im kości na nowo, i za każdym razem ma już być dobrze. Miejcie się na baczności, nie wolno mu was tknąć, jeśli powiecie „nie”.

– Ach, człowieku – odzywa się znużonym głosem jeden z tych nowych – lepsze stopy niż czaszka. Wiesz, co dostaniesz, kiedy

znowu trafisz na front? Niech robią ze mną, co chcą, bylebym wrócił do domu. Lepsza szpotawa stopa niż śmierć.

Ale drugi, młody człowiek jak my, nie chce. Następnego ranka stary każe ich znieść na dół i tak długo na nich wrzeszczy, aż się zgadzają. Co innego mają robić! Są tylko zwykłymi żołnierzami, a on grubą rybą. Przywożą ich z powrotem zagipsowanych i zachloroformowanych.

Z Albertem niedobrze. Zabierają go i amputują mu całą nogę, ucinają tuż przy biodrze. Prawie w ogóle się już nie odzywa. Któregoś dnia mówi, że gdyby miał swój rewolwer, toby się zastrzelił.

Przychodzi nowy transport. Do naszej izby trafiają dwaj ociemniali. Jeden z nich to młodziutki muzyk. Siostry nigdy nie mają przy sobie noża przy podawaniu mu jedzenia; kiedyś już wyrwał nóż pielęgniarce. Pomimo całej ostrożności zdarza się incydent. Wieczorem przy kolacji karmiąca go siostra zostaje wezwana do innego pacjenta i na ten czas odstawia na jego stolik talerz i widelec. Ślepiec wymacuje widelec, chwytą go i wbija sobie z całej siły w okolicy serca, a następnie bierze but i uderza nim w uchwyt najmocniej, jak potrafi. Wzywamy pomocy, potrzeba aż trzech ludzi, żeby odebrać mu widelec. Tępe zęby wbiły się już głęboko. Niedoszły samobójca wymyśla nam potem przez całą noc, więc nikt nie może spać. Rano ma napad krzyku.

Znów zwalniają się łóżka. Mija dzień za dniem w bólu i strachu, jękach i rżeniu. Z faktu, że są kaplice, też już niewiele wynika, jest ich po prostu za mało, ludzie umierają

w nocy także w naszej izbie. Wszystko odbywa się szybciej niż w kalkulacjach sióstr.

Pewnego dnia gwałtownie otwierają się drzwi, wjeżdża płaski wózek, a na noszach siedzi Peter ze zmierzwioną czarną kędzierzawą czupryną, blady jeszcze i chudy, ale wyprostowany i triumfujący. Siostra Libertyna z promiennym uśmiechem pomaga mu położyć się na dawnym miejscu. Wrócił z umieralni. Od dawna uważaliśmy go za zmarłego.

Rozgląda się po pokoju.

– I co wy na to?

Nawet Josef musi przyznać, że przeżył coś takiego po raz pierwszy.

Niektórzy z nas stopniowo mogą wstawać. Także ja dostaję kule do chodzenia. Rzadko ich jednak używam; nie mogę znieść spojrzenia Alberta, kiedy kuśtykam po pokoju. Zawsze patrzy na mnie takim dziwnym wzrokiem. Dlatego wymykam się czasami na korytarz – tam mogę się swobodniej poruszać.

Piętro niżej leżą postrzały w brzuch i rdzeń kręgowy, postrzały w głowę oraz obustronnie amputowani. W skrzydle po prawej postrzały w szczękę, zatrucia gazem, postrzały w nos, uszy i szyję. W skrzydle po lewej ociemniali i postrzały w płuca, postrzały w miednicę, postrzały w stawy, w nerki, w jądra, w żołądek. Dopiero tutaj widać, w co człowiek może być trafiony.

Dwóch ludzi umiera na tężec. Skóra wtedy blednie, członki sztywnieją i w końcu żyją – długo – tylko oczy. U niektórych rannych postrzelona część ciała wisi swobodnie w powietrzu jak na szubienicy; pod raną stawia się miskę, do której kapie ropa. Co

dwie lub trzy godziny naczynie się opróżnia. Inni ludzie mają kończyny na wyciągach z ciężarkami przy łózkach. Widzę zwoje jelit, ciągle pełne kału. Sekretarz ordynatora pokazuje mi zdjęcia rentgenowskie całkowicie strzaskanych kości biodrowych, kolan i barków.

Niepodobna zrozumieć, jak nad poszarpanymi do tego stopnia ciałami mogą być jeszcze ludzkie twarze, w których życie toczy się jak co dzień. A przecież to tylko jeden lazaret, tylko jeden oddział – w Niemczech są takich setki tysięcy, setki tysięcy we Francji i setki tysięcy w Rosji. Jakże bezsensowne jest wszystko, co kiedykolwiek napisano, zrobiono, pomyślano, jeśli możliwe jest coś takiego! Na pewno wszystko zostało zełgane i nie ma znaczenia, jeśli nawet trwająca od tysiącleci kultura nie jest w stanie zapobiec przelewowi tych ogromnych strumieni krwi i istnieniu setek tysięcy takich katowni. Dopiero lazaret pokazuje, czym jest wojna.

Jestem młody, mam dwadzieścia lat; z życia nie znam jednak nic oprócz zwątpienia, śmierci, strachu i powiązania najbardziej bezsensownej powierzchowności z otchłanią cierpienia. Widzę, że narody są podjudzane przeciwko sobie i w milczeniu, nieświadomie, idiotycznie, posłusznie, niewinnie się zabijają. Widzę, że najmądrzejsze umysły świata wynajdują broń i słowa, żeby to wszystko stało się jeszcze bardziej wyrafinowane i trwało dłużej. A wraz ze mną widzą to wszyscy ludzie w moim wieku tutaj i po tamtej stronie, na całym świecie, wraz ze mną przeżywa to moje pokolenie. Co powiedzą nasi ojcowie, gdy kiedyś staniemy przed nimi i zażądamy wyjaśnień? Czego oczekują od nas, kiedy nadejdzie czas bez wojny? Przez całe lata naszym zajęciem było

zabijanie – była to nasza pierwsza praca w życiu. Nasza wiedza o życiu ogranicza się do śmierci. A co ma się dzieć potem? I co z nas wyrośnie?

Najstarszy w naszej izbie jest Lewandowski. Ma czterdzieści lat i leży w szpitalu z ciężkim postrzałem w brzuch już od dziesięciu miesięcy. Dopiero w ostatnich tygodniach wylizał się na tyle, że skulony może kuśtykać po pokoju.

Od kilku dni jest bardzo pobudzony. Żona, mieszkająca w jakiejś pipidówce w Polsce, napisała do niego, że uzbierała dość pieniędzy na bilet i przyjedzie w odwiedziny.

Jest już w drodze i może się zjawić lada dzień. Lewandowskiemu przestało smakować jedzenie, po przełknięciu kilku kęsów rozdaje nawet czerwoną kapustę ze smażoną kiełbasą. Ciągłe chodzi po pokoju z listem w ręku, każdy czytał go już dziesięć razy lub więcej, stemple pocztowe były już sprawdzane nie wiadomo jak często, od plam tłuszczu i odcisków palców pismo jest prawie nieczytelne. Kończy się więc tak, jak się skończyć musiało: Lewandowski dostaje gorączki i musi wracać do łóżka.

Nie widział żony dwa lata. Ta urodziła w międzyczasie dziecko, które ma przywieźć. Coś innego zaprzęta jednak myśli Lewandowskiego. Miał nadzieję, że dostanie przepustkę, kiedy przyjedzie jego stara, bo to przecież jasne: bardzo dobrze jest się zobaczyć, ale mając przy sobie żonę po tak długim czasie, chciałoby się też, jeśli się da, czegoś więcej.

Lewandowski omawiał z nami to wszystko godzinami, bo w wojsku, gdy chodzi o takie sprawy, nie ma tajemnic. Nikt

zresztą nie dostrzega w tym niczego niestosownego. Ci z nas, którym wolno już wychodzić, podpowiedzieli mu, gdzie w mieście są idealne zakątki, zieleńce i parki, tam nikt by mu nie przeszkadzał, jeden słyszał nawet o jakimś pokoiku do wynajęcia.

Ale jaki z tego wszystkiego pożytek, gdy Lewandowski leży w łóżku i się zamartwia. Jeśli będzie musiał przepuścić tę okazję, nic w życiu nie będzie mu już sprawiać przyjemności. Pocieszamy go i obiecujemy, że jakoś poradzimy sobie z tym kłopotem.

Następnego popołudnia zjawia się jego żona, drobna, pomarszczona istota o zalęknionych, niespokojnych ptasich oczach, w swego rodzaju czarnej mantylce z kryzami i tasiemkami, diabli wiedzą, po kim to odziedziczyła.

Onieśmielona mruczy coś cicho i zatrzymuje się w drzwiach wystraszona, że jest nas sześciu chłopów.

– No, Mario – mówi Lewandowski, niebezpiecznie poruszając grdyką przy przełykaniu – spokojnie możesz wejść, oni ci nic nie zrobią.

Kobieta obchodzi łóżka i podaje rękę każdemu z nas. Potem pokazuje dziecko, które tymczasem narobiło w pieluchy. Ma przy sobie dużą torbę, wyszywaną perełkami, z której wyciąga świeżą pieluchę i wprawnie przewija dziecko. W ten sposób przełamuje początkowe onieśmielenie i oboje zaczynają rozmawiać.

Lewandowski jest okropnie zdenerwowany, z nieszczęśliwą miną zerka co rusz okrągłymi wyłupiastymi oczyma w naszą stronę.

Pora jest korzystna, obchód lekarski już był, co najwyżej któraś z siostr mogłaby jeszcze zajrzeć do pokoju. Dlatego jeden z nas wychodzi jeszcze raz – na zwiady. Wraca i kiwa głową.

– Nie ma psa z kulawą nogą. No to powiedz jej wreszcie, Johann, i pośpiesz się.

Oboje rozmawiają w swoim języku. Kobieta podnosi wzrok trochę zaczerwieniona i zmieszana. Uśmiechamy się dobroduszenie i wykonujemy lekceważące gesty, że nie ma w tym przecież nic złego! Niech diabli porwą wszelkie uprzedzenia, stworzono je na inne czasy, tutaj leży stolarz Johann Lewandowski, żołnierz, z którego wojna zrobiła kalekę, a to jest jego żona, kto wie, kiedy ją znowu zobaczy, chce ją mieć i będzie ją miał, kropka.

Dwóch ludzi staje przed drzwiami, żeby zatrzymać i zająć siostry, gdyby przypadkiem chciały zajrzeć do naszego pokoju. Mają uważać mniej więcej przez kwadrans.

Lewandowski może leżeć tylko na boku, dlatego jeden z nas podsuwa mu pod plecy kilka poduszek, Albert dostaje dziecko do trzymania, następnie odwracamy się trochę, czarna mantylka znika pod kołdrą, a my zaczynamy rżnąć w skata głośno i z użyciem różnych powiedzonek.

Wszystko przebiega pomyślnie. Mam w ręku niespotykane solo treflowe z czterema, które powinno z grubsza wyjść. Skupiając się na grze, zapominamy prawie o Lewandowskim. Po jakimś czasie dziecko zaczyna popłakiwać, mimo że Albert rozpaczliwie je kołysze. Potem rozlega się jakiś cichy chrzęst i szelest, a gdy mimochodem spoglądamy w górę, widzimy, że dziecko ma już butelkę w ustach i jest z powrotem na rękach u matki. Akcja więc się powiodła.

Czujemy się teraz jak wielka rodzina, kobieta naprawdę się rozruszała, a Lewandowski leży na swoim łóżku spocony i promieniejący zadowoleniem.

Rozpakowuje wyszywaną perełkami torbę, pojawia się parę ładnych kielbas, Lewandowski bierze do ręki nóż jak bukiet kwiatów i kroi pęta na kawałki. Szerokim gestem wskazuje nas – a wtedy drobna, pomarszczona kobieta wędruje od jednego do drugiego, uśmiecha się do nas i rozdziela kielbasę, teraz wydaje się całkiem gładka. Mówimy do niej „mateczko”, a ona cieszy się i przetrzepuje nam poduszki.

Po kilku tygodniach muszę chodzić co rano do instytutu Zandera. Tam przypinają mi nogę i muszę nią poruszać. Ramię zostało wyleczone dawno temu.

Z frontu przyjeżdżają nowe transporty. Opatrunków nie robi się już z materiału, tylko z białego elastycznego papieru. Materiałów opatrunkowych zaczęło po prostu brakować.

Kikut Alberta goi się dobrze. Rana prawie się zamknęła. Za kilka dni mają go zabrać do protezowni. W dalszym ciągu mało mówi i jest o wiele poważniejszy niż dawniej. Często milknie w środku rozmowy i patrzy tępo przed siebie. Gdyby nie leżał z nami, dawno by ze sobą skończył. Teraz jednak najgorsze już za nim. Czasem nawet przygląda się grającym w skata.

Dostaję urlop wypoczynkowy.

Matka nie chce mnie potem puścić. Jest taka słaba. Wszystko wygląda jeszcze gorzej niż ostatnim razem.

Potem pułk mnie wzywa i wracam na front.

Pożegnanie z przyjacielem Albertem Kroppem przychodzi mi z trudem. Ale jak się jest w wojsku, człowiek uczy się z czasem takich pożegnań.

XI

Przestaliśmy liczyć tygodnie. Kiedy przyjechałem na front, była zima i grudy zmrożonej ziemi wyrzucane przy uderzeniach granatów bywały prawie tak samo niebezpieczne jak odłamki. Teraz drzewa są znowu zielone. Nasze życie toczy się między frontem a barakami. Częściowo przyzwyczailiśmy się już do tego, wojna jest przyczyną śmierci jak rak i gruźlica, jak grypa i czerwotka. Tyle że zgony zdarzają się o wiele częściej, są bardziej różnorodne i okrutniejsze.

Nasze myśli są jak glina, ugniatane zmiennością dni – są dobre, kiedy mamy spokój, i martwe, kiedy jesteśmy pod ostrzałem. Pola pełne lejów na zewnątrz i w środku.

Wszyscy są tacy, nie tylko my tutaj – nie liczy się, co było wcześniej, człowiek naprawdę już tego nie pamięta. Różnice stworzone przez wykształcenie i wychowanie są prawie zamazane i prawie już niedostrzegalne. Czasami pozwalają lepiej wykorzystać pewne sytuacje, ale bywa też, że komuś trudniej się pozbierać, bo wzbudzają opory, które najpierw trzeba przezwyciężyć. Wydaje się, że wcześniej byliśmy monetami z różnych krajów, które przetopiono i wszystkie odcisnięto w tej samej matrycy. Żeby wychwycić różnice, trzeba bardzo dokładnie zbadać materiał. My jesteśmy przede wszystkim żołnierzami,

a dopiero w drugiej kolejności w specyficzny i zawstydzający sposób pojedynczymi ludźmi.

Powstaje wielkie braterstwo, osobliwie łączące nutę koleżeństwa z pieśni ludowych, poczucie solidarności więźniów i rozpaczliwe wzajemne dodawanie sobie otuchy przez skazanych na śmierć w takie życie, które wznosi się wśród niebezpieczeństw ponad napięcie i opuszczenie śmierci i pozwala przez chwilę wykorzystywać zyskane godziny w zupełnie niepatetyczny sposób. Jest ono heroiczne i banalne, gdyby je chciało wartościować – ale kto tego chce?

Widać to choćby w zachowaniu Tjadena, który po ogłoszeniu ataku wroga w szalonym pośpiechu wyjada grochówkę ze słoniną, bo przecież nie wie, czy będzie jeszcze żył za godzinę. Długośmy dyskutowali, czy to słuszne czy nie. Kat mówi, że nie, bo trzeba się liczyć z postrzałem w brzuch, co przy pełnym żołądku niesie większe zagrożenie niż przy pustym.

Takie rzeczy stanowią dla nas problem, traktujemy je poważnie, nie może zresztą być inaczej. Życie tutaj na granicy śmierci ma niesamowicie prostą linię, ogranicza się do tego, co najniezbędniejsze, cała reszta spoczywa w tępym uśpieniu – na tym polega nasz prymitywizm i nasz ratunek. Gdybyśmy wdawali się w szczegóły, już dawno byśmy popadli w obłęd, zdezerterowali lub zginęli. Przypomina to ekspedycję polarną – każdy przejaw życia ma służyć jedynie jego podtrzymaniu i na to musi być nastawiony. Wszystko inne jest niedopuszczalne, bo kosztowałoby niepotrzebnie utratę sił. To dla nas jedyny sposób ratunku: często siedzę przed samym sobą jak przed kimś obcym, gdy w cichych godzinach tajemniczy odblask dawnego życia niczym matowe

lustro stawia poza mną kontury mej obecnej egzystencji, i dziwię się wtedy, jak owa nienazywalna aktywność, zwana życiem, przystosowała się do tego kształtu. Wszelkie inne przejawy ogarnął sen zimowy, tylko życie stoi bez przerwy na czatach, by ostrzec przed zagrożeniem ze strony śmierci – zrobiło z nas myślące zwierzęta, żeby dać nam do ręki broń instynktu – pograżyło nas w otępieniu, żebyśmy nie załamali się w obliczu grozy, która przejęłaby nas, gdybyśmy myśleli jasno i świadomie – wzbudziło w nas zmysł koleżeństwa, żebyśmy uniknęli otchłani opuszczenia – nauczyło nas obojętności dzikusów, żebyśmy mimo wszystko odczuwali każdy pozytywny moment i gromadzili te chwile jako rezerwę przed szturmem nicości. Dzięki temu żyjemy zamkniętym, twardym życiem na samej powierzchni i tylko czasami jakieś zdarzenie rzuca iskrę. Wtedy jednak niespodziewanie przebija się płomień ciężkiej, okropnej tęsknoty.

Te niebezpieczne chwile pokazują nam, że przystosowanie jest jednak sztuczne, że nie jest po prostu spokojem, tylko najostrzejszym napięciem, którego celem jest spokój. Zewnętrznie, pod względem form życiowych, prawie nie różnimy się od Murzynów z buszu; ale gdy oni zawsze mogą być tacy, bo po prostu tacy są i poprzez napięcie sił duchowych co najwyżej rozwijają się dalej, u nas jest odwrotnie: nasze wewnętrzne siły są napięte nie w celu dalszego, tylko wstecznego rozwoju. Tamci są tacy z braku napięcia i na zasadzie oczywistości, my natomiast jako maksymalnie napięci i sztuczni.

A nocą, budząc się ze strachem, człowiek bezsilny i wydany na pastwę napływających widziadeł sennych czuje, jak wątła jest ostoja i granica oddzielająca nas od ciemności – jesteśmy małymi

płomykami, prowizorycznie osłoniętymi słabymi ścianami od niosącej rozpad i bezsens burzy, w której migoczemy, a czasem niemal toniemy. Kiedy stłumiony zgiełk bitewny otacza nas kołem, kulimy się i wielkimi oczami wpatrujemy w noc. Pocieszającym odczuciem jest dla nas tylko oddech śpiących kolegów i tak czekamy poranka.

Każdy dzień i każda godzina, każdy granat i każdy zmarły ścierają tę wątłą ostoję, a lata niszczą ją szybko. Rozglądam się wokół i widzę już, jak stopniowo się wali.

Na przykład ta głupia historia z Deteringiem.

Detering był jednym z tych, którzy trzymali się bardzo na uboczu. Jego nieszczęście polegało na tym, że zobaczył w ogrodzie wiśnię. Wracaliśmy właśnie z frontu i to drzewo ni stąd, ni zowąd pojawiło się przed nami o świcie w pobliżu nowej kwatery przy zakręcie drogi. Nie miało liści, ale było jedną wielką burzą kwiecia.

Wieczorem nikt Deteringa nie widział. W końcu zjawił się z kilkoma gałązkami wiśni w ręku. Żartowaliśmy z niego, pytając, czy wybiera się w zaloty. Nie odpowiedział, tylko się położył. W nocy usłyszałem, że hałasuje, sądząc po odgłosach, pewnie się pakował. Wietrząc nieszczęście, podszedłem do niego. Udawał, że nic się nie dzieje.

- Nie rób głupstw, Detering – powiedziałem do niego.
- Coś ty, tylko nie mogę spać.
- Po co przyniosłeś te gałązki wiśni?
- Chyba wolno mi jeszcze przynieść gałązki wiśni, kiedy mam ochotę – odrzekł nieprzystępnie, a po chwili dodał: – W domu

mam duży sad z wiśniami. Kiedy kwitną, wyglądają ze strychu jak jedno wielkie prześcieradło, takie białe. I właśnie teraz jest ich pora.

– Może wkrótce dostaniesz urlop. Możliwe też, że ciebie jako rolnika odeślą do domu.

Kiwa głową, ale jest nieobecny myślą. Kiedy ci chłopci nabijają sobie czymś głowę, mają taki dziwny wyraz twarzy, trochę z krowy, a trochę z tęskniącego boga, na wpół głupkowaty, a na wpół porywający. Żeby odwieść go od tych myśli, domagam się kawałka chleba. Daje mi bez zastrzeżeń. To podejrzane, bo zwykle jest skąpy. Dlatego w dalszym ciągu zachowuję czujność. Nic się jednak nie dzieje, rano jest taki sam jak zwykle.

Prawdopodobnie zauważył, że go obserwowałem. Mimo to dwa dni później znika. Kiedy to rano odkrywam, nie mówię nic nikomu, żeby miał czas na ucieczkę, może mu się uda. Paru ludzi dotarło już nawet do Holandii.

Podczas apelu wychodzi jednak na jaw, że go nie ma. Po tygodniu dowiadujemy się, że został złapany przez żandarmerię, tę pogardzaną przez wszystkich policję wojskową. Zdecydował się uciekać w kierunku Niemiec – oczywiście nie miał szans – i oczywiście tak samo bardzo głupio zabrał się w ogóle do rzeczy. Bo każdy mógł się zorientować, że ucieczka była tylko wynikiem tęsknoty za domem i chwilowego chaosu w jego głowie. Co z tego rozumieją członkowie sądu wojennego sto kilometrów za linią frontu? – O Deteringu jużesmy nie usłyszeli.

To niebezpieczne, nagromadzone wybuchu jednak także w inny sposób – jak z przegrzanych kotłów parowych. Z takich spraw

muszę też opowiedzieć, jaki koniec spotkał Bergera.

Nasze okopy od dawna są podziurawione i mamy elastyczną linię frontu, tak że właściwie nie prowadzimy już wojny pozycyjnej. Po przejściu natarcia i kontrnatarcia pozostaje porozrywana linia i walka między poszczególnymi lejami. Przednia linia została przerwana i w wielu lejach potworzyły się gniazda oporu, z których toczy się walkę.

Jesteśmy w jednym takim leju, z boku siedzą Anglicy, rozwijają flankę i dostają się na nasze tyły. Zostajemy okrążeni. Trudno się nawet poddać, mgła i dym falują ponad nami, nikt by nie zauważył, że chcemy skapitulować, a może wcale tego nie chcemy, człowiek sam tego nie wie w takich momentach. Słyszymy zbliżające się wybuchy granatów ręcznych. Nasz karabin maszynowy ostrzeliwuje półkole przed nami. Woda do chłodzenia wyparowuje, podajemy więc szybko w krąg pojemniki, każdy do nich sika, dzięki czemu mamy znowu trochę wody i możemy dalej strzelać. Ale wybuchy za nami zbliżają się coraz bardziej. Za kilka minut będziemy zgubieni.

Wtem zaczyna czekać drugi karabin maszynowy, ustawiony na najbliższą odległość. Berger przywłókł go z sąsiedniego leju. A teraz z tyłu zaczyna się kontrnatarcie, jesteśmy uratowani i znowu mamy kontakt z resztą naszych sił.

Gdy potem znajdujemy w miarę bezpieczne schronienie, jeden z roznosicieli jedzenia opowiada, że w odległości kilkuset metrów leży ranny pies meldunkowy.

– Gdzie? – pyta Berger.

Tamten opisuje mu miejsce. Berger wybiera się w drogę, żeby zwierzę przynieść albo je zastrzelić. Jeszcze pół roku temu nie

zaprzętałby sobie tym głowy, tylko zachował rozsądek. Próbuje go powstrzymać, ale gdy rzeczywiście wychodzi, możemy powiedzieć o nim tylko „wariat!” i pozwolić mu robić, co chce. Takie napady amoku frontowego stają się bowiem niebezpieczne, kiedy nie można kogoś od razu rzucić na ziemię i przytrzymać. A Berger ma metr osiemdziesiąt wzrostu, to najsilniejszy człowiek w kompanii.

Faktycznie oszalał, bo musi się przedrzeć przez ścianę ognia – ale ugodził go i opętał ów błysk szaleństwa czyhający gdzieś nad nami wszystkimi. U innych wygląda to tak, że zaczynają się miotać, że uciekają, ba, jeden próbował ciągle rękami, nogami i ustami zakopać się w ziemi.

Naturalnie wielu symuluje, ale właściwie także symulowanie jest już znakiem. Berger, który chce załatwić psa, zostaje ściągnięty z pola z postrzałem w miednicę, a jeden z ludzi, którzy go transportują, obrywa przy okazji w łydkę.

Müller nie żyje. Z najbliższej odległości wpakowano mu w żołądek kulę świetlną. Żył jeszcze całkowicie przytomny pół godziny, cierpiąc straszliwe bóle. Zanim umarł, przekazał mi swój portfel i zostawił w spadku buty – te same, które odziedziczył wtedy po Kemmerichu. Noszę je, bo pasują na mnie w sam raz. Po mnie dostanie je Tjaden, obiecałem mu już.

Co prawda udało nam się pogrzebać Müllera, ale długo tu chyba spokojnie nie poleży. Nasze linie mają być skrócone. Za wiele świeżych pułków angielskich i amerykańskich stoi po tamtej stronie. Za dużo jest wołowiny i białej mąki pszennej. I za wiele nowych dział. Za wiele samolotów.

A my jesteśmy chudzi i wygłodzeni. Nasze jedzenie jest tak kiepskie i uzupełniane tyloma produktami zastępczymi, że od tego chorujemy. Właściciele fabryk w Niemczech stali się bogatymi ludźmi – nam czerwotka harata jelita. W latrynach ciągle wielki tłok – ludziom w domu należałoby pokazać te szare, żółte, nędzne, zrezygnowane twarze tutaj, te skulone postacie, którym kolka wyciska krew z ciała i które w najlepszym razie uśmiechają się do siebie wykrzywionymi, drżącymi z bólu wargami: „Nie ma sensu podciągać spodni, bo zaraz znowu...”

Nasza artyleria się wystrzelała – brakuje amunicji – a lufy są tak zużyte, że o celności nie ma mowy; niektóre pociski padają blisko nas, taki jest rozrzut. Mamy za mało koni. Nasze świeże oddziały to anemiczni chłopcy, którzy potrzebują odpoczynku, nie są w stanie dźwigać tornistra, ale potrafią umierać. Tysiącami. Nie rozumieją w ogóle, czym jest wojna, idą jedynie do przodu i pozwalają się zabijać. Jeden lotnik wystrzelał dla zabawy dwie takie kompanie, właśnie świeżo wysiedli z pociągu i nie zdążyli się niczego dowiedzieć o szukaniu osłony.

– Niemcy pewnie wkrótce opustoszeją – mówi Kat.

Nie mamy nadziei, że wojna kiedyś się skończy. W ogóle nie wybiegamy myślą tak daleko. Można dostać kulę i umrzeć; można też odnieść ranę, wtedy następną stacją jest lazaret. Jeśli nie ma się amputowanej ręki albo nogi, wcześniej czy później wpada się w łapy jednego z tych lekarzy sztabowych, którzy z wojennym krzyżem zasługi w dziurce od guzika mówią człowiekowi: „Co, trochę skrócona noga? Na froncie nie musicie biegać, wystarczy wam odwaga. Ten człowiek jest zdolny do służby wojskowej. Odmaszerować!”

Kat opowiada jedną z historii, jakie obiegają cały front od Wogezów po Flandrię – o lekarzu sztabowym, który podczas przeglądu poborowych wyczytuje nazwiska i kiedy wyczytany staje przed nim, mówi, nie podnosząc wzroku: „Zdolny do służby wojskowej. Potrzebujemy żołnierzy na froncie”. Staje przed nim mężczyzna z drewnianą nogą, a lekarz mówi znowu: „Zdolny do służby wojskowej”.

– I wtedy – Kat podnosi głos – tamten mówi do niego: „Drewnianą nogę już mam, ale gdy pójdę teraz na front i odstrzelą mi głowę, to każę sobie zrobić drewnianą głowę i zostanę lekarzem sztabowym”.

Wszyscy jesteśmy głęboko usatysfakcjonowani taką odpowiedzią.

Możliwe, że zdarzają się dobrzy lekarze i jest ich wielu, ale podczas setki badań każdy żołnierz trafi w końcu w łapy jednego z tych rozlicznych dostawców bohaterów, którzy starają się umieścić na swoich listach jak najwięcej „zdolnych do służby wojskowej”.

Jest sporo takich historii, przeważnie o znacznie bardziej gorzkiej wymowie. Mimo to nie mają one nic wspólnego z rebelianctwem czy defetyzmem; są uczciwe i nazywają rzeczy po imieniu, w wojsku jest bowiem bardzo dużo kłamstwa, niesprawiedliwości i podłości. Czy nie należy więc docenić faktu, że pułk za pułkiem idzie jednak do coraz bardziej beznadziejnego boju i że następuje atak za atakiem, choć linia frontu wciąż cofa się i kruszy?

Czołgi przestały być przedmiotem drwin i zaliczają się teraz do broni ciężkiej. Opancerzone pojazdy na gąsienicach zbliżają się

długim rzędem i są dla nas ucieleśnieniem grozy wojny bardziej niż cokolwiek innego.

Dział, które zasypują nas huraganowym ogniem, nie widzimy, linie atakujących wrogów to tacy sami ludzie jak my – ale te czołgi to maszyny, ich gąsienice obracają się bez końca jak koła wojny, niosą zniszczenie, kiedy bezdusznie wjeżdżają w leje i wspinają się z powrotem po ich ścianach, niepowstrzymanie, flotylla ryczących, plujących dymem czołgów, niedające się zranić, stalowe zwierzęta miażdżące martwych i rannych – kurczymy się ze strachu przed nimi w swej cienkiej skórze, wobec ich kolosalnej masy nasze ramiona wydają się słomkami, a nasze granaty zapałkami.

Granaty, kłęby gazu i flotylle czołgów – miażdżenie, pożeranie, śmierć.

Czerwonka, grypa, tyfus – duszenie, palenie, śmierć.

Okopy, lazaret, masowy grób – nie ma więcej możliwości.

Podczas jednego z ataków ginie Bertinck, dowódca naszej kompanii. Należał do tych wspaniałych oficerów frontowych, którzy w niebezpiecznych sytuacjach nie chowają się za plecami żołnierzy. Był z nami od dwóch lat i nigdy nie odniósł rany, w końcu musiało się więc coś zdarzyć. Siedzimy w jakiejś jamie i jesteśmy otoczeni. Razem z kłębami spalonego prochu zawiewa w naszą stronę smrodem oleju lub benzyny. Odkrywamy dwóch ludzi z miotaczem ognia, jeden ma na plecach skrzynkę, drugi trzyma w rękach szlauch, z którego tryska płomień. Jeśli podejda na tyle blisko, żeby nas dosięgnąć, to po nas, bo akurat w tym momencie nie możemy się wycofać.

Bierzemy ich pod ostrzał. Mimo to zbliżają się, sytuacja robi się niewesoła. Bertinck leży w jamie razem z nami. Kiedy widzi, że nie trafiamy, bo z powodu silnego ostrzału sami musimy za bardzo dbać o osłonę, bierze karabin, wyczołguje się poza jamę i celuje z podpórki w pozycji leżącej. Strzela – i w tym samym momencie kula z plaśnięciem zarywa się w ziemię tuż przy nim. Bertinck, choć trafiony, leży jednak dalej i celuje znowu – na krótko odrywa broń od ramienia, po czym przystawia ją na nowo; wreszcie trzask wystrzału. Wypuszcza z dłoni karabin, mówi „Dobrze” i zsuwa się na dno wgłębienia. Tylny z pary obsługującej miotacz jest ranny, pada na ziemię, drugiemu szlauch wyslizguje się z rąk i ogień tryska na wszystkie strony, żołnierz się pali.

Bertinck otrzymał postrzał w pierś. Po chwili odłamek urywa mu podbródek. Ten sam odłamek ma jeszcze dość siły, by rozorać Leerowi biodro. Leer, jęcząc, podpira się rękami, szybko się wykrwawia, nikt nie może mu pomóc. Po kilku minutach osuwa się bezwładnie na ziemię niczym szlauch, z którego wypływa ciecz. Co ma teraz z tego, że w szkole był bardzo dobry z matematyki!

Mijają kolejne miesiące. To lato 1918 roku jest najkrwawsze i najcięższe. Dni stoją nieuchwytnie niczym aniołowie w złocie i błękicie ponad pierścieniem zniszczenia. Każdy tutaj wie, że przegrywamy wojnę. Niewiele się o tym mówi, cofamy się, po tej wielkiej ofensywie nie będziemy już mogli kontratakować, nie mamy ludzi ani amunicji.

Ale kampania wciąż trwa – i umieranie wciąż trwa.

Lato 1918 roku. Nigdy życie w swej skromnej postaci nie wydawało się tak godne pożądania jak teraz – czerwone maki na łąkach przed naszymi kwaterami, lśniąco chrząszcze na żdźbłach trawy, ciepłe wieczory w pograżonych w półmroku, chłodnych pokojach, czarne, tajemnicze drzewa o zmierzchu, gwiazdy i przepływanie wody, marzenia i długi sen – och, życie, życie, życie!

Lato 1918 roku. Nigdy nie znosiło się w milczeniu więcej niż w chwili wyruszenia na front. Najdziksze, podniecające pogłoski o zawieszeniu broni i pokoju, jakie się pojawiły, powodują zamęt w sercach i sprawiają, że wyjazd jest trudniejszy niż kiedykolwiek!

Lato 1918 roku. Nigdy życie na froncie nie jest bardziej gorzkie i przerażające niż w godzinach ostrzału, kiedy blade twarze leżą w błocie, a dłonie zaciskają się kurczowo w jedno wielkie: Nie! Nie! Tylko jeszcze nie teraz! Nie teraz w ostatniej chwili!

Lato 1918 roku. Wiatr nadziei wiejący nad spalonymi polami, szalona gorączka niecierpliwości, rozczarowania, najboleśniejszy dreszcz śmierci, niepojęte pytanie: Dlaczego? Dlaczego to się nie kończy? I dlaczego pojawiają się te pogłoski o końcu?

Jest tutaj tylu lotników, a czują się tak pewnie, że polują na pojedynczych ludzi jak na zające. Na jeden niemiecki samolot przypada co najmniej pięć angielskich i amerykańskich. Na jednego głodnego, zmęczonego niemieckiego żołnierza w okopach przypada pięciu silnych, świeżych w okopach nieprzyjacielskich. Na jeden niemiecki komiśniak przypada pięćdziesiąt konserw mięsnych po tamtej stronie. Nie zostaliśmy pobici, bo jako

żołnierze jesteśmy lepsi i bardziej doświadczeni; zostaliśmy po prostu zgnieceni i odepchnięci przez wielokrotnie silniejszego wroga.

Mamy za sobą kilka deszczowych tygodni – szare niebo, rozpływająca się szara ziemia, szare umieranie. Ledwo wyjeżdżamy na front, wilgoć przenika przez nasze płaszcze i mundury – i tak jest przez cały czas. Nigdy nie możemy się wysuszyć. Ci, co mają jeszcze buty, obwiązują je u góry woreczkami z piaskiem, żeby gliniasta maź nie przeciekała tak szybko do środka. Karabiny oblepione stwardniałą gliną, mundury tak samo, wszystko jest płynne i się rozpływa, ciekąca, wilgotna, oleista masa, w której tu i ówdzie stoi żółta woda ze spiralnymi czerwonymi kałużami krwi, a w niej toną powoli martwi, ranni i ci, co ocaleli.

Nawałnica przetacza się ponad nami, grad odłamków wyrywa z pogmatwanej szarości i żółci piskliwe dziecięce okrzyki trafionych, a po nocach rozdarte życie jęczy coraz ciszej, zbliżając się mozolnie do milczenia.

Nasze ręce są ziemią, nasze ciała gliną, a nasze oczy kałużami. Nie wiemy, czy jeszcze żyjemy.

Potem upał wilgotny i parny jak meduza wpada do naszych jam i w jeden z tych dni późnego lata, podczas przynoszenia jedzenia, Kat wali się na ziemię. Jesteśmy wtedy sami. Opatruję jego ranę, wygląda na to, że ma strzaskaną pieszczel. Kula utkwiała dokładnie w kości i Kat jęczy zrozpaczony:

– Akurat teraz... akurat jeszcze teraz.

– Kto wie – pocieszam go – jak długo jeszcze potrwa to pieroństwo! Na razie jesteś uratowany.

Rana zaczyna mocno krwawić. Kat nie powinien zostawać sam, nie mogę więc na razie rozejrzeć się za noszami. Nie wiem też, gdzie jest w pobliżu jakiś punkt sanitarny.

Kat jest niezbyt ciężki, dlatego biorę go na plecy i wracamy na punkt opatrunkowy.

Dwa razy odpoczywamy. Transport dodatkowo sprawia Katowi silny ból. Niewiele rozmawiamy. Rozpiąłem kołnierz kurtki mundurowej i oddycham gwałtownie, pocę się, twarz mam obrzmiałą z wysiłku. Mimo to nalegam, żebyśmy szli dalej, bo teren jest niebezpieczny.

– Możesz iść dalej, Kat?

– Chyba muszę, Paul.

– To ruszajmy.

Podnoszę go, staję na zdrowej nodze i przytrzymuje się drzewa. Następnie chwytam ostrożnie zranioną nogę, Kat przemaga słabość, chwytam więc za kolano i biorę pod pachę także drugą.

Droga jest coraz trudniejsza. Czasem nadlatuje z gwizdem jakiś granat. Idę najszybciej, jak potrafię, bo krew z rany kapie na ziemię. Nie bardzo jednak możemy się kryć przed uderzeniami pocisków, bo te dawno już przeleciały, zanim udało nam się znaleźć osłonę.

Żeby przeczekać, kładziemy się w małym leju. Daję Katowi herbaty z manierki. Palimy po papierosie.

– Tak, Kat – mówię z przygnębieniem – teraz i my będziemy musieli się rozstać.

Milczy i tylko patrzy na mnie.

– Pamiętasz, Kat, jak zarekwirowaliśmy gęś? I jak mnie wyciągnąłeś z tarapatów, gdy byłem jeszcze młodym rekrutem

i pierwszy raz byłem ranny? Wtedy jeszcze płakałem. Kat, od tego czasu minęły prawie trzy lata.

Kiwa głową.

Wzbiera we mnie strach przed samotnością. Kiedy Kat zostanie odtransportowany, nie będę miał tutaj przyjaciela.

– Kat, koniecznie musimy się zobaczyć, gdy rzeczywiście nastanie pokój, zanim wrócisz.

– Sądzisz, że z tą kością mogę być jeszcze zdolny do służby wojskowej?

– Spokojnie ranę wyleczysz. Staw jest przecież w porządku. Może się jednak uda.

– Daj mi jeszcze papierosa – mówi.

– Może później moglibyśmy coś robić razem, Kat.

Jestem bardzo smutny, niemożliwe, żeby Kat – Kat, mój przyjaciel, Kat z opadającymi barkami, z cienkim, miękkim wąsikiem, Kat, którego znam inaczej niż każdego innego człowieka, z którym dzieliłem te lata – niemożliwe, żebym miał go już nie zobaczyć.

– Daj mi swój adres domowy, Kat, na wszelki wypadek. A tutaj jest mój, zapiszę ci.

Karteczkę wsuwam do kieszeni na piersi. Jakże samotny już jestem, mimo że siedzi jeszcze obok mnie. Mam sobie jeszcze szybko strzelić w stopę, żeby móc z nim zostać?

Nagle Kat zaczyna charczeć, robi się zielony i żółty.

– Chodźmy dalej – bełkocze.

Zrywam się na nogi, palę się, żeby mu pomóc, podnoszę go i ruszam biegiem, wydłużonym, wolnym równomiernym krokiem, żeby jego noga za bardzo nie dyndała.

Zaschło mi w gardle, przed oczami tańczą czerwone i czarne kręgi, kiedy zawzięcie i bez litości prac do przodu, docieram w końcu do punktu sanitarnego.

Tam osuwam się na kolana, mam jednak jeszcze dość siły, żeby upaść na tę stronę, gdzie Kat ma zdrową nogę. Po kilku minutach powoli podnoszę się z ziemi. Nogi i dłonie drżą mi jak cholera, z trudem udaje mi się odnaleźć swoją manierkę, żeby pociągnąć łyk. Przy picciu trzęsą mi się wargi, ale się uśmiecham – Kat jest już bezpieczny.

Po chwili odróżniam gwar zmieszanych głosów, który wpada w moje uszy.

– Mogłeś sobie tego oszczędzić – mówi któryś z sanitariuszy.

Wpatruję się w niego nierozumiejącym wzrokiem.

Wskazuje Kata.

– Przecież on nie żyje.

Nie dociera do mnie, co mówi.

– Miał postrzał w piszczel – mówię.

Sanitariusz zatrzymuje się przy mnie.

– To też.

Odwracam się. Wzrok mam nadal mętny, na nowo oblewa mnie pot, który spływa mi po powiekach. Ocieram go i patrzę na Kata, który leży i się nie rusza.

– Nieprzytomny – rzucam szybko.

– Na tym to ja znam się lepiej – odpowiada sanitariusz i gwizdże cicho. – On nie żyje. Idę o każdy zakład.

Kręcę głową.

– Wykluczone! Jeszcze dziesięć minut temu rozmawiałem z nim. Jest nieprzytomny.

Dłonie Kata są ciepłe, przytrzymuję go za ramiona, żeby napić herbatą. Wtem czuję, że moje palce robią się mokre. Kiedy wyciągam je zza jego głowy, są polepione krwią. Sanitariusz znowu gwizdże przez zęby.

– Sam widzisz.

Po drodze Kat oberwał w głowę odłamkiem, a ja nawet tego nie zauważyłem. Dziurka jest naprawdę mała, musiał to być maleńki, zabłąkany odłamek. To wystarczyło. Kat nie żyje.

Powoli wstaję.

– Chcesz zabrać jego książeczkę żołądu i rzeczy? – pyta gefrajter.

Kiwam głową, daje mi wszystko.

Sanitariusz nie kryje zdziwienia.

– Nie jesteście jednak spokrewnieni!

Nie, nie jesteśmy spokrewnieni. Nie, nie jesteśmy spokrewnieni.

Czy idę? Czy mam jeszcze nogi? Podnoszę oczy, wodzę nimi wkoło i obracam się wraz z nimi, jedno kółko, drugie kółko, w końcu zamieram w bezruchu. Wszystko jest takie samo jak zawsze. Tylko landwerzysta Stanislaus Katczinsky umarł.

A potem nic już nie wiem.

XII

Jest jesień. Z dawnego składu zostało niewielu ludzi. Jestem tutaj ostatnim z siedmiu uczniów naszej klasy.

Każdy mówi o pokoju i zawieszeniu broni. Wszyscy czekają. Załamiam się, jeśli spotka ich jeszcze jedno rozczarowanie, nadzieje są zbyt silne, gdyby spróbować je im teraz odebrać, eksplodują. Jeśli nie będzie pokoju, wybuchnie rewolucja.

Mam dwa tygodnie spokoju, bo nałykałem się trochę gazu. Przez cały dzień siedzę na słońcu w małym ogrodzie. Wkrótce nastąpi zawieszenie broni, teraz ja też w to wierzę. Wtedy pojedziemy do domu.

Tu moje myśli zatrzymują się i nie dają się ruszyć z miejsca. Tym, co z przemożną siłą przyciąga mnie i oczekuje, są uczucia. To żądza życia, przywiązanie do ojczyzny, to krew, to rausz ocalenia. Nie są to jednak cele.

Gdybyśmy wrócili do domu w 1916 roku, ból i siła naszych przeżyć pozwoliłyby nam rozpętać burzę. Jeśli wrócimy teraz, będziemy zmęczeni, rozbici, wypaleni, pozbawieni korzeni i nadziei. Nie zdołamy już się odnaleźć.

Nie będziemy już także rozumiani – przed nami bowiem rośnie pokolenie, które wprawdzie spędziło tu z nami owe lata, ale wcześniej miało łóżko i pracę; teraz wróci na swoje dawne pozycje,

na których zapomni o wojnie – po nas zaś rośnie pokolenie podobne do nas z dawnych czasów, ale ono będzie nam obce i odsunie nas na bok. Jesteśmy zbędni dla samych siebie, będziemy rosnać, niektórzy się przystosują, inni podporządkują, a wielu będzie bezradnych – lata będą upływać i w końcu zostaniemy zmieceni.

Może to wszystko, o czym myślę, to jednak tylko odruch melancholii i przerażenia, które pierzchnie, gdy znów stanę pod topolami i wsłucham się w ich szum. Niemożliwe, żeby zniknęło to miękkie, to, co wprawiało w niepokój naszą krew, to niepewne, wstrząsające, nadchodzące, owe tysiąc twarzy przyszłości, melodia z marzeń i książek, upojenie bliskością kobiet i jej wyczekiwanie, niemożliwe, żeby to zginęło w huraganowym ogniu, rozpaczy i burdelach dla żołnierzy.

Tutejsze drzewa błyszczą kolorowo i złociście, jagody jarzębiny odcinają się czerwienią na tle liści, białe gościńce biegną ku horyzontowi, a w kantynach huczy jak w ulu od pogłosek o pokoju.

Wstaję.

Jestem bardzo spokojny. Niech sobie mijają miesiące i lata, mnie już niczego nie zabiorą, nie mogą mi nic zabrać. Jestem taki samotny i niczego nie oczekuję, że mogę ich wypatrywać bez strachu. Życie, które mnie niosło przez te lata, jest jeszcze w moich rękach i oczach. Czy uporałem się z nim, nie wiem. Ale dopóki ono jest, znajdzie sobie drogę bez względu na to, czy to, co mówi we mnie „ja”, chce tego czy nie.

Padł w październiku 1918 roku, w dniu, który był na całym froncie tak spokojny i cichy, że komunikat wojenny ograniczył się do zdania, że na Zachodzie nie odnotowano żadnych nowych zdarzeń.

Osunął się na twarz i leżał, jakby spał przytulony do ziemi. Kiedy go odwrócono, widać było, że nie mógł długo cierpieć – jego twarz wydawała się tak opanowana, jakby niemal był zadowolony z tego, że tak wyszło

Spis treści

x

Tytuł oryginału: *Im Westen nichts Neues*

Copyright © 1929 by New York University, successor-in-interest to the literary rights of The Estate of the Late Paulette Goddard Remarque

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2014, 2019

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce

© John Springer Collection/CORBIS/FotoChannels

Wydanie II e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Na Zachodzie bez zmian*, wyd. II w nowym tłumaczeniu, dodruk, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-287-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**